

Chuck Wendig



DROZDY

DOTYK PRZEZNACZENIA



Chuck Wendig

**DROZDY
DOTYK PRZEZNACZENIA**

Tytuł oryginału: ***Blackbirds***

Projekt okładki: *Andrzej Brzezicki*

Redakcja: *Marzena Cieśla*

Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*

Konwersja do formatu elektronicznego: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Sławomira Gibka*

Copyright © Chuck Wendig 2012. All rights reserved.

For the Cover illustration © FogStock/Aisha Harley

© iStockphoto/Oleg Gekman

© Stockbyte

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2013

© for the Polish translation by Miłosz Urban

ISBN 978-83-7758-425-5

Wydawnictwo Akurat

Warszawa 2013

Wydanie I

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Redakcja

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

2

WYWIAD

3

4

WYWIAD

5

6

7

SEN

8

9

10

11

WYWIAD

12

CZĘŚĆ DRUGA

13

14

WYWIAD

15

16

17

18

19

WYWIAD

20

WYWIAD

21

OPOWIEŚĆ ASHLEYA

22

SEN

23

CZEŚĆ TRZECIA

24

WYWIAD

25

26

SEN

27

28

WYWIAD

29

30

WIEDŹMA

31

SEN

32

HISTORIA HARRIET

33

HISTORIA HARRIET, TYM RAZEM Z UCZUCIEM I CAŁYMI

ZDANIAMI

34

35

36

37

38

39

40

SEN

41

Wydawca

CZEŚĆ PIERWSZA

ŚMIERĆ DELA AMICO

Reflektory samochodu omiatają podniszczone hotelowe żaluzje. Wpadające do pokoju światło pozwala Miriam dostrzec jej odbicie w brudnym lustrze.

Wyglądam jak zakurzony śmieć na poboczu drogi, myśli. Zaplamione podarte dżinsy. Obcisły biały T-shirt. Tlenione blond włosy z odrostami, jak ciemne korzenie wychodzące z żyznej ziemi.

Opiera ręce na biodrach i porusza nimi raz w jedną, raz w drugą stronę. Wierzchem dłoni wyciera rozmazaną szminkę w miejscu, gdzie pocałował ją Del.

– Miało być jasno – mówi na głos, przepowiadając przyszłość.

Włącza lampę przy łóżku. Obskurny pokój zalewa szczynowatożółta poświata.

Zaskoczony nagłą iluminacją karaluch nieruchomieje pośrodku podłogi.

– Sio – mówi dziewczyna. – Spadaj. Daruję ci życie.

Robal nie każe sobie powtarzać. Znika pośpiesznie pod rozkładanym łóżkiem.

Wraca do swojego odbicia w lustrze.

– Wszyscy mówili, że jestem nad wiek dojrzała – mruczy. – Dziś naprawdę tak się czuję.

W łazience szumi prysznic. Już niemal czas. Siada na brzegu łóżka i pociera oczy. Ziewa.

Dobiega ją odgłos odkręcanych kurków. Rury ukryte w ścianach jęczą i drżą, jakby gdzieś obok przejeżdżał pociąg. Miriam zgina i prostuje palce u stóp. Paluch głośno strzela.

Del nuci w łazience. Jakieś szmiry, gówniane szlagiery country. Ona nienawidzi country. Ta muzyka to głuchy, dudniący puls konfederackiego południa. Hej, zaraz! Przecież jesteśmy w Karolinie Północnej. Czy Karolina Północna też należała do Konfederacji? Nieważne. Południe. Konfederacja. Wielkie, piękne zadupie. Czy to ma jakieś znaczenie?

Otwierają się drzwi łazienki i do pokoju, w obłoku pary, wchodzi Del Amico.

Kiedyś mógł być atrakcyjny. Nadal jest, raczej tak. W słabym świetle. Trzydzieści kilka lat, szczupły i prosty jak trzcina. Żyłaste ramiona, mocne łydki. Tanie marketowe bokserki opinają jego kościste biodra. Ma mocną szczękę i ładną brodę, myśli Miriam. I nie drapie zarostem. Mężczyzna uśmiecha się do niej szeroko i oblizuje zęby – białe i błyszczące niczym perły. Język przesuwa się po nich z cichym piśnięciem.

Dziewczyna czuje zapach mięty.

– Płyn do płukania – wyjaśnia Del, wydymając policzki i dmuchając w jej stronę. Wraca do wycierania głowy starym ręcznikiem. – Znalazłem pod zlewem.

– Ekstra – odpowiada. – Wiesz, wpadłam na pomysł nowego koloru: karaluchowaty brąz.

Del nieruchomieje i wygląda spod ręcznika.

– Co? Jakiego koloru? O co ci chodzi?

– No wiesz, Crayola robi teraz kredki w tylu dziwnych kolorach. Umbra palona. Sjena palona. Blanszowany migdał. Sraczkowata żółć. I tak dalej. Powiedziałam tylko, że karaluchy mają własny kolor. Jest inny. Powinni go opatentować. Dzieciaki by go pokochały.

Del śmieje się, choć nie rozumie, o czym mówi. Wyciera się, a potem nagle nieruchomieje. Patrzy na nią, jakby na trójwymiarowym obrazku usiłował znaleźć ukryty kształt.

Ogląda ją całą, od stóp do głów.

– Powiedziałas, że będziesz czekać na mnie... wiesz, przygotowywać się – mamrocze.

Miriam wzrusza ramionami.

– Aaa... Nie. Jeśli mam być szczerą, nigdy nie jestem dostatecznie gotowa. Przykro mi.

– Ale... – zaczyna Del i urywa. Chce to powiedzieć. Ma już na końcu języka. Jego usta układają się w odpowiednie słowa, zanim w końcu wyrzuca je z siebie: – Jesteś ubrana.

– Bystrzacha. – Miriam kiwa głową i z uznaniem unosi kciuk. – Del, mam złą wiadomość. Nie jestem dziwką, a co za tym idzie, dzisiaj nie będzie pieprzenia. Ani dzisiaj, ani jutro. Bo chyba już jest jutro, co? Tak czy inaczej, żadnego posuwanka.

Del zaciska pięknie wyrzeźbioną szczękę.

– Obiecałaś. Należy mi się.

– Biorąc pod uwagę, że jeszcze mi nie zapłaciłeś, i dodatkowo mając na uwadze, że prostytutka w tym stanie jest nie do końca legalna, choć legalizacja czy delegalizacja moralności to dla mnie bzdura, głównie ci się należy, Del.

– Ja pierdolę... – mruczy. – Lubisz słuchać własnego głosu, co?

– No pewnie. – Lubi.

– Jesteś kłamczuchą. Kłamczuchą z wulgarnym jęzorem.

– Moja matka zawsze powtarzała, że mówię jak marynarz, ale wiesz, nie w sensie „ahoj, ziemia na horyzoncie”, tylko raczej „spierdalać mi z tym gównem”. No i racja, jestem kłamczuchą. Paskudną kłamczuchą. Aż mi się dymi z uszu.

Del stoi zdezorientowany i nie wie, co począć. Ale ona widzi, że zbiera się w sobie. Płatki nosa falują mu wściekle jak bykowi gotującemu się do szarży.

– Kobieta powinna okazywać więcej szacunku – cedzi przez zaciśnięte zęby. Ze złością ciska ręcznikiem w kąt.

Miriam parska.

– Cała ja. Mam maniery jak pieprzona księżniczka.

Del sapie głęboko, podchodzi do konsolki i zakłada zegarek, nic niewartego timeksa. Chwilę później widzi, co położyła na blacie obok.

– Co to ma...?

Łapie zdjęcia, chwytą je wszystkie naraz i przegląda pospiesznie. Kobieta i dwie małe dziewczynki. Te same dzieci na placu zabaw. Kobieta na czyimś weselu.

– Znalazłam je w samochodzie – wyjaśnia Miriam. – To twoja rodzina, prawda? Ciekawe, jak to godzisz z... no wiesz, bierzesz prostytutkę, hm, to znaczy domniemaną prostytutkę do motelu. Dobry mąż czy tatuś nie powinien chyba wywijać takich numerów, co? Zresztą, co ja tam wiem. Z drugiej strony, może właśnie dlatego schowałeś zdjęcia na samym dnie schowka? Prawie jak lustro: ty nie widzisz ich, one nie widzą ciebie.

Prostuje się gwałtownie, ściskając nerwowo zdjęcia w dłoni.

– Kim jesteś, żeby mnie oceniać? – syczy.

Miriam lekceważąco macha dłonią.

– Daj spokój, przecież cię nie oceniam. Po prostu czekam. No, a skoro już tak sobie czekamy, pewnie powinnam ci powiedzieć, że jeździłam za tobą już od kilku tygodni.

Del mruży oczy, jakby gorączkowo szukał jej w pamięci. Miriam mówi dalej: – Wiem, że lubisz dziwki. Cichodajki i profesjonalistki. Każdy rozmiar! Jesteś z tych gości, co zjedzą wszystko, co im dać na talerz. Zawsze coś nowego, żeby nie było nudno w życiu, ale to ci się chwali. Wiem też, że poza inklinacją w kierunku stosunkowo nudnych zachowań seksualnych, znajdujesz przyjemność w biciu kobiet. Cztery prostytutki. Dwie z podbitymi oczami, jedna z raną na brodzie i czwarta z rozciętą dolną wargą...

Del porusza się jak błyskawica.

Ciasno zaciśnięta pięść trafia ją w prawe oko i posyła na łóżko. Pękają naczynia krwionośne. Miriam widzi najpierw fajerwerki, a potem ciemność. Cofa się, stękając z bólu. Nie wie, czy znów jej nie uderzy albo czy nie zacznie dusić. Kiedy zamiera, zwinięta, gotowa kopać, gryźć czy wbić mu łokieć w gardło, orientuje się, że po uderzeniu nie posunął się nawet o centymetr.

Stoi. Po prostu stoi i się trzęsie. Wściekły, smutny, rozbity; Miriam nie potrafi rozróżnić.

Czeka, co zrobi. Del się nie rusza. Nawet na nią nie patrzy – wbija wzrok w nieokreślony punkt, gdzieś daleko przed sobą.

Miriam bardzo ostrożnie sięga do stolika nocnego i, żeby sprawdzić godzinę, odwraca budzik – stary zegarek z czarnymi cyframi na białych tabliczkach, które co minutę przeskakują, pokazując aktualny czas. Za każdym razem rozlega się ciche kliknięcie.

– Za dwadzieścia pierwsza – informuje go. – To znaczy, że zostały ci trzy minuty.

– Trzy minuty? – Mężczyzna marszczy brwi, próbując rozgryźć zasady jej gry.

– Tak jest, Del. Trzy minuty. Nadszedł czas, żebyś się zastanowił, czy chcesz jeszcze coś powiedzieć. Podzielić się przemyśleniami. Może uchronić od zapomnienia jakiś przepis babci? Zdradzić miejsce ukrycia skarbu piratów? Poetyckie pożegnanie ze światem? Wiesz, coś w rodzaju: „Albo ta tapeta, albo ja, któreś musi odejść!” – Macha dłonią. – Okej, wiem, cytaty z Oscara Wilde’a. Przesadziłam, przepraszam. Moja wina.

Del ani drgnie, ale wyraźnie tężeje. Wszystkie jego mięśnie napinają się jak postronki.

– Ubzdurałaś sobie, że mnie zabijesz? – pyta w końcu. – To sobie wymyśliłaś?

Miriam cmoka językiem.

– Nie, proszę pana. Nic takiego nie miałam na myśli. Poza tym żadna ze mnie morderczyni. Jestem raczej biernie agresywna niż agresywna. Coś w rodzaju: poczekamy, zobaczymy. No, rozumiesz, sęp, a nie sokół.

Mierzą się wzrokiem. Ona czuje trochę strachu, mdłości i ekscytacji.

Klik.

Zero przeskoczyło na 1.

– Chcesz mnie znowu uderzyć – mówi.

– Przyszło mi to do głowy.

– Pomyślałaś: walnę ją, a potem przelecę, zasłużyła sobie. Wszystko pięknie, pod warunkiem, że dasz radę przygotować Małego Wacusia do wyścigu. Widziałam tabletki w schowku. Leżały obok fiołki Oxycontin.

– Lepiej się już zamknij.

Miriam celuje w niego palcem.

– Mimo wszystko muszę ci zadać to pytanie. Czy żonę i córki też bijesz?

Waha się. Miriam nie ma pojęcia, co to oznacza. Poczł wyrzuty sumienia? A może nigdy nawet mu do głowy nie przyszło, żeby tknąć palcem te małe, niewinne główki i myśli teraz, co by się stało, gdyby się dowiedziały?

– Zresztą nieważne. Teraz to bez znaczenia – stwierdza Miriam. – Odpowiedź nic nie zmieni. Jestem po prostu ciekawa. Posuwasz dziwki i lejesz je po twarzy i, jak ustaliliśmy, nie dostaniesz nagrody Tatusia Roku. Ale chciałabym po prostu poznać twój charakter, zrozumieć jego głębię...

Del nie wytrzymuje i bierze zamach. Żałosny, szeroki sierp, sygnalizowany, zanim się jeszcze poruszył. Równie dobrze mógł wysłać telegram, że zaraz uderzy. Miriam odchyła się. Pięść mija jej nos, ale ona czuje pęd powietrza.

Prostuje nogę, trafia go piętą w krocze. Mężczyzna zatacza się do tyłu. Jego kość ogonowa grucha głucho o ścianę. Jęczy i łapie się za tyłek.

– Raz ci się udało, dupku! – syczy dziewczyna. – A teraz już nawet nie potrafisz trafić, złamasie.

Klik.

Mija kolejna minuta. Czterdzieści dwie po północy.

– Sześćdziesiąt sekund – informuje go.

Del wciąż nic nie rozumie. Nikt tego nigdy nie załapał na czas.

– Zamknij się – jęczy. – Pierdolona dziwka.

– Dobra, powiem ci, co się teraz stanie. Zaraz usłyszysz trąbienie na parkingu...

Na zewnątrz ktoś trąbi. Najpierw raz, drugi, a potem jeszcze trzeci, przeciągle, jakby kierowca chciał wyrazić zniecierpliwienie.

Del przenosi wzrok z Miriam na okno, a potem znów na nią. Widziała już takie spojrzenia. Mężczyzna ma oczy zwierzęcia zamkniętego w klatce. Nie wie jeszcze, gdzie uciekać, ale to na nic, bo i tak by nie uciekł. Jest uwięziony. Nie może tylko jeszcze zrozumieć jak i dlaczego.

– Pewnie się zastanawiasz, co teraz? – Pstryka palcami. – Gdzieś na zewnątrz ktoś zacznie krzyczeć. Może to ten gość, co trąbił? Nie wiem, w sumie może wrzeszczeć ten ktoś, na którego trąbił. To bez znaczenia. Dlatego że...

Przerywa, żeby mógł usłyszeć wrzaski na parkingu. Niezrozumiałe słowa, jak okrzyk neandertalczyka.

Del wytrzeszcza oczy.

Miriam układa palce jak pistolet i celuje w budzik. Odsuwa kurek – kciuk – i strzela.

– Bum – mówi i...

Klik.

Zegar wskazuje czterdzieści trzy minuty po północy.

– Chorujesz na padaczkę, Del?

Mężczyzna drży, potwierdzając, że choruje. To tłumaczy wszystko, co ma się wydarzyć. Del nieruchomieje, zaskoczony, jakby zakłopotany, a potem...

Jego ciało tężeje.

– I oto nadchodzi – mówi Miriam. – Wybicie, bramka, koniec sezonu!

Atak epilepsji niczym fala przejmuje nad nim władzę.

Del Amico wypręża się, zamiera, a potem pada, o włos mijając narożnik komódki. Charczy. Podnosi się na kolana, ale po chwili wygina w łuk i dotyka łopatkami miękkiej wykładziny.

Miriam pociera powieki.

– Wiem, co sobie myślisz – mówi, patrząc w jego oczy, wytrzeszczone, jakby miały zaraz wystrzelić. – Chryste, dlaczego ta zdzira nie wetknie mi portfela między zęby? Nie mogłaby mi pomóc? A może się mylę? Może myślisz: e tam, miałem już wcześniej napady i żyję? Bo przecież nie da się naprawdę połknąć języka, co nie? Czyli że to jakaś bajka jest? Albo wyobrazasz sobie, że jestem prawdziwą wiedźmą, która posiada magiczne moce?

Krztusi się. Ma czerwoną twarz. Potem siną.

Miriam wzrusza ramionami. Wykrzywia usta i z ponurą fascynacją przygląda się rozwojowi wydarzeń. Mimo że nie widzi tego po raz pierwszy.

– No cóż, mój drogi, agresywny przyjacielu. To jest twoje przeznaczenie. Zakrztusisz się własnym ozorem i przekręcisz w tym gównianym, zapomnianym przez Boga motelu. Gdybym tylko mogła, coś bym zrobiła. Ale nie mogę. Pomyśl, gdybym wcisnęła ci portfel między zęby, pewnie wepchnęłabym ci język jeszcze głębiej. Wiesz, moja babcia zawsze powtarzała: „Miriam, takie życie. Nic nie poradzisz, taki los”. I, Del, musisz zrozumieć. Takie życie.

Na poszarzałych ustach Dela pojawiają się bąbelki piany. Naczynka krwionośne pękają, zalewając jego oczy czerwienią.

Dokładnie tak, jak zapamiętała.

Napięte ciało nagle flaczeje. Mężczyzna przestał walczyć. Mięśnie wiotczeją, a kark nieruchomieje pod dziwacznym kątem. Upada policzkiem

na podłogę.

Potem, nie bacząc na majestat śmierci, spod łóżka wybiega karaluch. Wykorzystując wyдутą górną wargę Dela jak stopień wspina się do nosa i wciska swoje małe, tłuste ciało w dziurkę. Znika wewnątrz.

Miriam nabiera głęboko powietrza i trzęsie się z obrzydzenia.

Chce coś powiedzieć, wyrazić, jak jej przykro, ale...

Nie może tego powstrzymać. Wybiega do łazienki i wymiotuje do sedesu.

Przez jakiś czas nie podnosi się z kolan, z głową zwieszoną nad muszlą. Biała porcelana emanuje uspokajającym chłodem. Czuje zapach mięty. Czysta woń taniego płynu do płukania ust.

Często tak się zdarza. Zupełnie, jakby razem z nimi umierała jakaś część niej; część, którą się potem krztusiła, aż w końcu wyrzygiwała i spuszczała w toalecie.

I, jak za każdym razem, doskonale wie, co sprawi, że poczuje się lepiej.

Na czworakach wraca do pokoju, przechodzi nad stygającym ciałem Dela i sięga po swoją torbę rzuconą obok łóżka. Grzebie w niej przez chwilę, aż w końcu trafia na to, czego szukała. Wyjmuje paczkę marlboro light. Stuka w denko pudełka, ustami łapie wysuniętą końcówkę filtra. Zapala.

Wciąga dym do płuc i wydmuchuje nosem. Jak para z nozdrzy smoka, myśli.

Mdłości słabną, jakby oczyszczający odpływ zepchnął je z powrotem na otwarty ocean.

– Znacznie lepiej – mruczy, jakby ktoś jej słuchał. Może duch Dela? A może tylko karaluch?

Potem wraca do torby i wyjmuje z niej swój Numer Dwa: czarny notatnik z czerwonym długopisem wepchniętym pod spiralę spinającą arkusze. Zapisała już niemal wszystkie strony. Zostało tylko dziesięć pustych kartek. Tylko dziesięć. Potężne pole do popisu, z wielkim potencjałem: niespisana przyszłość, która już została opisana.

– Hej, zaraz – mówi. – Zaczynam być nieostrożna. Nie mogę zapomnieć o...

Wstaje, podnosi spodnie Dela i sięga do kieszeni po jego portfel. W środku jest niecałe pięćdziesiąt dolców i karta kredytowa. Wystarczy, żeby ruszyć dalej, zjeść coś ciepłego i dotrzeć do kolejnej dziury.

– Dzięki, Del, co za łaska.

Opiera poduszkę o wezglowie łóżka i sadowi się wygodnie. Otwiera notatnik i zaczyna pisać.

Kochany Pamiętniku, znów to zrobiłam...

O PADLINOŻERCACH I DRAPIEŻNIKACH

Droga I-40. Pierwsza piętnaście w nocy. Właśnie przestało padać. Nawierzchnia lśni w mroku. W powietrzu unosi się zapach mokrego asfaltu, który Miriam kojarzy się z wyciągniętymi, bladymi dżdżownicami unoszącymi się w płytkich kałużach.

Mijają ją kolejne samochody, szumiąc i piszcząc oponami. Wszystko oświetlają reflektory aut pędzących w jedną stronę i czerwone tylne światła aut pędzących w przeciwnym kierunku.

Miriam stoi na poboczu od dobrych dwudziestu minut i zastanawia się, dlaczego nie jest łatwiej. Proszę bardzo, czeka na poboczu, w białej obcisłej bluzce – obcisłym, białym, mokrym T-shircie, bez stanika pod spodem – i macha na przejeżdżające samochody. Idealnie łatwa panna, blachara pierwsza klasa, myśli sobie. A mimo to nikt się nie zatrzymuje.

Mija ją rozpędzony lexus.

– Żałosny kutas – mówi na głos.

Obok mignął biały SUV.

– Megażałosny kutas.

Z oddali widzi pordzewiałą półciężarówkę. To jest to, myśli. Ktokolwiek jeździ takim starym rzęchem, na pewno nie odpuści okazji zaliczenia szybkiego przydrożnego numerka. Pickup zwalnia; kierowca

musi się przyjrzeć. Po chwili przyspiesza. Rozlega się przeciągłe trąbienie, a przez otwarte okno leci pusty kubek po frytkach i niewiele brakowało, a trafiłby ją w głowę. Wieśniak odjeżdża, rycząc klaksonem.

Miriam prostuje środkowy palec i wrzeszczy:

– Udław się własnym kutasem i zdechnij, złamasie!

Spodziewa się, że kierowca odjedzie.

Tymczasem: czerwone światła. Półciężarówka hamuje. Zatrzymuje się i na wstecznym zjeżdża na pobocze.

– Cholera – przeklina Miriam. Tylko tego jej brakowało. Jest niemal pewna, że ze środka wyskoczy gość podobny jak dwie krople wody do zmarłego przed chwilą Dela Amico i zacznie się drapać po brzuchu przez podkoszulek. Z auta wysiada jednak dwóch chłopaków około dwudziestki.

Uśmiechają się. Niedobrze.

Jeden ma mięśnie strażaka i jasne złe oczy wyglądające spod blond czupryny. Drugi, niższy, wręcz kurdupel. Grubawy, piegowaty. Na głowie czapka drużyny sportowej uniwersytetu stanowego i dwa kaprawe oczka wytrzeszczone spod daszka. Czyste ciuchy białych chłoptasiów z przedmieść.

Miriam kiwa głową.

– Niezła bryka. Wyklepany przystanek?

– Mojego starego – odpowiada Blondynek, cały czas idąc w jej stronę. Drogą przejeżdżają kolejne auta. Kurdupel – tak ochrzciła w myślach drugiego – toczy się tak, żeby zająć ją od tyłu.

– Mimo wszystko fajna fura – powtarza.

– Podwieźć cię? – pyta Kurdupel zza jej pleców. W jego głosie próżno szukać sympatii.

– Neeee. – Macha reką. – Dzięki. Tak sobie stoję i z nudów sprzedaję palca przejeżdżającym samochodom.

– Jesteś z Północy – zauważa Blondynek. Śmiesznie, bo sam nie mówi z południowym akcentem. Nie przestaje taksować jej wzrokiem. – Całkiem ładniutka Jankeska.

Miriam zaczyna masować skronie. Przez chwilę chce wciągnąć tych dwóch pustogłowych błaznów w dowcipną wymianę zdań, jednak, niestety, jest wycieńczona i słaba, a podbite oko boli coraz mocniej.

– Słuchajcie. Wiem, jak to idzie. Znam już te gadki. Myślicie sobie, że dzisiaj „zamoczyć”. Może nawet obaj naraz. Albo tylko mnie poobijacie, sprawdzicie, czy mam jakąś kasę. Znam to. Jak każdy padlinożerca potrafię rozpoznać drapieźnika, gdy przede mną stoi. Ale wiecie co? Ja po prostu nie mam czasu na takie zabawy. Jestem cholernie zmęczona. Nie żartuję. Jestem wycieńczona. I tyle. Pakujcie dupy do tej swojej drezyny i spieprzajcie stąd. Sio.

Blondynek podchodzi bliżej. Nie dotyka jej, ale staje tak, że ich nosy dzieli kilka centymetrów.

– Podoba mi się, że wiesz, co robić z ustami – kpi.

– Ostatnie ostrzeżenie – mówi Miriam. – Widzicie, że mam podbite oko i ubzduraliście sobie, że jestem nikim, ale czasem bywa tak, że dziewczyna dostanie po twarzy, bo na to pozwoli, bo życie bywa cholernie skomplikowane. Ale wystarczy na dziś. Raz i to wszystko. Kapujecie?

Najwyraźniej nic nie rozumieją, bo Kurdupel kładzie swoje serdelkowe paluchy na jej biodrach.

Miriam reaguje błyskawicznie.

Odrzuca gwałtownie głowę i trafia Kurdupla w nos...

Kurdupel ma teraz około pięćdziesięciu lat, jest tłustszy niż kiedykolwiek, ma czerwony nos i wrzeszczy na jakąś kobietę w żółtej sukience. Pot leje mu się po twarzy, a krzycząc, pluje śliną. Nagle uderza swoją tłustą łapą w blat kuchenny – to atak serca: stopniowo obejmuje całą połowę ciała, pogrążając nerwy w świdrującym bólu.

...a on zaczyna wyć jak zarzynane prosię. Miriam sięga za siebie i ściska go za krocze, podkręcając dźwięk. Blondynek patrzy zaskoczony. Miriam zdaje sobie sprawę, że czas ucieka. Pluje mu w twarz, kupując sobie jeszcze kilka sekund, po czym wali go pięścią w nos i poprawia uderzeniem w krtań...

Rak go pożera, zmieniając jelita w oślizgłą, poprzerastaną guzem masę. Ale jest stary, zbliża się do osiemdziesiątki. Leży na szpitalnym łóżku, otoczony pikającymi, syczącymi i tykającymi maszynami. Jest z nim rodzina. Mały chłopiec trzyma go za dłoń. Stara kobieta nachyla się nad nim i całuje w czoło. Inna kobieta, w okolicach czterdziestki, z blond włosami związanymi w ciasny kucyk, spogląda na niego ze spokojem i głaszcze po klatce piersiowej, potem drugi raz i proszę – staruszek krzyczy, sra krwią i umiera.

Kurdupel próbuje ją uderzyć. Bierze zamach jak otyły leniwy niedźwiadek. Miriam odsuwa się na czas i jego tłuste łapsko przecina powietrze. Uderza go łokciem prosto w zmasakrowany, krwawiący nos i posyła na ziemię.

Blondynek, cały czerwony, wciąż nie może nabrać powietrza. Mimo to skacze na nią z gracją sunącej lawiny kamieni. Miriam odchyła się, schodzi mu z drogi, lecz nie cofa kolana, na które nadziewa się krocem. Blondynek stęka, wzdycha ciężko, a potem pada na ziemię.

– Myśleliście, że wyszłabym na drogę, gdybym nie umiała się bronić? – wrzeszczy na leżących chłopaków. Podnosi garść brudnego żwiru z pobocza i ciska nim w Blondynka. Ten, jęcząc, usiłuje osłonić głowę. Dziewczyna charka i spluwa mu flegmą na włosy. Niesiona falą wściekłości zrywa jeszcze czapkę z głowy Kurdupła i wyrzuca ją na ulicę. – Dupki!

Wtedy nagle zalewa ich jasne, białe światło. A z tyłu pojawia się masywny kontur.

Sapnięcie hydraulicznych hamulców.

Na pobocze za jej plecami zjeżdża ciężarówka – potężny osiemnastokołowiec, tym razem bez naczepy. Pod szerokimi oponami chrzęści żwir.

Miriam osłania oczy. Oślepią reflektorami dostrzega jedynie sylwetkę kierowcy. Chryste, myśli. Pieprzony Frankenstein! Gdzie są cholerni łowcy nagród, kiedy człowiek ich potrzebuje?

Frankenstein trzyma w dłoni łom.

– Wszystko w porządku? – pyta potężny mężczyzna. Jego głos dudni mimo głośno pracującego silnika ciężarówki.

– Jak najbardziej. Przyjacielska sprzeczka! – Miriam musi krzyczeć, żeby ją usłyszał.

Nie może dostrzec jego twarzy, lecz widzi, że Frankenstein przygląda się Kurdupłowi i Blondynkowi. W końcu wzrusza ramionami.

– Podwieźć gdzieś?

– Mnie czy tych dwóch jęczących durni?

– Ciebie.

– Raz kozie śmierć – mruczy dziewczyna i rusza w stronę szoferki.

WYWIAD

Miriam popija wodę z butelki. Cholera, dlaczego to nie wódka, myśli.

Nad głową słyszy trzepot skrzydeł wróbli, które obsiadły dach – ciemne kształty, kotłowanina.

Odpala kolejne marlboro. Bawi się popielniczką. Przesuwa ją po stole tam i z powrotem – jak kot, który bawi się myszą. Puszczą kółka dymu. Przebiera palcami, bębni paznokciami – niektóre są obgryzione tak krótko, że bardziej się nie da – o blat stołu.

W końcu drzwi się otwierają.

Do środka wchodzi chłopak, pod pachą trzyma notatnik i kilka kartek papieru, na ramieniu przewieszoną torbę z laptopem, na szyi kołysze się cyfrowy dyktafon. Ma potargane włosy.

Odsuwa sobie krzesło.

– Przepraszam – mówi.

Miriam wzrusza ramionami.

– Nie szkodzi. Paul, tak?

– Tak, Paul. – Wyciąga dłoń. Miriam wpatruje się w nią, jakby była brudna. Z początku nie rozumie, o co jej chodzi, ale w końcu go oświeca.

– Ach! No tak. Racja.

– Naprawdę chciałbyś wiedzieć? – pyta.

Paul cofa dłoń i delikatnie kręci głową, że nie. Siada bez słowa. Wykłada notatnik, kilka kopii swojej gazetki – nagłówki w stylu listów z

żądaniem okupu, druk na papierze w kolorze fluorescencyjnej fuksji, jaskrawy cytrynowy, oczojebny limonowy – i ostrożnie stawia dyktafon na środku stołu.

– Dzięki, że zgodziłaś się na ten wywiad – mówi. Dzieciakowi z nerwów drży głos.

– Nie ma sprawy. – Zaciąga się papierosem. Potem wydmuchuje dym w jego kierunku i mówi: – Nie mam problemów, żeby o tym mówić. To żaden sekret. Tyle że nikt nie chce słuchać.

– Ja słucham.

– Wiem. Masz, o co prosiłam?

Wyjmuje pomietą brązową torebkę i ze stuknięciem stawia ją na blacie.

Dziewczyna pstryka palcami.

– Hej, samo się nie rozpakuje!

Paul szybko odwija papier i wyjmuje butelkę szkockiej, Johnny Walker red label.

– Dla mnie? – pyta Miriam i teatralnie unosi dłoń. – Och, naprawdę, nie musiałeś...

Odkręca butelkę i pije z gwinta.

– Nasza gazetka... nazywa się „Punkt Oporu”... mamy coś około stu czytelników. Jakoś tak. Poza tym niedługo pojawimy się w internecie.

– Witaj w przyszłości, co nie? – Wyciera palcami wilgotną szyjkę butelki. – A tak generalnie, to mało mnie to obchodzi. Natomiast z tobą bardzo chętnie porozmawiam. Uwielbiam rozmawiać.

– Super.

Siedzą naprzeciwko siebie i mierzą się wzrokiem.

– Nie jesteś dobrym reporterem. Słabo ci idzie z wywiadami – stwierdza po chwili.

– Przepraszam. Po prostu nie spodziewałem się kogoś takiego.

– Niby jakiego?

Milczy. Przygląda jej się uważnie. Z początku Miriam ma wrażenie, że jest na nią napalony, że może chciałby ją przelecieć. Ale nie, to nie to. Ma wyraz twarzy człowieka, który przygląda się dwugłowemu cielęciu albo wizerunkowi Maryi Panny na toście.

– Wuj Joe twierdził, że jesteś wyjątkowa – wyjaśnia.

– Twój wuj Joe. Zapytałabym, co u niego, ale...

– Było dokładnie tak, jak powiedziałaś.

Miriam nie jest zaskoczona.

– Dotychczas nie pomyliłam się ani razu. I tak dla twojej wiadomości, lubiłam twojego wuja. Spotkaliśmy się w barze. Byłam pijana. Wpadł na mnie. Zobaczyłam, jak zabija go atak serca. Pieprzyć to, pomyślałam, i powiedziałam mu o wszystkim. Każdy najmniejszy szczegół, bo w tym jest pies pogrzebany. W tych cholernych szczegółach. Powiedziałam mu tak: Joe, pojedziesz na ryby. Za rok. Dokładnie rzecz biorąc, za trzysta siedemdziesiąt siedem dni. Wzięłam serwetkę i pododawałam wszystko, żeby podać dokładną datę i czas. Powiedziałam: będziesz stał w swoich woderach. Akurat będziesz miał branie. Nie, nie największa i nie najlepsza, ale na pewno duża ryba. Nie wiem, jaki gatunek, bo, kurwa, nie jestem rybologiem...

– Chyba ichtiologiem.

– Filologiem też nie jestem, ale mam to w dupie. On powiedział, że to pewnie będzie pstrąg. Tęczowy. Albo okoń. Zapytał jeszcze, jaką przynętę będzie miał na haczyku, a ja powiedziałam, że wygląda jak błyszcząca

moneta, taka spłaszczona przez pociąg, jak się ją położy na szynach. Wyjaśnił, że to się nazywa spinner i że na spinnera łowi się pstrągi. No ale przecież, nie jestem ikt... uhh... ikoti... rybologiem.

Strząsa popiół do popielniczki i zdusza niedopałek.

– Mówię mu: Joe, będziesz stał sobie w wodzie, trzymał tę rybę w ręce, będziesz się uśmiechał i gwizdał nawet, chociaż nikt nie będzie cię słyszał. No i będziesz wymachiwał tą rybą, żeby pokazać ją niebiosom i pozostałym zwierzacom i właśnie wtedy to się stanie. Gdzieś oderwie się kawałek skrzepu i ruszy tętnicą jak pocisk lufą. Bum! Prosto w mózg. Stracisz czucie, powiedziałam. Przewrócisz się do wody. Nikt tego nie zobaczy, żeby ci pomóc. Umrzesz, a twoja ryba ucieknie.

Paul milczy. Przygryza usta zębami bielutkimi jak u nastolatka.

– Tak właśnie go znaleźli – potwierdza. – Z kijem w ręku.

Miriam chichocze.

– Z kijem w ręku.

Paul patrzy na nią zaskoczony.

– Nie łapiesz? Z kijem? W ręku? No wiesz, tak jakby z wackiem? – Zrezygnowana macha dłonią i wyjmuje kolejnego papierosa. – Pieprzyć to. Joe by się uśmieł. Joe lubił dwuznaczne dowcipy. Zaraz łapał puentę.

– Spałaś z nim? – pyta chłopak.

Miriam udaje szok. Wachluje się dłonią, jakby zaraz miała zemdleć z oburzenia.

– Jak mogłeś, Paul? Co ty sobie w ogóle o mnie myślisz? Jestem wcieleniem czystości i wstrzeźliwości. – Nie kupuje tego. Zapala papierosa i znów robi lekceważący gest. – Chłopcze, dawno temu wyrzuciłam klucz do pasa cnoty. Wrzuciłam go do rzeki, nie inaczej. A skoro tak, to posłuchaj, Paul: nie, nie pyknęłam twojego wuja. Piliśmy

razem. Aż do zamknięcia baru. Potem on poszedł w swoją stronę, a ja w swoją. Dopóki mnie nie znalazłeś, nie wiedziałam nawet, czy mi uwierzył.

– Powiedział mi o waszym spotkaniu mniej więcej miesiąc przed śmiercią – wyjaśnia Paul, przeczesując dłonią poczochrane włosy. Wpatruje się gdzieś w dal, szukając tej chwili w pamięci. – Wierzył ci. Bardzo ci wierzył. Powiedziałem, żeby tamtego dnia nie jechał na ryby. A on tylko wzruszył ramionami i powiedział, że naprawdę ma na to ochotę i że skoro ma w ten sposób umrzeć, to niech tak będzie. Myślę, że zdążył się oswoić z tą myślą.

Paul sięga nad stołem i włącza dyktafon. Przygląda jej się uważnie. Czy szuka jej akceptacji? Boi się, że skoczy na niego i zrobi mu krzywdę?

– W takim razie – zaczyna – powiesz mi, jak to działa?

Miriam nabiera głęboko powietrza.

– To coś, co mam?

– Tak. Właśnie.

– No cóż, Paul. To coś, co mam. Otóż, są pewne zasady.

LOUIS

Długa droga. Wszystko dookoła skrywa niezgłębiona czerń. Istnieje jedynie to, co wyławiają z niej reflektory: połyskliwa środkowa linia dzieląca asfalt na pół, co pewien czas jakaś sosna czy znak sygnalizujący zjazd wyłaniają się na chwilę z ciemności i szybko w niej znikają.

Potężny kierowca ciężarówki jest taki, jak Miriam sądziła, gdy zobaczyła jego cień: ręce wielkie, ramiona masywne jak bloki granitu, pierś szeroka jak kilka beczek obok siebie. Ale jest gładko ogolony, ma delikatną twarz, miłe oczy i włosy koloru piasku na plaży.

Pewnie gwałciciel, myśli dziewczyna.

Kabina ciężarówki też jest wyjątkowo czysta. Niemal zbyt czysta. Ani śladu kurzu czy parkingowego pyłu. Despotyczny, pedantyczny seryjny gwałciciel i morderca, który odziera swoje ofiary ze skóry i szyje sobie z nich ubrania, myśli Miriam. Nawet CB-radio zamontował na chromowanej podstawce. Tapicerka z brązowej skóry. Prawdopodobnie ludzkiej skóry. Z lusterka wstecznego zwieszają się dwie kostki do gry – puste w środku aluminium z wyciętymi otworami zamiast kropek – i obracają się powoli.

– Życie jest jak rzut kostką do gry – mówi, żeby przerwać ciszę.

Frankenstein patrzy na pasażerkę, jakby trochę zawstydzony.

– Dokąd zmierzasz? – pyta, patrząc na nią.

– Donikąd – odpowiada. – Gdziekolwiek.

– Jest ci to obojętne?

– Już tak. Zabierz mnie po prostu jak najdalej od tego motelu i tych dwóch wieśniaków.

– A jeśli też zatrzymam się w motelu?

– Nie ma sprawy. Będę zadowolona, o ile to nie będzie tamten motel.

Frankenstein rozważa. Zaciska dłonie na kierownicy i marszczy brwi. Miriam zgaduje, że pewnie myśli o rzeczach, które ma zamiar z nią zrobić. Albo do czego można wykorzystać jej obgotowaną czaszkę. Dobrym pomysłem byłoby naczynie na landrynki. Albo lampa. Była kiedyś w Meksyku, może ze dwa lata temu. Czy to był Dzień Zaduszny? Te wszystkie kolorowe *ofrendas* – ołtarzyki, chlebki *pan de muerto*, bratki, mango, czerwone i żółte wstążki. Ale na zawsze w jej pamięci pozostały cukrowe czaszki: karmelizowane bezy *memento mori* obsypane kolorową posypką, wszystkie z wytrzeszczonymi oczami i zębami, błogie w kontekście nadchodzącego słodkiego końca. Może gość za kierownicą będzie dość fajny, żeby z jej czaszką zrobić coś równie przyjemnego. Pokryć lukrem. Pycha.

– Jestem Louis – przedstawia się Frankenstein, przerywając jej fantazje.

– Stary – odpowiada Miriam. – Nie szukam przyjaźni, okej? Chciałam stamtąd uciec, to wszystko.

To go na trochę zamknie, ma nadzieję. I rzeczywiście, Frankenstein milczy. Ale coraz intensywniej kotłuje mu się w głowie... Louis przygryza dolną wargę. Stuka palcami w kierownicę. Jest wściekły? Chce ją zgwałcić? Nie potrafi zgadnąć.

– W porządku – poddaje się. – Chcesz pogadać, niech ci będzie. Ekstra. Okej. Pogadajmy.

Zaskoczyła go. Nic nie mówi.

Miriam uznaje, że mu pomoże.

– Chciałeś zapytać o limo, co?

– O co?

– O śliwę. Podbite oko. Zwróciłeś na nie uwagę, kiedy tylko wysiadłeś z samochodu, nie kłam. – Chrząka. – Przy okazji, masz fajną furę. Taka błyszcząca. – Założę się, że polerujesz ją skalpami zdartymi z ładnych autostopowiczek, takich jak ja, dodaje w duchu. Miriam potrzebuje chwili, żeby zapanować nad emocjami. W normalnej sytuacji powiedziałyby to na głos i, prawdopodobnie, wylądowałyby natychmiast na mokrym asfalcie, czekając na następną okazję.

– Nie – zaprzecza. – To znaczy tak, widziałem. Ale nie musisz mi niczego...

Miriam otwiera torbę i zaczyna w niej grzebać.

– Wprowadziłam cię w konfuzję?

– Konfuzję?

– Tak. W konfuzję. To dobre słowo. Fajne, nie? Brzmi trochę, jakbym je sobie wymyśliła. Trzylatki mogą je pomylić z każdym innym słowem. No wiesz, przychodzi taki dzieciak do mamy i płacze, że go boli konfuzja, bo zjadł za dużo pasgetti.

– Uhm... nigdy o tym nie pomyślałem.

Miriam wsuwa papierosa między wargi i unosi zapalniczkę.

– Będziesz miał coś przeciwko, jeśli zapalę?

– Będę. Tutaj się nie pali.

Marszczy brwi. Naprawdę, przydałby jej się teraz dymek. Z ociąganiem chowa zapalniczkę, ale dalej bawi się papierosem.

– Jak tam sobie chcesz. Twoja fura. Co mi do tego. No dobrze, wracając do mojego lima. Chciałeś o tym porozmawiać.

– Czy to któryś z tych chłopaków na poboczu? Mogliśmy wezwać policję.

Dziewczyna prychnęła.

– Naprawdę pomyślałeś, że któryś z tych złamasów mógł mnie skrzywdzić? No błagam! Potrafię o siebie zadbać. Nie, tę śliwunię dostałam na pamiątkę od chłopaka.

– Twój chłopak cię bije?

– Nie, już nie. Zerwałam ze śmieciem. I właśnie dlatego nie chcę wracać do tamtego motelu. Teraz już rozumiesz? Bo ten przygłup tam został.

– Zerwałaś z nim.

– Zerwałam z wielkim hukiem. Łapiesz? Leży sobie na łóżku, zadowolony z siebie, bo walnął mnie w twarz i wystrzelał cały magazynek. Przynajmniej wtedy nie celował mi w oko. No więc leży sobie skurwysyn na łóżku, aż w końcu zasypia. Ups. To było głupie! Zaczął chrapać jak pijany niedźwiedź, a ja wtedy pomyślałam, że z nami koniec. Mam już dosyć bycia pomiataną przez takie ścierwo. Nie będzie więcej przypalał mnie papierosem, bił pasem, kopał czy co tam jeszcze wymyślił.

Louis patrzy cały czas przed siebie, jakby nie wiedział, jak zareagować na jej opowieść. Dlatego mówi dalej:

– No to co, wyciągnęłam kajdanki. Sorry za takie szczegóły, ale ten dupek lubił perwerę i dominacja go strasznie kręciła. Biorę te kajdanki i delikatnie, żeby go nie obudzić, przypinam go do ramy łóżka. – Miriam wyjmuję papierosa z ust, ale nie chowa go do paczki, tylko turla między kciukiem i palcem wskazującym. – Wzięłam klucz, wrzuciłam do toalety i

na wszelki wypadek jeszcze na niego nasikałam. Ale to nie koniec. Jak mówią w telewizji: ciąg dalszy nastąpi.

Miriam, to trzeba jej oddać, uwielbiała zmyślać. I była w tym świetna.

– Wzięłam taką plastikową buteleczkę w kształcie misia, wiesz, taką, w jakich sprzedają miód. Okej, znowu zbieralne szczególiki, ale on też lubił bawić się jedzeniem. Bitą śmietaną na moich cyckach, lizak w buzi, brokuł w tyłku, różnie, zależy, co mu przyszło do głowy. Wzięłam tę buteleczkę miodu i wycisnęłam mu ten lepki, złoty nektar na...

Robi okrężny ruch dłonią nad krocem i żeby dodać pieprzyku opowieści, gwizdże przy tym przeciągle.

– Chryste... – jęczy Louis.

– Ale to jeszcze nie koniec. Kiedy wychodziłam, specjalnie zostawiłam drzwi otwarte na oścież. Okna zresztą też. Pomyślałam, że jeśli jakieś zwierzę będzie chciało wejść i spróbować jego fistaszka w miodzie, to zapraszam. Muchy, pszczoły, może jakieś bezdomne psy.

– Chryste... – powtarza Louis i zaciska zęby.

– Mam nadzieję, że uszczęśliwiłam jakieś zwierzątko. – Chrząka, po czym wsuwa papierosa do ust. – Albo może głodnego bezdomnego.

Przez następną minutę Louis nic nie mówi. Prowadzi w milczeniu, choć widać, że cały się gotuje. Ma spięte barki. I wściekłość na twarzy. Czyżby się zorientował, że go okłamała? Czy może szykuje się do swojego popisowego numeru i zaraz wdepnie hamulec, żeby wypadła przez przednią szybę – nie miała przecież zapiętych pasów – a potem zgwałci jej pogruchotane ciało tam, gdzie upadnie, na mokrym asfalcie?

Bam! Uderza dłonią w kierownicę.

Miriam nie ma w zanadrzu niczego elokwentnego do powiedzenia. Powoli zaczyna rozumieć beznadziejność swojego położenia. Nie dam

sobie z nim rady. Zgniecie mnie jak robaka, myśli.

– Pieprzone dupki – warczy mężczyzna.

Miriam mruży oczy.

– Co? Kto?

– Mężczyźni.

– Jesteś gejem? – Nic innego nie przychodzi jej do głowy.

Prostuje się gwałtownie i patrzy w jej stronę.

– Gejem? Ja? Nie.

– Tak tylko pomyślałam...

– Do mężczyzn nie dociera, jak mają dobrze. Mężczyźni są jak...
dzieci. Jak świnie.

– Jak dzieci świnie. Czyli prosiaki – podpowiada Miriam.

– Nigdy nie zwracamy uwagi, co dostaliśmy od losu. Kobiety, które są wystarczająco łaskawe, by związać z nami swoje życie... traktujemy jak zwykłe śmiecie! To idiotyczne! Tragiczna głupota. A mężczyźni, którzy biją kobiety? Którzy je wykorzystują? Którzy nie potrafią docenić, co mają, tylko... tylko je najzwyczajniej w świecie znieważają? Znęcają się nad darem, który otrzymali. Moja żona... kiedy mnie opuściła... ja jej nie potrafiłem docenić...

Znów uderza w kierownicę.

Wtedy właśnie Miriam decyduje, że jednak go lubi.

Chyba pierwszy raz poczuła choćby najlżejszą sympatię do kogoś... po raz pierwszy od wielu lat. Ma w sobie coś: delikatność, smutek, krzywdę. Wie, kogo jej przypomina – Bena, przypomina jej Bena – ale nie chce do tego wracać, więc odsuwa od siebie to skojarzenie i spycha je w najdalsze części mózgu.

Nagle czuje, że nie może się powstrzymać. Musi wiedzieć. Po prostu musi. Musi zobaczyć. To odruch. Imperatyw. Uzależnienie. Wyciąga dłoń.

– Mam na imię Miriam.

Ale on wciąż drży z oburzenia. Nie widzi wyciągniętej ręki.

Cholera, myśli. No dalej. Uściśnij ją. Potrząśnij. Muszę to zobaczyć!

– Miriam to bardzo ładne imię – mówi.

Waha się, a potem powoli cofa dłoń.

– Miło cię poznać, Lou.

– Louis. Nie Lou, tylko Louis.

Wzrusza ramionami.

– Twoja fura, twoje zasady. Niech będzie Louis.

– Wybacz – przeprasza ją. – Nie chodziło o to, że chcę się obrazić. Tylko po prostu... – Macha dłonią, jakby to było bez znaczenia. – Mam za sobą kilka długich tygodni w drodze. Zmierzam do Charlotte, na załadunek.

Nosem wciąga głęboko powietrze, zupełnie jakby chciał sobie dodać kurażu.

– Chodzi o to, że planuję tam kilka dni wolnego, zanim odbiorę kolejną naczepę. Zazwyczaj nie mam w ogóle czasu dla siebie. Podjeżdżam, biorę towar i jadę dalej, ale... tak sobie pomyślałem... może będziesz akurat w okolicy. To tylko godzina drogi na południe. I gdybyś tam była, wiesz, gdybyś... i miałybyś wolny wieczór... no cóż... może zjedlibyśmy obiad. Albo poszli do kina.

Ponownie wyciąga dłoń.

– Jesteśmy umówieni.

Nie uściśnął jej ręki. Miriam gorączkowo rozmyśla, jak daleko będzie musiała się posunąć. Podrapać go za uchem? Potrzebowała jedynie dotyku

jego skóry...

Ale właśnie wtedy uśmiecha się i chwyta jej dłoń w swoją...

Pomieszczenie latarni morskiej ma przeszklone ściany. Jedna z szyb jest rozbita. Przez otwór do środka wpada ze świstem wiatr. Gdzieś daleko przetoczył się grzmot. Brudne szyby przepuszczają trochę światła, które pada na twarz Louisa – twarz pokrytą zaschniętą krwią.

Skądś dobiega szum oceanu.

Louis jest przywiązany do drewnianego krzesła, zaraz obok źródła światła latarni. Nad jego głową góruje masywne, obrotowe zwierciadło. Jego nadgarstki owinięte są brązowym przedłużaczem i przywiązane do poręczy. Drugim przedłużaczem ktoś spętał jego nogi i przywiązał do krzesła. Głowę ma uniesioną za sprawą czarnej taśmy izolacyjnej. Owinięta wokół czoła, przyciska jego potylicę do postumentu zwierciadła.

Podchodzi do niego wysoki, szczupły mężczyzna. Jest całkowicie pozbawiony włosów. Nie ma nawet brwi. Ani rzęs. Nic.

W smukłej, pajęczej dłoni trzyma długi nóż do filetowania.

Mężczyzna przygląda się przez chwilę ostrzu, choć całe pokryte jest plamami rdzy i niezachęcająco pachnie rybimi podrobami.

– Zostaw mnie w spokoju – stęka Louis. – Kim jesteś? Czego ode mnie chcecie? Nie mam tego, czego szukacie!

– To już bez znaczenia – odpowiada mężczyzna. Mówi z silnym akcentem. Trudny do określenia. Europejski.

Nieznajomy porusza się nienaturalnie szybko. Wbija nóż w lewe oko Louisa; ostrze zatrzymuje się, zanim dotrze do mózgu, niszczy tylko oko: tak, jak łysy mężczyzna zamierzał. Louis krzyczy. Napastnik wyciąga nóż. Kiedy ostrze wysuwa się razem z okiem, rozlega się mokre plaśnięcie.

Nieznajomy uśmiecha się smutno.

Nieruchomieje. Podziwia swoje dzieło.

Oko Louisa zatacza łuk i znika gdzieś za ramieniem nieznajomego.

– Miriam? – pyta Louis, ale jest już za późno. Mężczyzna uderza nożem po raz drugi. Tym razem przebija oko i posuwa się dalej.

Przebija oczodół i dociera do mózgu.

DOBRE PYTANIE

Miriam wciąż słyszy mlaśnięcie, z jakim nóż wyłuskał pierwsze oko i dźwięk, jaki towarzyszył kolejnemu pchnięciu. A Louis zawołał ją po imieniu... Miriam? Obraz, który przed chwilą zobaczyła, krąży jej po głowie i nie chce zniknąć.

Ma wrażenie, że dotknęła dłonią rozgrzanego palnika kuchenki. Sapie i szarpie się, cofając rękę.

Z rozpędu uderza głową o okno pasażera. Nie dość mocno, żeby zbić szybę, ale dostatecznie, żeby ją na chwilę zamroczyło. Niezapalony papieros wypada jej z ust i ląduje na kolanach.

– Znasz mnie? – pyta, mrugając, by pozbyć się gwiazdek, które zobaczyła po uderzeniu. Louis robi zaskoczoną minę. Co było zrozumiałe.

– Nie wiem, czy ktoś może powiedzieć, że zna kogoś innego... – zaczyna.

– Nie! – przerywa mu ostro, zbyt ostro, i potrząsa głową. – W sensie, czy kiedyś się już spotkaliśmy? Czy się znamy?

Louis wciąż trzyma dłoń w miejscu, w którym podała mu swoją, ale teraz zaczyna ją cofać; powoli, jakby się bał, że szybki ruch może ją uszkodzić.

– Nie. Nie znamy się.

Miriam przeciera oczy.

– A znasz kogokolwiek innego o imieniu Miriam?

– Nie. Nie przypominam sobie. Na pewno nie.

Patrzy na nią, jakby zobaczył grzechotnika. Kierownicę trzyma tylko jedną ręką, jakby przygotowywał się do obrony, na wypadek gdyby grzechotnik zaatakował, myśli Miriam. Pewnie podejrzewa ją o narkotyki. Jeśli tylko o to.

Cholera. Miriam wie, co to oznacza. A to bardzo niedobra wiedza. Czuje mdłości.

– Zatrzymaj samochód – rozkazuje.

– Co? Mam zatrzymać ciężarówkę? Nie. Pozwól, że dojadę do...

– Zatrzymaj ten cholerny samochód! – Tym razem wrzeszczy ochryple. Nie chce być nieprzyjemna, samo tak wyszło. A świadomość, jak mały ma wpływ na cokolwiek, tylko pogłębia jej zagubienie i swobodne spadanie w stronę bezdennej czarnej otchłani.

Louis zachowuje się na tyle uprzejmie, by delikatnie zatrzymać ciężarówkę. Stękają hamulce i samochód zwalnia. Stoją na poboczu, a silnik mruczy na jałowym biegu.

– Uspokój się, proszę – mówi, unosząc dłoni.

Miriam zaciska szczęki.

– To chyba najgorsza rzecz, jaką można powiedzieć do osoby, która nie jest spokojna. Wiesz, Louis? To jakby polać ogień benzyną.

– Wybacz... nie jestem... nie jestem dobry w te klocki.

W te klocki? Ma chyba na myśli obcowanie z osobami niezrównoważonymi. A ona, najprawdopodobniej, zalicza się do tej grupy.

– Ja też nie jestem dobra w byciu taką.

Ale, myśli, jestem w tym coraz lepsza. Tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, rok po cholernym roku. Pewnego dnia wszystko będzie spływało po mnie jak po kaczce.

– Co się stało? – pyta Louis.

– Dobre pytanie.

– Odpowiesz?

– Nie potrafię, serio. Sam byś... – przerywa i nabiera głęboko powietrza. – Muszę już iść.

– Stąd jest wszędzie daleko.

– Louis, to jest Ameryka. Tutaj wszędzie jest daleko. I wszędzie jest blisko.

– Nie mogę ci na to pozwolić.

Znajduje upuszczonego papierosa i trzęsącą się dłonią wsuwa go sobie za ucho.

– Nie, Louis, wiesz doskonale, że nie możesz mnie zatrzymać, bo niewiele brakuje, a wpadnę w jakiś szal. Widzę twoje spojrzenie. Zaczynasz myśleć, że jednak nie warto łądować się dla mnie w problemy. I wiesz co, masz rację: nie warto. Jestem jak ropień na szyi. Najlepsze, co możesz zrobić, to trzymać się ode mnie z daleka. Najlepszą rzeczą, jaką możesz zrobić, to przebić ropień i się go pozbyć.

Chwyta torbę i otwiera drzwi.

– Poczekaj! – krzyczy Louis.

Ignoruje go i wyskakuje na szorstkie, popękane pobocze. Ląduje w kałuży i momentalnie czuje wodę w butach.

Louis przechyla się na stronę pasażera i otwiera schowek.

– Poczekaj – powtarza, grzebiąc w środku. W końcu wyjmuję białą kopertę i rozdziera ją, a ona widzi, co w niej trzyma: Pieniądze. Gruby plik banknotów. Same dwudziestki.

Twardymi opuszkami kciuka i palca wskazującego wyjmuję pięć z nich i wyciąga do niej.

– Proszę, weź.

– Pieprz się.

Zraniła go. I dobrze. Tak właśnie chciała, zranić go. Nienawidziła się za to, ale nie mogła inaczej. To jak lekarstwo. Każdy czasem musi je przyjąć. Smakuje okropnie, ale działa cuda.

– Dla mnie wystarczy.

To była chyba ostatnia rzecz, jaka ją teraz interesowała. Zrobił na niej wrażenie. Natychmiast wyobraża go sobie na drodze rozjechanego przez koła jakiegoś samochodu, i siebie pod postacią sępa, jak dziobem podnosi jego wnętrzności.

– Nie jestem skarbonką na datki – odpowiada, choć było wręcz przeciwnie.

Louis nie czuje się już skrzywdzony. Jej zachowanie wywołało w nim nową reakcję. Teraz jest zły. Chwyta jej dłoń dość mocno, by mu się nie wyrwała, ale nie na tyle, żeby sprawić ból, i siłą wsuwa banknoty między zaciśnięte palce.

– Masz. Sto dolarów.

– Louis...

– Posłuchaj! Posłuchaj. Idź wzdłuż drogi, tak jak jechaliśmy. Masz przed sobą jakieś pół godziny marszu. Tam dalej jest motel, coś w rodzaju parkingu z miejscami do spania... kilka niewielkich domków. Stacja benzynowa i bar. Po prostu idź przed siebie, a znajdziesz to miejsce. Ale nie

idź drogą, tylko nieco z boku. Nie masz nawet pojęcia, jacy zwyrodnialcy kręcą się tutaj o tej porze.

– Wiem doskonale, jacy – odpowiada, bo sama jest jednym z nich. W końcu bierze od niego pieniądze i patrzy mu w oczy. Stara się być zdecydowany, ale jego złość topnieje, zmienia się w strupek, który pęka i odpada.

– Dasz sobie radę? – pyta jeszcze.

– Zawsze daję – odpowiada. – Najlepiej zapomnij, że w ogóle się spotkaliśmy.

Miriam odsuwa się od samochodu i rusza przed siebie. Idzie ze spuszczoną głową. Nie oglądaj się! Nie rób tego.

Potrzebuje czegoś mocniejszego do picia.

WYWIAD

– Pierwsza zasada – mówi Miriam – jest taka, że zobaczę tylko to, co widzę w chwili dotknięcia nagiej skóry. Jeśli dotknęłabym twojego łokcia, a miałbyś na sobie koszulę, to nici z wizji. Jeśli miałabym rękawiczki, a dawniej często je nosiłam, bo nie chciałam widzieć tego całego szaleństwa, wtedy nie ma mowy o zobaczeniu czegokolwiek.

– To musi być straszne. – Paul kręci głową. – Przepraszam. Nie to miałem na myśli. Ale chyba wiesz, o co mi chodzi. Za każdym razem... to samo od początku... trudno się do kogoś zbliżyć...

– Wyluzuj, Paul. Daję radę. Jestem dużą dziewczynką. A to, co powiedziałeś, dotyczy zasady numer dwa. Albo numer trzy. Niech to diabli, powinnam je sobie zapisać. W każdym razie zasadą jest, że wizja przychodzi tylko raz. I tyle. Nie pojawia się przy każdym kolejnym dotyku, a możesz mi wierzyć, niektóre są tak cholernie nieciekawe, że trudno po nich zasnąć.

Przerywa na chwilę i stara się o nich nie myśleć. Oczyma duszy widzi morze przelanej krwi, ogrom cierpienia i tysiące ostatnich chwil. Makabryczne przedstawienie trwa, a w tym teatrze kurtyna nigdy nie opada. Taniec szkieletów. Miażdżenie czaszek.

– To jak to jest? Co właściwie widzisz? – pyta Paul. – Jesteś jak anioł unoszący się w powietrzu? Czy raczej widzisz świat oczyma osoby, która akurat umiera?

– Chyba tym aniołem. Wiesz, to zabawne. Ja i moje skrzydła. – Miriam wydłubuje paznokciem zaschnięte paproszki z kącików oczu. – Teraz muszę ci powiedzieć o kolejnej zasadzie, bo się z tym wiąże. Jestem całkowicie biernym obserwatorem. Widzę wszystko, co się dzieje, jakbym unosiła się ponad wydarzeniami albo nieco z boku. O niektórych szczegółach wiem dobrze, inne pozostają dla mnie ukryte. Wiem za to na pewno, że dana osoba żegna się z ziemskim padołem. To bardzo intymne. Śmierć nie zawsze jest oczywista. Wiesz, jak gość łapie się za głowę i pada na ziemię, to powodów może być tysiąc. Ale ja natychmiast wiem, co to. Wiem, czy to guz mózgu, udar czy jakiś robal przegryzł się do środka i zrobił norkę w korze mózgowej. No i wiem też, kiedy. Rok, dzień, godzina, minuty, sekundy. Jak pinezka umieszczona na osi czasu wszechświata. I ją widzę. Co ciekawe, nie mogę zobaczyć pinezki sygnalizującej miejsce, gdzie to się stanie. Lokalizacja zawsze pozostaje dla mnie zagadką. Nie no, oczywiście, że widzę rzeczy na zewnątrz, gdzie to się dzieje. Jak jakiejś lasce eksploduje głowa na parkingu McDonalda, zaraz przy nim jest skrzyżowanie z tabliczkami Aleja Debili i Ulica Dupków, a ona nosi koszulkę „Nie zadzieraj z Teksańczykami”, to dedukuję jak pieprzony Sherlock Holmes, żeby rozwiązać tę zagadkę. Jak nie, to zawsze zostaje Google. Ja, kurwa, kocham Google!

– W takim razie ile?

– Co ile?

– Ile... hm... ile widzisz? Minutę? Pięć minut?

– Ach. To. Różnie. Dawniej myślałam, że to jest dokładnie minuta. Wiesz, sześćdziesiąt sekund, jeden obieg wskazówki, a potem pa, pa. Okazało się, że nie. Teraz mam wrażenie, że widzę dokładnie tyle, ile mam zobaczyć, jeśli to ci cokolwiek rozjaśni. Wypadek samochodowy może trwać trzydzieści sekund. Atak serca czy jakiś inny nawet pięć minut.

Widzę tyle, ile mi wolno. Najśmieszniejsze, że nawet jeśli wizja trwa pięć czy sześć minut, to w prawdziwym świecie zajmuje nie więcej niż sekundę, może dwie. Tracę poczucie czasu i natychmiast wracam. Niesamowite.

Paul marszczy brwi, a Miriam wie, że niezależnie od tej sprawy z jego wujem, nie do końca jej wierzy. Nie wini go za to. Zdarza się przecież, że sama sobie nie wierzy. Najprostsze wyjaśnienie, które się nasuwa, to, że ma nierówno pod sufitem.

– Jesteś świadkiem ostatnich sekund życia jakiegoś człowieka – stwierdza.

– Dokładnie tak – potwierdza Miriam. – Ale nie jakiegoś, tylko bardzo wielu ludzi. Zdajesz sobie w ogóle sprawę z tego, ilu ludzi dotykasz gołą skórą, kiedy jedziesz latem metrem? Kiedy wszyscy noszą krótkie koszulki? Paul, mówię ci, to gąszcz łokci. Łokcie i śmierć.

– Dlaczego nie starasz się tego zatrzymać?

– Czego? Śmierci?

– Aha.

Miriam chichocze. Śmiech osoby, która wie więcej niż inni. Śmiech ironiczny, smutny i bezradny. Zbliża butelkę do ust, ale jeszcze nie pije.

– Dlaczego nie powstrzymuję tego, co ma się wydarzyć – powtarza, muskając szyjkę butelki wargami. – Bo widzisz, Paul, właśnie tego dotyczy ostatnia i najokrutniejsza zasada.

Przechyla butelkę, nabiera do ust tyle Johnny'ego Walkera, ile tylko może, a potem przełyka i wyjaśnia...

JAK ĆMY DO ŚWIECY

Miriam maszeruje już pół godziny, a w jej głowie trwa nieustanna karuzela myśli. Przerazających myśli.

Mężczyzna, kierowca ciężarówki, Frankenstein. Louis. Umrze za trzydzieści dni, dokładnie o dziewiętnastej dwadzieścia pięć.

Jego ostatnie chwile będą wyglądały naprawdę przerażająco. Miriam widziała to wszystko i nie mogła się pozbyć drastycznego widoku. Całej tej okropności. Krwi, potłuczonego szkła i wydłubanego oka. Żadna z tych rzeczy sama w sobie nie była zaskakująca, lecz bardzo rzadko widziała morderstwa. Samobójstwa, tak. Choroby? Non stop. Wypadki samochodowe, jakieś inne tragedie – raz za razem.

Ale morderstwo? To raczej unikat.

Dokładnie za miesiąc Louis wypowie jej imię, a chwilę później skona. Nie, w rzeczywistości to wyglądało znacznie gorzej. Ktoś wbije mu nóż w oko, ostrze dotrze do mózgu i dopiero wtedy ją zawoła. Zobaczy ją tam. Powie coś do niej.

Miriam przywoływała tę scenę ciągle od nowa i do niczego nie mogła dojść. To bez sensu.

W końcu krzyczy coś na pograniczu „kurwa” i „ja pierdołę” – do samego końca nie może się zdecydować – i podkreśla wagę swoich słów

odłupanym kawałkiem asfaltu, którym ciska w martwy znak zjazdu. Zadźwięczał. Zadrżał.

Kilka metrów dalej dostrzega szyld informujący o pobliskim motelu. Gospoda u Swifty'ego.

Na tle czarnego, brzemienego burzą nieba jaśniej neon w kształcie piwa. Bar jest jak światło świecy wabiące ćmy, a ona jest jedną z nich – tłustą śmiercią, którą się żywi. Zataczając się, rusza w stronę lokalu.

Na podniebieniu czuje już ten smak.

Wnętrze lokalu wygląda trochę jak kopiające na boki niechciane dziecko drwala i harleyowca wyrwane siłą z przegniłego łona. Ciemne drewno. Myśliwskie trofea. Chromowane narożniki. Betonowa podłoga.

– Oaza – mówi na głos.

W środku nie ma wielkiego ruchu. Na jednym ze stołów stoi duży dzban z piwem, a dookoła siedzą kierowcy i grają w karty. Motocykliści kręcą się przy samotnym stole do bilarda pod tylną ścianą. Muchy wściekle wirują wokół stosu zaschniętych frytek w sosie serowym, które ktoś porzucił obok lakierowanej framugi drzwi. Z szafy grającej wydobywa się wycie Iron Butterfly: *Inna Gadda Da Blah-Blah, Baby*.

Rozgląda się w poszukiwaniu lady. Szybko ją dostrzega, ozdobioną ciężkim łańcuchem.

To będzie mój dom, myśli. Zamieszka tu, dopóki mnie nie eksmitują.

Prosi o drinka, spoglądając na barmana, który wygląda jak klucha z wyrośniętego drożdżowego ciasta wciśnięta w brudny czarny T-shirt.

– Za piętnaście minut zamykamy – mruczy mężczyzna, a potem dodaje: – dziewczynko.

– Pierdol się z tą „dziewczynką”, złamasie. Skoro mam tylko piętnaście minut, nalej mi whiskey. Najtańszej i najpodlejszej, jaką macie. Coś z

gatunku paliwa do zapalniczek zmieszanego ze szczynami kojota. Możesz sobie darować szklaneczkę, ale jeśli ci bardzo zależy, sama się obsłużę.

Mężczyzna wpatruje się w nią przez chwilę, jakby nie wiedział, co powiedzieć, aż w końcu wzrusza ramionami.

– Jak tam chcesz. Już podaję.

Błada Twarz wyczarowuje spod kontuaru plastikowy pojemnik, który kiedyś mógł być baniakiem na płyn do spryskiwaczy. Sądząc po wyglądzie chlupoczącej w nim whiskey, płyn do spryskiwaczy byłby zapewne zdrowszym wyborem. Mężczyzna machnięciem rozgania chmarę komarów. Pewnie uzależniły się od oparów.

Odkręca korek i odchyła głowę, zanosząc się kaszlem. Przeciera oczy. Zapach – chociaż może to nie najważniejsze słowo – dociera do Miriam kilka sekund później.

– Chryste, ale ryje czachę. Pali w nosie, jakby ktoś mi tam naszczał – mówi. – I łzawią mi oczy.

– Mój ziom w Tennessee pędzi to cudo. Tyle że zamiast dębowych beczek używa baniaków po oleju silnikowym. Mówi, że to bourbon, ale kto go tam wie.

– Jest tanie?

– I tak nikt by tego nie wziął. Całość puszcę ci za piątą dolców, co ty na to?

Smród bijący z plastikowej szyjki przypominał jej zapach przypalanych skorupiaków; nie potrafi przewidzieć, jakie spustoszenie napój wyrządzi w jej wnętrznościach. Właśnie tego potrzebuje. Potrzebuje pokuty i oczyszczenia. Rzuca banknot na ladę i puka palcem w drewno.

– Do szczęścia potrzebuję jedynie kieliszka.

Błada Twarz stuka szklaneczką tuż obok pięciodolarówki i tłustymi paluchami zwija pieniądz.

Miriam unosi plastikowy baniak i leje zamasyście do kieliszka, aż mętny płyn chlusta na boki, tworząc kałużę dookoła. Zaskakujące, myśli dziewczyna, że nie wyżarło dziur w lakierze.

Patrzy na zawartość szklaneczki. Unoszą się w niej strzępki jakiejś niezidentyfikowanej substancji. Ale między nimi pojawia się jeszcze coś: Louis. Jego twarz. Zmasakrowane oczy. Usta, z których wydobywa się jęk – jej imię.

Zapomnij, powtarza sobie. Nie po raz pierwszy i nie ostatni widzi takie rzeczy. Od ośmiu lat tak się dzieje. Każdy umiera, to jak oddychanie czy sranie. Z nim będzie dokładnie tak samo – prawie tak samo, podpowiada cichy głosik w jej głowie, bo przecież nie każdy woła cię po imieniu, kiedy ktoś inny wierci mu dziurę w mózgu brudnym nożem do filetowania ryb – więc skąd te skrupuły? Powinna mieć to gdzieś, i ma. I żeby to sobie udowodnić, wychyla kolejkę. Na jeden raz.

Ma wrażenie, że w jej przełyku eksploduje petarda nasączona płynem do przetykania zapchanej kanalizacji. Po chwili fala uderzeniowa dociera do żołądka, a potem czuje, że rozrywa jej wątrobę. To najgorsza i najobrzydliwsza rzecz, jaką kiedykolwiek miała w ustach.

Doskonale. Nalewa drugą kolejkę.

Błada Twarz stoi i przygląda się jej, onieśmielony.

Po drugim kieliszku pojawiają się pierwsze oznaki błogosławionego zubożenia. Obraz traci ostrość. Alkohol dusi garotą każdą myśl, która nie chciała opuścić jej głowy, zaciąga na brzeg ogrodowego basenu dla dzieci i zanurza pod wodę. Czeka, aż przestanie wierzgać. W końcu myśli toną.

Z całej watahy pozostaje już tylko jedna.

Myśl o błyszczącym balonie z helem unoszącym się nad ulicą.

Zamyka oczy i nalewa jeszcze jedną kolejkę. Nie słyszy, że ktoś otwiera drzwi i wchodzi do baru. Nie widzi nawet, że ktoś się do niej przysiąda.

– Zamierzasz to wypić czy tylko się z nim pieścisz?

Miriam unosi wzrok. Ładna, chłopięca twarz. Błyszczące, gęste czarne włosy, zmierzwione, jakby ktoś zbudował szafas z kruczych piór. Jasne oczy. Szeroki uśmiech.

– Gra wstępna jest bardzo ważna – odpowiada.

– Wypij ten, to ci kupię kolejny – proponuje nieznajomy, po czym spogląda na baniak z resztą płynu. – A w każdym razie coś, co nie wygląda jak woda po zmywaniu podłogi.

– Pozwól mi zapić się na śmierć.

– Daj spokój – uśmiecha się. – Jesteś na to za ładna. Nawet z podbitym okiem.

Miriam nic na to nie może poradzić: czuje szybsze bicie serca. A potem łaskotanie między nogami. Ma taki miły głos. Niemal liryczny, jak ktoś, kto mógłby śpiewem zawstydzić chóry anielskie. Ale nie kobiecy, o nie. Mieszka w nim pewność siebie. I nie mówi z południowym akcentem. Wygląda jak magnes na kłopoty. Ale to ją tylko podnieca. Uwielbia kłopoty. Życie na powrót staje się normalne, cokolwiek w jej przypadku miałyby to oznaczać.

Coś jednak nie daje jej spokoju – ma wrażenie, że skądś zna jego twarz. Nie potrafi sobie tylko przypomnieć, gdzie ją już widziała.

Nieznajomy kiwa na Błądą Twarz i zamawia piwo. Przechyla butelkę. Ale nie spuszcza z niej wzroku. Cały czas patrzy.

– Co byś powiedział dziewczynie z dwoma podbitymi oczami? – pyta Miriam.

– Nic, czego nie powtórzyłem jej już dwa razy – odparowuje błyskawicznie.

– Tak się pali moje dowcipy – krzywi się. – Myślałam, że cię zaskoczę.

– Mnie? Mowy nie ma. – Znów się uśmiecha. Ostro. Zbyt ostro. Niezłeciacho. Cholera. – Poza tym ty masz przecież tylko jedno podbite oko.

– To znaczy, że jeszcze nie zrozumiałam, co do mnie mówiono.

– Ashley – przedstawia się. – Ashley Gaynes.

– Ashley to damskie imię.

– To samo mówił mój tata, kiedy lał mnie pasem – odpowiada, nie przestając się uśmiechać. Nie, nie tylko nie przestając: teraz uśmiecha się jeszcze szerzej.

Miriam robi nieme O. Kręci głową i śmieje się.

– Jasna cholera, chłopcze. Najpierw palisz mi dowcip, a potem wyskakujesz z jakąś łzawą historią domowej przemocy? Wiesz co? Niech ci będzie. Wzruszyłeś mnie. Jak się zacznie apokalipsa, daruję ci życie. A przy okazji, Miriam.

– Miriam to imię dla starej kobiety.

– Tak się czuję.

– Mogę sprawić, że poczujesz się znów młodo.

Przewraca oczyma.

– Niech to diabli. A tak dobrze ci szło...

– Niech będzie, to zrobmy tak – mówi, bez pośpiechu oddzierając naklejkę ze swojego słodkawego piwa. – Zaraz udam się w miejsce, w które nawet król chodzi piechotą. Potem wiesz, po ścianie, z pianą na dwa palce.

Potem pouśmiewam się do lustra, bo chcę dobrze dla ciebie wyglądać. Oczywiście umyję ręce. Jestem świntuchem, ale nie w tym sensie. Kiedy skończę, wysuszę dłonie i wrócę do ciebie.

– Dzięki za szczegółowe sprawozdanie. Powiedz mi tylko, czy jak już tam będziesz, podrapiesz się przy okazji po jajkach?

Ignoruje jej uwagę.

– Jeśli jeszcze tu będziesz, to gra toczy się dalej. Zabiorę się za ciebie jak dzieciak za paczkę od Świętego Mikołaja. Będziesz chichotać. Ja się zaśmieję. Dotkniesz mojej dłoni. Ja położę dłoń na twoim biodrze. A potem pójdziemy do mnie.

Ashley uśmiecha się, mnie palcami mokrą etykietkę z piwa i rzuca ją prosto w jej szklaneczkę.

– Głupek – śmieje się.

Wstaje i rusza w stronę toalety.

Obserwuje jego tyłek, kiedy idzie. Kościsty. Ale wystarczy, żeby wbić się pazurami.

Patrzy, jak mija trio harleyowców przy stole do bilarda. Starszy gość spogląda na niego spod kurtyny posiwiałych włosów. Kumpel obok jest niski i napakowany. Wygląda jak naprężona paczka parówek do hot dogów. Ostatni sprawia wrażenie jedyne pozostałego przy życiu gladiatora z *Mad Max*. Żyjąca góra tkanki tłuszczowej i mięśni. Dwa metry wzrostu, potężny szkielet obudowany mięskami i tłuszczem. Ramiona wielkości pniaków niemal w całości pokrywa siatka tatuaży: twarz jakiejś staruszki, płonące drzewo, kupa czaszek, motocykl w ogniu. Grubas.

Grubas zamierza właśnie pchnąć bilę. Cofa kij. Gigantyczna głowa w kształcie arbuza nachylona dla lepszego celowania.

Ashley przechodzi akurat obok. Kościstym biodrem zahacza o koniec kija.

Czubek kija uderza w zielone sukno i trąca bilę, która toczy się prosto do otworu w narożniku.

Błąd.

Grubas prostuje się i patrzy na Ashleya. Gdyby stali na dworze, zasłoniłby słońce. Ziemia by się zatrzęsała. A z pęknięć w skorupie wytrysnęłyby magma.

Ashley uśmiecha się. Grubas syczy. Mucha – spasiona przyklejonymi do ziemi frytkami z sosem serowym – zabłądziła w przestrzeń między nimi i czym prędzej zaczyna spieprzać.

– Pierdolony złamasie – cedzi Grubas. – Zepsułeś mi strzał.

Ashley nie przestaje się uśmiechać. A Miriam rozumie, że wpadli w tarapaty.

ZAMYKAMY

– To go powtórz. – Ashley wzrusza ramionami.

– Nie da się powtórzyć strzału – odpowiada Grubas z miną, jakby Ashley zaproponował mu seks z własną matką. – Zasady to zasady, debilu.

Najstarszy harleyowiec z szopą kręconych, siwawych włosów – Miriam w myślach nazywa go Szarym Łoniakiem – staje za Ashleyem. Hot Dog zachodzi go od boku, jak welociraptor z *Jurassic Park*.

Błada Twarz momentalnie nurkuje za barem i do końca nie wystawi zza niego nosa.

Miriam uważa, że to kolejny omen.

– Hej, załóżę się, że twoi koledzy zgodzą się na powtórkę – twierdzi Ashley.

Szary Łoniak potrząsa głową. Hot Dog mruczy coś niezrozumiale.

– Moi koledzy mają zasady – warczy Grubas.

Ashley wzrusza ramionami.

– W porządku. To walcie się.

Grubas porusza się szybciej, niż Miriam uważa za w ogóle możliwe. Szary Łoniak obraca Ashleyem i pcha go w stronę kompana, a Grubas przekłada mu kij nad głową, przyciska do gardła i unosząc coraz wyżej,

przyciąga do siebie. Drewno boleśnie wbija się w tchawicę, utrudniając chłopakowi oddychanie.

Grubas unosi go w powietrze, jakby był szmacianą lalką.

– Teraz ścisnę, aż się zesrasz w gacie – dudni głos potężnego mężczyzny.

Ashley porusza szczęką, ale z jego ust wydobywa się jedynie bulgot i charczenie. Jego potylicą opiera się o mocarną pierś Grubasa. Parząc na jego siniejące usta, Miriam odruchowo myśli o Del Amico.

Wie, że nie powinna się do tego mieszać. Najrozsądniej byłoby wymknąć się teraz z baru, ściskając pod pachą toksyczną mieszankę bourbona, i na wszelki wypadek długo nie oglądać się za siebie. Ale, niech to diabli, Miriam nie była mistrzynią podejmowania rozsądnych decyzji.

Chwiejnym krokiem podchodzi do miejsca bójk. Nie spieszy się, a kiedy w końcu staje obok mężczyzn, usta Ashleya mają już kolor ciemnobordowy, jak dwie dżdżownice splątane w walce albo miłosnym uścisku.

Miriam stuka delikatnie palcem w skórzaną kamizelkę Grubasa.

– Przepraszam – mówi, udając dziewczęcą grzeczność. – Siłaczu? Mogę na chwilę przeszkodzić?

Mężczyzna odwraca potężną czaszkę w jej stronę. Miriam może przysiąc, że słyszy tarcie kamiennych żaren, kiedy góra mięśni zmienia pozycję, by rzucić okiem na brzęczącego komara.

– O co chodzi? – pyta, jakby od niechcienia.

Ashleyowi zaczynają drżeć nogi.

– O tego gościa, co go za chwilę udusisz na śmierć?

– A, o to...

– To mój brat. On jest... inny. Ma problemy. Pierwszy to złe wychowanie. Drugi to imię. Rodzice dali mu Ashley. Sam rozumiesz, z takim imieniem musi udowadniać, że nie jest babą. Trzeci to taki, że w najlepszym razie jest półgłówkiem. Chociaż ja bym raczej obstawiała ćwierćgłówka, skoro już tak sobie tutaj gwarzymy. Jak był dzieckiem, mama karmiła go nawozem do trawników. Psycholog by powiedział, że to próba spóźnionej aborcji.

Ashleyowi oczy uciekają pod powieki.

– Skoro już tyle wiesz – mówi dalej Miriam – może byłbyś tak uprzejmy i przestał go dusić. Chciałam też zapytać, czym się tutaj raczycie, bo byłabym przeszczęśliwa, gdybym w rewanżu mogła postawić wam kolejkę, zanim zamkną tą norę.

– Serio? – pyta Grubas.

Miriam uniosła dwa palce w geście przysięgi, choć można to również wziąć za niemą groźbę proktologa.

Dziewczyna niemal widzi tektoniczne płyty trybów w jego głowie, jak zaczynają się powoli obracać. W końcu Grubas zwalnia uścisk i Ashley pada na kolana. Charcząc i krztusząc się, masuje obolałe gardło.

– Jestem zobowiązana. – Miriam uśmiecha się.

Grubas warczy.

– Trzymaj braciaka na smyczy. I niech nosi tabliczkę ostrzegawczą.

– Pomyślę o tym.

– Pijemy piwo. Coors Light. Ale przydałoby się coś mocniejszego. Tequila.

– Tequila, niech będzie.

– Ale jakaś dobra, a nie ten tani gówniany sok z kaktusa.

Miriam unosi kciuki, a potem podaje dłoń Ashleyowi. Mężczyzna przestał się już krztusić... prawie. Kaszle, ale nie chwyta jej ręki.

Patrzy za to na Miriam i uśmiecha się. Dziewczyna wie już, że to się stanie, lecz zupełnie jak przy wypadku samochodowym, nie może nic zrobić, żeby zapobiec.

Ashley uderza Grubasa w krocze.

Oczywiście nic w ten sposób nie osiąga, bo Grubas ma jaja z kamienia. Gigantowi nawet nie drży powieka. Mimo wszystko Ashley trochę go zaskoczył.

– To było nefajne – mruczy jedynie.

Potem bierze szeroki zamach, by uderzyć Ashleya w twarz, która znajduje się na wysokości jego pasa.

Chłopak jest jednak na to przygotowany. Cofa gwałtownie głowę, a potężna pięść Grubasa przecina powietrze, by w pełnym pędzie zjednoczyć się z narożnikiem masywnego stołu. Miriam widzi, jak mężczyzna łamie sobie dwa palce – odskakują i wyginają się pod dziwnym kątem. Słyszy nawet trzask kości. Zupełnie jakby ktoś za bardzo wygiął suchą gałązkę.

Grubas, trzeba mu to oddać, nawet nie krzyczy. Powoli unosi uszkodzoną dłoń i przygląda się jej uważnie. Wygląda przy tym jak szympanś oglądający spinacz czy iPoda.

Wtedy rozpętuje się piekło.

Szary Łoniak chwyta Ashleya za szyję, ale Miriam reaguje równie błyskawicznie: kopie mocno pobliskie krzesło, posyłając je w stronę starego motocyklisty. Oparcie trafia go między nogi. Mężczyzna składa się w pół. Ashley napiera całym ciężarem ciała na kolana Hot Doga, powalając go na ziemię.

Wtedy nagle: trzask. Kij bilardowy pęka na głowie Ashleya. Grubas, z pozostałą częścią kija w zdrowej dłoni, prostuje się nad chłopakiem. Trzęsie się ze śmiechu. Dla niego to zabawa.

Zanim Miriam zdążyła pomyśleć, jest między walczącymi. Ktoś uderza; nie wie, kto. Czuje jedynie pęd powietrza, kiedy minęła ją czyjaś pięść. Ashley podnosi się z ziemi. Ma zamglony wzrok. Chwilę później, pchnięty przez Grubasa, pada plecami na stół, z którym ponownie ląduje na ziemi.

Miriam kątem oka dostrzegła błysk: Szary Łoniak, jedną ręką trzyma się za zmiażdżone jądra, drugą wyciąga nóż.

Hot Dog bierze zamach.

Grubas unosi złamaną końcówkę kija nad głową Ashleya.

Wszystko dzieje się tak szybko, a jednocześnie tak wolno! Miriam obraz rozmazuje się przed oczyma. Jest na wpół pijana.

Pora zakończyć przedstawienie. Czas na małą niespodziankę, którą trzyma na takie okazje.

Widząc, jak Szary Łoniak idzie w jej kierunku, sięga do torby. Uchyła się przed Hot Dogiem. Grubas coś wyje i zaciska palce – nawet te połamane – wokół zaimprovizowanej broni. Miriam w końcu znalazła to, czego szukała. Wyjmuje. I używa.

Gaz pieprzowy. W spienionym żelu. Strzelał strumieniem, a nie chmurą. Doskonale przeciwko psom, niedźwiedzim i Grubasom.

Dziko wymachuje pojemniczką, nie odrywając palca od spustu. Strumień trafia Grubasa prosto w otwarte oczy. Mężczyzna wyje i uchyła się, jakby to jeszcze jakoś mogło pomóc. W powietrzu błyska nóż, więc odskakuje i trafia Szarego Łoniaka. Hot Dog nie chce się poddać. Chwyta ją za nadgarstek...

Młody jelonek wyszedł niepewnym krokiem na środek drogi i zamarł w bezruchu pośród otaczającej go ciemności, zahipnotyzowany pojedynczym światłem zbliżającego się motocykla. Hot Dog jest zbyt zajęty całowaniem podstarzałej, wytatuowanej kobiety z ustami otoczonymi księżycowym krajobrazem po ciężkiej opryszczce. Kiedy w końcu wyjął język spomiędzy jej krzywych i zepsutych zębów, jest już za późno. Szarpie za kierownicę i mija o centymetry biały ogonek. Opona wjeżdża na miękkie pobocze. Motocykl wpada w poślizg i przewraca się. Hot Dog nie nosi kasku. Uderza twarzą w ziemię. Asfalt i rozsypany po nim żwir działają jak papier ścierny. W ułamku sekundy znika pół jego twarzy, a reszta wygląda jak mielone mięso. Oko wycieka z uszkodzonego oczodołu. Koziołkuje bezładnie wzdłuż drogi, kręgosłup się wygina, aż w końcu pęka. Laska leci głową naprzód, jak jakiś zidiociały superbohater; wymachuje ramionami. Krzyczy. Jelonek ucieka w las.

...a Miriam odskakuje, wciska mu dyszę gazu do ust i wypełnia gardło żrącym żelem. Wystarczają dwie sekundy, żeby padł na zimną, betonową podłogę, wymiotując jak opętany, z czerwoną twarzą i wytrzeszczonymi oczyma. Łzy i smarki popłynęły nieprzerwanym strumieniem.

Miriam pomaga Ashleyowi wstać.

– Musimy uciekać – mówi.

Grubas przyciska do oczu dłoń z połamanymi palcami.

Ashley chwyta połówkę odłamanego kija i z całej siły uderza wielkoluda w głowę. Miriam popycha go w stronę wyjścia.

– Powiedziałam, że musimy uciekać!

Ashley rzuca się biegiem. Cały czas się śmieje.

Miriam po drodze zgina w zaciśniętej dłoni banknot dwudziestodolarowy i ciska nim za bar, gdzie kryje się Błada Twarz.

Wpada ramieniem na drzwi, otwierając je. Czuje, jak zalewa ją fala świeżego powietrza, pełnego woni mokrego asfaltu i rozlanego piwa. Kręci jej się w głowie. Niewiele brakowało, a upadłaby, potykając się o kawałek betonu wyrwany z parkingu. Żółte jak szczyzny latarnie oświetlające fragment drogi wydają się jakby z innego świata. Odległy szum samochodów wypełnia jej głowę. Ogarnia ją poczucie zagubienia. Dokąd teraz? Dokąd uciekać?

Ashley dotyka jej pleców.

– Chodź za mną – mówi.

Słucha go. Po drodze chłopak wygrzebuje z kieszeni kółko z kluczami i zanim Miriam orientuje się, co się dzieje, stoją przy białym mustangu z końca lat osiemdziesiątych.

– Wsiadaj! – krzyczy.

Wykonuje polecenie i gramoli się do środka, jak karaluch z motelu, w którym został Del Amico.

Wnętrze samochodu jest ciemne, zaniedbane i zatechłe. Winyl tapicerki miejscami odchodzi. Puste kubki po kawie i butelki po napojach zaścielają całą podłogę. Z lusterka wstecznego zwisa kilka zwietrzałych odświeżaczy powietrza. Sądząc po wyczuwalnej mieszance zapachów dymu papierosowego i spoconych stóp, od dawna już nie spełniają swojej funkcji.

Ashley wsuwa kluczyk do stacyjki, ale silnik tylko rzezi. Obraca nim ponownie, i znów rozlega się astmatyczne kasłanie, ale silnik nie zaskakuje.

– Co się, kurwa, dzieje? – pyta Miriam. – No dalej!

Drzwi – trzydzieści metrów od samochodu, może nieco bliżej – odskakują.

Ze środka wypada Grubas. Nawet w parszywym świetle odległych latarni Miriam widzi obwódkę białej piany, którą toczy z wykrzywionych

wściekłym i nienawistnym grymasem ust. Zielonkawe sople wiszą z zaczerwienionego nosa. Wodzi po parkingu przekrwionymi, załzawionymi oczyma jak wściekły byk szukający przeciwnika.

Miriam dostrzega strzelbę, którą trzyma w dłoni. Nie ma pojęcia, skąd ją wziął – może z za baru? Jej pochodzenie nie ma jednak żadnego znaczenia, bo problem polega na tym, że istnieje, że ma ją Grubas i że Grubas jest wściekły.

– Dalej! Szybciej! – krzyczy. – On ma broń!

Samochód jakby zrozumiał jej spanikowany głos i silnik ożywa głębokim bulgotem. Trzęsie się i przerywa, ale nie gaśnie. Ashley wrzuca wsteczny i rusza w tył – na nieszczęście, w stronę wścieklej góry mięsa z shotgunem w dłoni.

Rozlega się strzał.

Tylna szyba mustanga eksploduje i tysiące drobnych kawałków szkła zasypuje wnętrze. Miriam czuje drobne ukłucia.

Mustang, jak dziki rumak, na którego cześć został nazwany, skacze naprzód, kiedy tylko Ashley wrzuca jedynkę. Tylne koła wzbijają tuman kurzu, strzelają drobnymi kamykami, rura wydechowa bucha spalinami. Przyspieszają. Mustang gna, jakby ktoś okładał mu zadek batem. Kolejny grzmot wystrzału. Miriam słyszy, jak śruciny bębnią gdzieś w tył karoserii, ale chwilę później Grubas nie mógł już im zaszkodzić.

Samochód wypada z parkingu na ulicę, piszczą opony. Ashley zanoszą się śmiechem.

MAŁA ŚMIERĆ

Jest noc.

Niewielki domek przycupnął przy krętej drodze. Glicynia – piękna roślina, ale z jakiegoś powodu uznana przez władze wspaniałej Karoliny Północnej za chwast – porasta połowę budynku, obejmując ją prężnymi pnąciami niczym duszącymi palcami, spomiędzy których zwisają fioletowe kwiaty przypominające ciemne winogrona.

Gdzieś w oddali szczeka pies. W tle słychać cykanie świerszczy.

Czarne niebo jest tłem dla milionów połyskujących gwiazd.

Na podjeździe stoi biały mustang. Zamiast tylnej szyby zieje wielka dziura, a kłapa bagażnika, trafiona śrutem ze strzelby, przypomina sito.

W domu panuje jeszcze głębsza ciemność. I bezruch. Czerń i cienie przenikają się płynnie, nie wyznaczając wyraźnych granic.

Nagle rozlega się jakiś dźwięk.

Dzwonienie przed drzwiami wejściowymi, potem szuranie przy zamku. Ktoś upuszcza klucze. Potem chichot i przekleństwo. W końcu klucz trafia do zamka. Chrobot, zgrzyt. Mocowanie się.

Drzwi otwierają się na całą szerokość, prawie wypadając z zawiasów. W progu majaczą dwa cienie; oplatają się, przenikają, by potem się oddalić i znów do siebie przyłgnąć. Łączy je dziwna siła przyciągania, bardzo

mocna. Dwa ciała gnane ku sobie wielką mocą, jak supernowa; wyprostowane, wirujące. Biodra oparte o stół. Na ziemię spada poczta. Chwilę potem jej śladem podąża jakaś miniatura w ramce. Rozpryskuje się szkło.

Otwarta dłoń uderza w ścianę. Po omacku szuka włącznika światła.

Klik.

– Cholera – mówi Miriam. – Za jasno.

– Cicho – karci ją Ashley i przyciska do oparcia pluszowej sofy. Dłońmi trzyma mocno jej biodra.

Przywarł twarzą do jej twarzy. Usta spotykają usta, zęby napotykaają zęby, a język...

Ashley siedzi w fotelu inwalidzkim. Jest bardzo stary, a skórę na łysej głowie pokrywa szachownica plam wątrobowych i innych znaków mijającego życia. Kruche dłonie spoczywają na kocu, którym ma przykryte nogi...

...dotyka języka. Przygryza jego dolną wargę, a on nie pozostaje dłużny. Unosi kolano i obejmuje udem jego szczupłe, zgrabne biodra odziane w dżinsy. Przyciąga do siebie, a potem zwinnie obraca, tak że teraz to on przyciskany jest do oparcia sofy.

Jednym ruchem zdejmuje koszulkę. Chwyta ją mocniej za biodra, niemal boleśnie...

...Na podłodze obok stoi butla z tlenem. Wystaje z niej przejrzysta rurka, znika pod różowym kocykiem i pojawia się znowu ponad nim, biegnąc prosto do nosa. Jest drobny, jak zgnieciony kubeczek jednorazowy, jak worek powoli rozpadających się kości, dla żartu owinięty w błękitny szlafrok. I tylko jego oczy – jego oczy są wciąż młode, błyszczą jak dwa

lusterka. Rozglądają się na boki, podejrzliwie albo raczej szukają, kto patrzy podejrzliwie na niego, i...

...a ona wyrzuca zwinięty T-shirt za siebie. Znów łączą się w pocałunku.

Ubrania opadają na ziemię, znacząc ślad z salonu do sypialni.

Nie mija wiele czasu, a dotyk staje się wszechobecny. Kiedy padają na łóżko, w powietrzu słychać sapanie...

...dostrzega dwójkę sanitariuszy w narożniku. Rozmawiają i śmieją się. Opowiadają sobie jakieś głupkowate historyjki, żeby tylko przełamać monotonię pracy, żeby nie pamiętać, ile razy będą musieli brać prysznic i myć ręce, żeby pozbyć się smrodu zaszczanych ubrań starych ludzi. Ale nie, nikt go nie obserwuje. Pomieszczenie wypełniają praszczury, przedpotopowe niedobitki. Różne stadia rozkładu. Kobieta z włosami ufarbowanymi na pomarańczowo bawi się drutami, ale bez włóczki, chuderlawy osiemdziesięciolatek siedzi nieruchomo, a z ust kapie mu ślina. Grubasek wsunął dłoń pod koszulkę i drapie po brzuchu, tępo wpatrując się w ekran telewizora, gdzie akurat wyświetlają stary odcinek Spongeboba...

...ale na łóżku też nie zostają zbyt długo; turlają się na podłogę. Gryzie go w ucho. On przygryza jej sutek. Miriam wbija mu paznokcie w plecy. Sięga do jej szyi i zaciska palce. Miriam czuje, jak krew dudni jej w uszach: głuchy łomot pulsu, potężniejszy z każdym uderzeniem serca. Zamyka oczy i wsuwa mu kciuk do ust...

...a Ashley siedzi nieruchomo i tylko wodzi oczyma. Podciąga koc do samej szyi, odsłaniając nogi. Plastikowy kłapek kołysze się na jego prawej stopie, a lewej stopy brakuje. Lewa noga kończy się ślepo tuż poniżej

nogawki pizamy. Nie ma protezy. Ashley spogląda w dół, smutno, tęsknie, nienawistnie...

...Dotyka stopą jego stopy i czuje dziwne ukłucie, jakby poraził ją prąd. Ogarnia ją jednocześnie ekstaza i odraza, jakby była jedną z tych osób, które się podniecają, oglądając wypadki samochodowe. Obrzydliwe, ale teraz to nie ma znaczenia. Zatraciła się. Jest pijana chwilą. Ashley zaciska dłonie na jej szyi. Śmieje się. Ona jęczy. Zaczyna kopać. Zaciska palce u stóp.

Unosi nogi, zahacza o pościel i kątem oka dostrzega pod łóżkiem coś dziwnego – metalową walizkę z zamkiem szyfrowym i czarną lakierowaną rączką – lecz jej oczy szukają tylko Ashleya, a uszy słuchają muzyki bijącego szaleńczo serca.

Odciąga jego dłonie od gardła i przewraca go na bok, by znaleźć się na nim. Uderza głową o nogę stolika nocnego, ale żadne z nich o to nie dba. Teraz to ona zaciska palce na jego gardle. Unosi się i gryzie ją, nieco poniżej obojczyka. Miriam czuje, że żyje, że wraca to, czego od dawna już nie pamiętała. Kręci jej się w głowie i zalewa ją fala wilgotnego przypływu. Obejmuje go udami i czuje w sobie...

...zamyka oczy, a kiedy znowu je otwiera, znika ostrość widzenia. Zostaje tylko rozmazana plama. I wirujące kolory. Zrywa spod nosa rurkę z tlenem i pozwala jej opaść gdzieś obok wózka inwalidzkiego. Powieki zaczynają drżeć. Pierś unosi się raz, a potem drugi raz. Z gardła wydobywa się cienki pisk, jak syk powietrza uchodzącego przez dziurkę w oponie. Pisk przechodzi w gulgot; płyn wypełnia mu płuca, a on zaczyna walczyć o powietrze, jak ryba wyjęta z wody, otwiera i zamyka usta, ale to nic nie daje. Tonie. Topi się we własnym ciele, aż w końcu dostrzega go jeden z sanitariuszy – wysoki czarny mężczyzna ze srebrnym kolczykiem w nosie – i

rusza w jego stronę. Delikatnie nim potrząsa. Podnosi z ziemi rurkę z tlenem i przygląda jej się, jakby nie rozumiał, co widzi. Potem patrzy z troską na staruszkę i pyta: „Proszę pana? Ashley?”. Dopiero teraz do niego dociera. Teraz rozumie, co się dzieje. „Niech to diabli. Przyjacielu, słyszysz mnie?”. To ostatnie słowa, jakie Ashley słyszy. A potem już go nie ma. Sanitariusz mówi coś jeszcze, ale nikt go nie słyszy, bo śmierć to śmierć. Przeciągły jęk.

...Miriam krzyczy. Porwana szaloną mieszaniną emocji dociera do końca. Orgazm.

Zaskoczenie.

SEN

Czerwona szufla do śniegu trafia ją głucho w sam środek pleców. Przyszpila do ziemi. Podbródkiem uderza o twarde płytki; zęby przygryzają język. W ustach czuje słodkawy smak krwi. Łopata opada ponownie, tym razem trafiając ją w tył głowy. Pęka jej nos. Rusza z niego szkarłatna kaskada.

Wszystko się kołysze, nic nie jest ostre, słyszy bezustanny pisk.

Unosi załzawione oczy i rozgląda się.

Louis siedzi na toalecie za przegrodą. Ma założone spodnie. Krzywe, rozklekotane ściany kabiny z trudem mieszczą jego szerokie ramiona i potężne ciało. Louis nie ma oczu, a na powiekach ktoś nakleił mu czarne X z taśmy izolacyjnej. Cmoka językiem.

– Jesteś prawdziwą modliszką – mówi i gwizdże z uznaniem. – Del Amico. Ja. Ten stary pryk z Richmond. Harry Osler z Pensylwanii. Bren Edwards. Tim Streznewski. Nie przepuszcza się okazji, jak się nadarza, co? Mam rację? No tak, przecież! Nie możemy zapomnieć o tym małym chłopcu przy drodze. Tylu martwych chłopców. Można by ich wymieniać i wymieniać. Długa lista, co? Ile to już, osiem lat? Ben Hodges.

Miriam słuwa krwią.

– Nie sami chłopcy. Kobiety też. I nie ja ich zabijam. Ja nikogo nie zabiłam!

Louis wybucha śmiechem.

– Tak sobie wmawiaj, mała. Nie krępuj się, jeśli to ma ci poprawić samopoczucie. Ale zapamiętaj jedno: to, że nie pociągasz za spust, nie oznacza, że nie jesteś mordercą.

– To przeznaczenie – odpowiada Miriam, a z jej dolnej wargi zwisa sopel czerwonej śliny. – To nie ja, tylko przeznaczenie. Tak to się dzieje. Przeznaczenie decyduje...

– Zgadza się, przeznaczenie decyduje o wszystkim – Louis potakuje. – Wiem. Często to powtarzasz.

– Mama zawsze mi mówiła, że...

– Że takie życie. Taki los. To też już słyszałem. Nie raz.

– Pieprz się, nie jesteś naprawdę.

– Jeszcze nie. Ale za niecały miesiąc taki będę. Będę kolejnym nacięciem na rękojeści. Twoją kolejną zmorą. Będę cię prześladował, brzęczał łańcuchami i zawodził.

– I tak cię nie mogę uratować.

– Najwyraźniej.

– Wal się.

Skinął głową.

– Do zobaczenia w piekle. I uważaj na...

Łopata znów opada i trafia ją między łopatki. Miriam czuje, że coś w niej pęka. Jej uda robią się mokre. Ból jest nie do wytrzymania.

– ...szufłę.

FARBOWANIE

Następny dzień.

Pięciu mężczyzn, wliczając przygłupa Blondynka. Jedna śmierć. Dużo przemocy. Tak, dla Miriam Black to noc jak noc.

Stoi przy umywalce w łazience Ashleya i, opierając się dłońmi o zimną porcelanę, przygląda swemu odbiciu w lustrze. Zaciąga się dymem i wypuszcza go w kierunku szklanej tafli. Obserwuje, jak chmura spotyka chmurę.

Koniec końców, tylko jedna rzecz nie daje jej spokoju. Orgazm.

Nie chodzi o seks. Seks się zdarza – cholera, zdarza się na tyle często, że uważa go za swoje hobby, tak jak inni uważali scrapbooking czy zbieranie kart z bejsbolistami. Jakie to zresztą ma znaczenie? Jej ciało już dawno przestało być świątynią. Może kiedyś było, ale straciło ten status wiele lat temu – dokładnie osiem lat temu, podpowiada ten sam głosik – przez nadmiar krwi, która splamiła ołtarz świątyni.

Ale orgazm? To coś nowego.

Nie przeżywała orgazmu od... znów zaciąga się papierosem, żeby sobie przypomnieć. I nie potrafi. Czuje się trochę jak pijak zmuszony do liczenia w pamięci. Tak, to było aż tak dawno.

A ostatniej nocy? Trzęsienie ziemi i fajerwerki. Fontanna. Salwa honorowa, start wahadłowca i podróż na Księżyc, koncert Pavarottiego, Wielki Wybuch, czarna dziura i ponownie Wielki Wybuch.

Migające światło ostrzegawcze. Alarm.

Dlaczego? Co go wywołało?

Przyciska głowę do lustra. Chłodne szkło.

– To już pewne – mówi, spoglądając w oczy swojemu odbiciu. – Jesteś kopnięta. Nic się nie da zrobić.

W myślach widzi popękaną porcelanową lalkę wleczoną przez kałuże krwi, błota i gówna, a potem wyrzuconą w powietrze, z rozpostartymi ramionami, by zakończyć lot spotkaniem z błyszczącym grillem rozpedzonej ciężarówki. Lalka wygląda jak jej bliźniaczka.

Czerwony balonik unosi się w niebo.

Czas na to, co Miriam wychodzi najlepiej.

– Czas na farbowanie! – szczebioce do lustra.

W tym kierunku ma wybitne uzdolnienia: potrafi wyrzucić to wszystko z głowy. Całkowicie. Stłoczyć wszystkie złe myśli ciosami łokci i kopniakami. Zen i prawdziwa szkoła totalitaryzmu.

Otwiera torbę i wyjmuje dwa opakowania farby do włosów. Kupiła je kilka dni wcześniej w jakiejś obskurnej drogerii w Raleigh-Durham. Mówiąc „kupiła”, ma na myśli ten specjalny rodzaj zniżki, kiedy nic nie płacisz, jeśli nikt nie zauważy, że kupujesz.

Farba do włosów. Gówniany kolor dla dziewcząt ze sraczką zamiast mózgu. Żadna dorosła, szanująca się osoba, nigdy nie kupiłaby specyfiku takiej firmy, a już na pewno nie ufarbowałaby sobie włosów na takie kolory – Czarny Drozd i Czerwony Wampir. Ale nie Miriam. Ona może i wiekowo zalicza się już do kategorii osób dorosłych, za to absolutnie nie ma pretensji

do okazywania sobie szacunku. Bo i skąd. Nie i Historyczny Upadek Japonii.

Wysuwa głowę z łazienki. Ashley leży na łóżku, ma półprzymknięte powieki. W telewizji leci jakiś talk-show.

– Ciężki dzień w biurze, kochanie? – pyta.

Mruga.

– Która godzina?

– Dziewięta trzydzieści. Dziesiąta. Wzruszam ramionami.

– Zaraz... czy ty powiedziałaś: „wzruszam ramionami” zamiast wzruszyć ramionami?

Miriam ignoruje pytanie. Pokazuje mu dwa opakowania farby, jedno w lewej, drugie w prawej dłoni.

– Wybierz za mnie. Czarny Drozd. Czerwony Wampir. Zdecyduj.

– Co mam zdecydować?

Jęczy rozczarowana.

– Kto będzie kandydatem na prezydenta Księżyca i terytoriów zależnych, a co myślałaś?

Patrzy na nią jak na wariatkę.

– Masz wybrać kolor włosów, ciołku. Farbuję sobie włosy. Czarny Drozd – unosi jedno pudełko – czy Czerwony Wampir? – Pokazuje mu drugie.

Jego mina wyraża całkowity brak zrozumienia. Miriam warczy i podchodzi bliżej. Rzuca torbę na ziemię. Stawia pudełka na jego piersi i udaje, że sobie tańczą; coś jak teatrzyk kukielkowy.

– Czarny, czerwony, czarny, czerwony – mówi.

– Hm, właściwie to mi to zwisa. Jest za wcześnie na takie głupoty.

– Nie bluźnij. Nigdy nie jest za wcześnie na farbowanie włosów.

– Sam nie wiem... – chrypi. – Nie jestem rannym ptaszkiem.

– No dobra, to ci pomogę – godzi się. – Wampiry są fajne, nie? Nowoczesne wampiry. Wiesz, czarne skóry, obcisłe stroje, seksowne ruchy i podniosła muzyka. No i się nie opalają. Ja też jestem blada. Tyle że są szykowne jak jasna cholera. Arystokracja. I sexy. Ja nie spełniam tych wymagań. Poza tym jakoś nie uśmiecha mi się myśl, że miałabym dołączyć do tych oślizgłych zdir w burdelu Drakuli, a od tego szitu z dzieciakami Emo i gothami robi mi się wysypka na dupie.

Podsuwa mu pod nos drugie pudełko.

– Drozd z kolei to w mitologii symbol śmierci. Mówi się, że to psychopomp. Czyli, tak jak na przykład wróble, drozdy miały pomagać duszom przedostawać się z naszego świata w zaświaty. Do krainy zmarłych.

– Cienki głosik w jej głowie chce coś dodać, ale nie daje mu dojść do słowa. – Oczywiście jest mały problem, bo jeden z rodzajów drozda, albo gatunków, zawsze to myślę, to *Turdus plebejus*. To, sam rozumiesz, nie jest idealna nazwa, prawda? Plebejusz. Co zrobić.

Ashley słucha i coraz szerzej otwiera oczy.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Z Wikipedii.

Kiwa głową, jakby to wszystko wyjaśniało.

– I co? Dalej nie podjąłeś decyzji?

Tym razem potrząsa głową.

– Cholera, człowieku! Miałeś szansę, żeby zmienić przeznaczenie. Jeśli przemawia do ciebie ta historia, że jakiś motyl, poruszając skrzydłami w Toledo, może wywołać huragan w Tokio, powinieneś zdawać sobie sprawę,

jaką potężną mocą dysponujesz, mocą, która może zmieniać los, kierować bieg historii i zmieniać oblicze ludzkości. Tu i teraz.

Przewraca oczyma.

– Niech będzie. Czerwony Wampir.

Miriam prycha.

– Wybij to sobie z głowy. – Rzuca w niego pudełkiem z czerwoną farbą.

– Od początku wiedziałam, że wybiorę Czarnego Drozda, ciołku. Zrozum, że nie da się zmienić przeznaczenia. I to by było na tyle. Naucz się tego, bo następnym razem mogę ci zrobić kartkówkę.

Kiedy kończy, wraca do łazienki i zatrzaskuje za sobą drzwi.

NOTATNIK

Ashley czeka, aż zacznie szumieć kran.

– Doskonale – mruczy. Zeskakuje z łóżka, łapie torbę Miriam, którą zostawiła na ziemi, i wysypuje jej zawartość na kołdrę.

Jeszcze raz patrzy przestraszonym wzrokiem na drzwi do łazienki. Trochę czasu tam spędzi. Farbowanie włosów w domowych warunkach to nie jest robota na pięć minut. Mycie, nakładanie, czekanie – trochę jej na tymzejdzie.

Zadowolony zaczyna przeglądać, co ze sobą nosiła.

Każdą rzecz z osobna bierze do ręki, ogląda i układa na łóżku. Balsam do ust. Gumki do włosów. Niewielki odtwarzacz MP3, porysowany i obity, jakby przeszedł przez rozdrabniacz do drewna. Dwa łzawe romanse – jeden z gładkim blond Fabio na okładce, drugi z Fabio z ciemną kozią bródką. Guma do żucia Clark's Teaberry. Teaberry? Co to za smak? Piskotka dla psów, wyglądem przypominająca wiewiórkę z żołądkiem w pyszczku. Zanim pomyślał, do czego jej ona, przechodzi do kategorii broń. Pojemnik z gazem pieprzowym. Nóż motylek. Kolejny pojemnik gazu pieprzowego. Granat ręczny...

– Jezu Chryste – jęczy. Przełyka głośno i ostrożnie odkłada granat na poduszkę za sobą. Upewnił się, że nie spadnie, bierze głęboki oddech i

wraca do zawartości torby.

W końcu znajduje to, czego szukał.

Pamiętnik.

– Bingo!

W ręku trzyma czarny brulion z plastikową popękaną okładką. Notatnik jest napęczniały, jak guz wypełniony słowami zamiast krwi. Szybko go kartkuje: gęsto poznaczone kartki, kilka zagiętych, różne rodzaje i kolory tuszu: czerwony, niebieski, pióro kulkowe, długopis, pisak, ołówek, jeden wpis w całości zrobiony cholerną kredką! Na każdej stronie data, każdą notatkę otwierają słowa „Drogi Pamiętniku”, a kończą „Kocham, Miriam”.

– A co z tobą? – pyta głośno Miriam, a Ashleyowi o mało nie puszczają zwieracze. Podnosi głowę i rozgląda się nerwowo. Spodziewa się, że wyszła z łazienki, ale nie, drzwi są wciąż zamknięte. Krzyczała ze środka, nie przerywając farbowania.

Oddycha głęboko.

– Ja? Co ze mną?

– Skąd jesteś? Jak zarabiasz na życie? I kim w ogóle jesteś?

Przewraca kilka stron pamiętnika.

– Hm – mruży, starając się skupić na słowach. – Z Pensylwanii. Jestem, eee, reprezentantem handlowym.

– Aha, pewnie – odpowiada. – A ja tresowaną małpką.

– Nigdy jeszcze nie kochałem się z tresowaną małpką.

Przerzuca kolejnych kilka stron. Wzrokiem błądzi po słowach. Zaszło mu w gardle. Serce wali jak oszalałe. Wszystko brzmi logicznie, ale... Przewraca kolejną stronę i zaczyna czytać. Słowa bezgłośnie opuszczają jego usta...

To jak próba zatrzymania pociągu monetą położoną na torach albo jak zwracanie fal kopniakami. Gównu mogę zmienić. Gównu mogę zmienić.

Kolejna strona.

Przeznaczenie bierze, co chce.

Kolejna strona.

Jestem widzem. Oglądam ostatnie chwile życia innych.

Kolejna strona.

Bren Edwards połamał sobie miednicę i zmarł w studziencie, do której wpadł. W portfelu miał dwieście dolców. Dzisiaj czeka mnie dobry obiad.

Kolejna strona.

Takie życie.

Kolejna strona.

Już niemal koniec, Kochany Pamiętniku. Już blisko. Wiesz, co.

Kolejna strona.

Muszę trafić na jakiegoś nadzianego gościa. Wtedy dopiero będzie fajnie.

Kolejna strona.

Kochany Pamiętniku, znów to zrobiłam.

Zauważył, że w torbie zostało coś jeszcze. Sięga do środka i wyjmuje niewielki kalendarzyk na najbliższy rok.

– Wiesz, ja też jestem z Pensylwanii – krzyczy Miriam zza zamkniętych drzwi łazienki.

– To wspaniale – mamrocze. Kartkuje znalezisko. Większość kartek jest pusta, ale przy niektórych datach znajduje imiona i nazwiska. Godziny. I niewielkie znaczki – gwiazdki, ikisy, dolary.

I przyczyny śmierci.

6 czerwca, Rick Thrilby /16:30/ atak serca

19 sierpnia, Irving Brigham /2:16/ rak płuc

31 października, Jack Byrd /20:22/ strzał w usta, samobójstwo

I tak dalej. Bez końca.

– Znalazłeś coś interesującego? – pyta.

Ashley zamarł, upuszcza kalendarzyk i podnosi wzrok. Miriam mruży oczy i wodzi wzrokiem między nim a pamiętnikiem na łóżku, granatem na poduszce i pustą torbą.

– Posłuchaj – zaczyna, ale mu przerywa.

Pięścią. Prawy prosty, dość silny, by pękła warga. Łup. Bola go zęby. Zaskoczyła go, choć powinien był się tego spodziewać. Od lat była w drodze. Od lat. Zdążyła się nauczyć, jak uderzyć, żeby bolało. A sądząc po podbitym oku, umiała też przyjmować ciosy.

– Jesteś gliną – prycha. – Nie, nie gliną.

– Nie, nie jestem gliną – mamrocze niewyraźnie, przyciskając dłoń do krwawiących ust. Odsuwa na chwilę palce i widzi, że są całe czerwone.

– Stalker. Psychopata.

– Jadę za tobą od Virginii.

– Czyli mam rację. Stalker. Psychopata. Wiesz co? Pieprzyć to – odpycha go, chwyta pamiętnik, kalendarz, uzbrojenie i inne śmieci, wywraca torbę na właściwą stronę i upycha wszystko w środku. Ashley łapie ją za nadgarstek, ale ona ma już dość. Szarpie się. On próbuje znowu, lecz nie zdążył, bo uderzenie wierzchem dłoni zrzuca go z łóżka.

Zanim się zorientował, co się dzieje, skrzypnęły drzwi wejściowe, a Miriam zniknęła.

PIEPRZ SIĘ, SŁOŃCE

Ptaszki śpiewają. Pszczółki bzyczą. Słońce świeci i aż się kręci od słodkiej woni kwitnących kwiatów. Oślepią światłem Miriam mruży oczy i żałuje, że nie ma ciemnych okularów. Czuje pieczenie w żołądku i lodowaty chłód w jelitach. Nienawidzi słońca. Nienawidzi błękitnego nieba. Jeśli o nią chodzi, to ptaszki i pszczółki mogłyby pójść się walić do jakiegoś brudnego kibla. Pali ją blada, nieopalona skóra. Boi się, że popęka zaraz jak skórka na parówce w kuchence mikrofalowej. Miriam jest nocnym stworzeniem. Dzień nie jest jej naturalnym środowiskiem, nie czuje się dobrze w świetle słońca. Kiedy to sobie uświadamia, myśli: może powinnam była jednak wybrać Czerwonego Wampira?

Pod jej stopami chrzęści żwir bocznej pustej drogi. Maszeruje już dobry kwadrans, może nawet dłużej. Ma wrażenie, że idzie całą wieczność.

Czuje się bezbronna i bezradna. Ktoś ją wykorzystał. Od dawna tego nie przeżywała. Zawsze to ona była stroną, która kryła swoje sekrety. To ona miała w sobie to coś. Tajemnicę. Nie mogła się uspokoić. Wciąż jeszcze ją nosiło. I nie wiedziała, dlaczego. Czym się przejmować? Czego żałować? Co pocnie z wiedzą, jaką zdobył?

Nie przestaje iść.

Droga meandruje, a potem skręca. Pod górkę. Pod kępą drzew. Za zakrętem stara skrzynka na listy, ręcznie malowana, na słupku. Płot, na

wpół zrujnowana szopa i dom. Idylliczny widok. Naraz czuje, jakby wiatr sypnął jej piaskiem w oczy. Zamyka powieki i zaczyna je trzeć. Nie wie, skąd ta cała złość.

Zza pleców dobiega ją głos silnika. Samochód zwalnia.

Biały mustang. Ta Obślizgła Kłamliwa Szumowina.

Zatrzymuje się obok. Ma opuszczone okno od strony pasażera. Nie puszczając kierownicy, pochyla się w jej kierunku i wygląda. Już się nie uśmiecha. Ma bardzo poważną minę.

– Wsiadaj – rozkazuje.

– Obciągnij mi.

– Nie masz dokąd pójść.

– Mam zajebiste nogi. Zanoszą mnie, dokądkolwiek zechcę.

– Wiem, kim jesteś. Wiem, co robisz.

– Gównu wiesz, żaloszny pacanie. Cokolwiek ci się wydaje, nie masz o niczym pojęcia. Jedź. Nie zatrzymuj się. I zostaw mnie w spokoju.

Miriam rusza przed siebie. Ashley toczy się powoli, utrzymując jej tempo.

– Nie będę włókł się za tobą jak przygłup – mówi. – I nie mam zamiaru cię dłużej prosić. Wsiadaj. Nie bądź suką.

Miriam sięga do torby, wyjmuje dłoń i szybkim ruchem nadgarstka otwiera nóż motylek. Błyszczy metal, szczeka rękojeść, a ostrze rzuca groźne refleksy.

– Hej... – zaczyna Ashley.

Miriam zatrzymuje się gwałtownie, żeby ją trochę wyprzedził, i przykuca. Chłopak chce zobaczyć, co robi, ale zanim wystawia głowę przez

okno, jest za późno. Jedno mocne pchnięcie i nóż przebija tylną oponę mustanga. Powietrze syczy jak ciche pierdnięcie, guma flaczeje.

– Co ty, kurwa... – krzyczy ze środka samochodu. – Gdzie jesteś...? O Jezu, nie!

Zanim skończył przyzywać imienia Pana nadaremno, Miriam jest już po drugiej stronie auta i wycina gumowe usta w następnej oponie. Rozlega się kolejny świst.

Z każdym obrotem koła sflaczała guma uderza o asfalt.

Podchodzi do okna kierowcy, a gdy Ashley cały czas wygląda na drugą stronę, woła:

– Widzisz? Mówiłam ci, że dam sobie radę. Nie żyłuj już tego gruchota, bo rozwalisz tylne obręcze.

Po czym pokazuje mu uniesiony środkowy palec i biegnie przed siebie, zostawiając okaleczonego mustanga pośrodku drogi.

TY TEŻ SIĘ PIEPRZ, SUNSHINE CAFE

Miriam pochłania potężną porcję. Jak dla robotnika.

Zewsząd dobiegają odgłosy śniadania: dzwonienie łyżek w czasie mieszania, syczenie blachy do pieczenia naleśników, zgrzytanie widelca o talerz... Siedzi ze spuszczoną głową, skupiona na górze jedzenia przed sobą. Dwa jajka sadzone przysmażone z obu stron, ale delikatnie, żeby żółtko było płynne. Dwa słodkie naleśniki na maśle; zanim się za nie zabrała, każdy był wielkości włazu do studzienki kanalizacyjnej. Cztery serdelki. Tost z chleba pszennego. A na osobnym talerzu grillowana bułka cynamonowa.

Wszystko z wyjątkiem bułeczki pokrywała błyszcząca warstwa gęstego i słodkiego jak ulepek syropu klonowego. Prawdziwego syropu klonowego, z pieprzonego drzewa, a nie rzadka cukrowa sraczka z supermarketu.

Klniesz jak marynarz, mawiała jej matka, i jesz jak robotnik.

Spokój. Mimo cudnie wypychanego żołądka i niebiańskiej uczyty dla kubków smakowych Miriam nie miała zamiaru podnosić wzroku znad talerza, żeby oczy jej nie popękały na widok tych wszystkich cudowności dookoła.

Kawiarnia Sunshine Cafe. Blee.

Jasnożółte ściany. Promienie słońca przenikające przez delikatne zasłony. Stołki barowe z błękitnymi poduszkami wzdłuż lady. Farmerzy, robotnicy z zagranicy, truckerzy i lokalni yuppie. Wszyscy, jak jeden mąż, chodzili pewnie do kościoła, rzucali drobne na tacę i robili wszystko, by być dobrymi obywatelami. I te uśmiechy. Miriam potrząsa głową. Postanawia, że pewnego dnia będzie się musiała upić i nasikać na jakiś obraz Normala Rockwella.

Miriam odłamuje kawałek tosta, zanurza w żółtku, a kiedy chleb nasiąka jajkiem, wszystko doprawia słodkim syropem.

Kiedy chce już zjeść papkę, którą stworzyła, ktoś dosiada się naprzeciwko.

– Wisisz mi za lawetę – mówi Ashley.

Miriam zaciska powieki. Oddycha kilka razy głęboko przez nos.

– Będę teraz udawać, że jesteś różowym słoniem, więc wykorzystaj szansę, którą daje ci los, i spadaj stąd, zanim otworzę oczy, bo jeśli cię zobaczę, Różowy Wytworze Mojej Chorej Wyobraźni, wbiję ci widelec w serce.

Ashley pstryka palcami.

– Proponuję inną zabawę: zadzwonię po policję.

Otwiera gwałtownie oczy. Patrzy na niego złowrogo. Chłopak znów się uśmiecha. Na dolnej wardze widać ciemną kreskę rozcięcia. Jest zadowolony z siebie. Bardzo zadowolony.

– Nie zadzwonisz. Jesteś takim samym włóczęgą jak ja. Śmieciem bez korzeni. Nikt ci nie uwierzy.

– Może nie. – Wzrusza ramionami. – Ale uwierzą zdjęciom. Zaskoczona? Mam zdjęcia. Tyle zbiegów okoliczności to trochę dziwne, co? Od Richmond byłaś na miejscu trzech zgonów? Zgadza się?

Zaciska szczęki.

– Ja ich nie zabiłam.

– Z portfeli denatów zniknęła gotówka. Zaskakujące, prawda? A jak by ktoś poszukał dokładniej, to się okaże, że zginęły też karty kredytowe. I że ktoś korzystał z nich po ich śmierci, a potem wyrzucił do śmieci albo zostawił gdzieś przy drodze. Szukając jeszcze dokładniej, ktoś mógłby wpaść na znacznie dłuższy szlak wyznaczony kolejnymi zgonami, przy których się pojawiaasz, prawda? Pomogłabyś im zresztą. Wszystko znaleźliby w twoim pamiętniku. I w tym pokręconym kalendarzu.

Miriam tężeje i czuje zimne dreszcze. Znalazła się w pułapce. Osaczona. Jak żywy motyl przypięty szpilką do tablicy korkowej. Przez chwilę naprawdę rozważa dźgnięcie Ashleya Gaynesa w serce i ucieczkę.

– Ja ich nie zabiłam – powtarza.

Ashley przygląda jej się uważnie.

– Wiem. Przeczytałem trochę twojego pamiętnika i to mi wystarczy.

– Ale i tak nie wierzysz.

– Może tak, może nie – mówi. – Moja matka była ostro zaangażowana w te wszystkie czary-mary. Kryształowe kule, jasnowidz na telefon i takie tam. Bzdury, tak w każdym razie myślałem, chociaż czasem miewałem wątpliwości. Poza tym zawsze chciałem w coś wierzyć. A tamta trójka, która zmarła na twoich oczach? Każdy zszedł w inny sposób, no nie? Goniec rowerowy w Richmond, ten czarny chłopak? Wypadek samochodowy. Trudno zrobić z tego morderstwo. Czyli masz jakąś moc. Jesteś pieprzonym medium.

– Ładne słownictwo. Kto cię tego nauczył? Matka, jak robiłaś jej minetę?

Ashley wyraźnie się jeży. Nie przestaje się uśmiechać, ale bez dwóch zdań, zepsuła mu humor.

– Może zostawmy moją matkę w spokoju, okej? – Patrzy groźnie, a potem mówi dalej: – Ten, co zszedł ostatnio, udławił się własnym językiem w czasie ataku epilepsji. Dałoby się ciebie w to wrobić, gdyby gość nie miał rozpoznanej padaczki i długiej listy wcześniejszych napadów, prawda? Potem jest jeszcze ten staruszek z Raleigh. Jak on się nazywał? Benson. Craig Benson. Nie jestem pewien, jak umarł. Jakaś szycha, z kasą. Kupa ochrony, policja. Nie udało mi się podejść bliżej. Ale ty tam byłaś. Więc jak było? Ze starości?

Miriam odsuwa talerz. Nie czuje już głodu.

– Zabił się własnym kutasem – wyjaśnia.

– Kutasem?

– Dokładniej rzecz biorąc, wykończyła go erekcja. Własna erekcja.

– Nie wierzę! Przeleciałaś taką szychę?

– Chryste, oczywiście, że nie! Ale pokazałam mu cycki. Był napompowany jakimiś proszkami na wzwód, ale nie lekami z apteki, tylko jakimś szitem z Chin czy innego zadupia, i to go zabiło. Mój biust nie robi raczej wielkiego wrażenia, ale widać wystarczył, żeby zabić staruszka.

– Czyli jednak, to ty go zabiłaś.

– Gównno prawda.

– Cycki czy spluwa, to bez znaczenia. Pociągnęłaś za spust, koniec, kropka.

Macha zniecierpliwiona dłonią, jakby chciała odpędzić naprzykrzającą się muchą.

– Myśl sobie, co chcesz.

Do stolika podchodzi kelnerka – szczupła od pasa w górę, ale tyłek ma wielki i okrągły, a Miriam, patrząc na niego, słyszy w głowie słowa „biodra stworzone do rodzenia dzieci”. Dziewczyna pyta Ashleya, czego sobie życzy. Chłopak zamawia kawę.

– Serio jeździsz za mną już od dwóch miesięcy?

Potwierdza, że tak, mniej więcej tyle.

– Ale skąd... jak mnie znalazłeś? Skąd wiedziałeś?

Wraca kelnerka i nalewa mu kawy. Dolewa Miriam do pełna.

– Kurier rowerowy. Zobaczyłem, jak wyciągasz mu portfel z kieszeni. Uprzedziłaś mnie. Wpadłem na ten sam pomysł.

– I niby przez przypadek zjawiłeś się blisko?

– Nie. Pracowałem nad tym gościem przez cały tydzień. Robił lewe interesy. Rozwoził różne nieciekawe przesyłki między nieciekawymi typkami. Przygotowywałem grunt pod zrobienie go w bambuko. Planowałem przejąć jedną z przesyłek i zaoferować temu, kto więcej zapłaci. Miałem zamiar zaproponować mu współpracę, choć tak naprawdę chciałem ją dorwać i zwiać. – Wypija łyk kawy, głośno siorbiąc. – Wtedy pojawiłaś się ty i wszystko spieprzyłaś.

– Czyli jesteś złodziejem.

– Wolę nie używać takiego słowa. Mogę się zgodzić na wyłudzenie, ale nie kradzież.

– Aha. Jestem tancerką egzotyczną, a nie dziwką. Powtarzaj to sobie do upadłego. Zobaczysz, z jakim skutkiem. – Rozbolała ją głowa, jakby coś wyprężyło tam nogi i zamierzało zacząć spacerować wewnątrz czaszki. – Dobra, nie przeciągajmy tego w nieskończoność. Widzę, co widzę, a ty ciągniesz się za mną od dwóch miesięcy. Dlaczego? Po co?

– Z początku ze zwykłej zawodowej ciekawości. Pomyślałem, że jesteś taka sama jak ja. Wrabiasz w coś ludzi i znikasz z kasą. Może mógłbym się czegoś od ciebie nauczyć albo wkręciłbym ciebie w jakąś historię. Może ty byś wkręciła mnie? Tak czy inaczej, uznałem, że to może być ciekawe.

– Nie jestem oszustką.

– Może tak, może nie. Możliwe, że ta cała historia to megawkrętka i właśnie teraz mnie przerabiasz. Pamiętnik, kalendarz, farbowanie włosów... Może wiedziałaś o scenariuszu, jaki przygotowywałem dla gońca, i pomyślałaś, że jestem kimś ważniejszym. – Potrząsa głową i grozi jej palcem. – Ale nie, nie sądzę. Bo zbyt wiele rzeczy mi tutaj nie pasuje. Na przykład to, że kurier miał przy sobie paczkę. Nie wzięłaś jej. Jedyne opróżniałaś mu portfel. Możliwe, że czasem zabierałaś jeszcze jakieś fanty. Szalik tego dzieciaka czy zegarek staruszka.

– Zabierałam tylko to, czego potrzebowałam. Było zimno, więc potrzebowałam szalika. I nie zabrałam zegarka Bensonowi. Gliniarz musiał go zwinąć. Mam swój. – Podnosi rękę i prezentuje nadgarstek, wokół którego połyskuje staromodny zegarek z kalkulatorem. – Zgoda, ma wyczerpaną baterię i nie działa, ale nie o to chodzi. Od Bensa wzięłam długopis, bo akurat potrzebowałam czegoś do pisania. I musiałam się gdzieś zatrzymać na noc, więc wzięłam pieniądze, na jedzenie i pokój w hotelu.

– I to wszystko? Nie planowałaś niczego więcej?

Łapie trzy paczuszki cukru, odrywa końce i wsypuje je do kawy.

– Nie jestem chciwa.

– Nie jesteś chciwa – powtarza Ashley i śmieje się. – Jakie to urocze. Wzruszające. Balsam dla duszy. Muchy byś nie skrzywdziła.

Wzrusza ramionami.

- No dobrze, przyjmijmy, że to wszystko prawda – mówi w końcu.
- To jest prawda, dlatego pora ją zaakceptować.
- Widzisz, jak ludzie umierają.
- Przeczytałeś przecież mój pamiętnik. To właśnie tam napisałam, palancie.

Chichocze.

- Zgoda. Masz ten dziwaczny dar. Weź mnie.
- Wczoraj cię wzięłam, o ile pamiętam.
- Słodka i urocza. Jak zwykle. Co innego miałem na myśli. Chodziło mi o to całe voodoo-dotyk-śmierci.

Przewraca oczami.

- Widzisz? Właśnie o tym mówię. Wzięłam cię na łóżku, ale też zrobiłam tę sztuczkę z voodoo-dotyk-śmierci, jak to nazwałeś. Nie potrzebuję specjalnego przygotowania. Wystarczy mi dotyk gołej skóry. – Ashley zaczyna mówić, ale nie daje mu dojść do słowa. – I nie, nie ma mowy. Nie powiem ci, jak umrzesz. Nie dam ci tej satysfakcji. Poza tym tak naprawdę nie chcesz wiedzieć. Ani to nie będzie ładne, ani przyjemne.

Wzdryga się. Mruży oczy. Tak, trafiła go. Myślał, że koniec jest tuż, tuż. Miriam nauczyła się, że istnieją dwa typy ludzi: tacy, którym się wydaje, że ich śmierć jest nieuchronna i przyjdzie w każdej sekundzie, i tacy, którzy spodziewają się jeszcze długiego, zdrowego i szczęśliwego życia. Nie spotkała jeszcze nikogo, kto by się umieścił gdzieś pomiędzy tymi skrajnościami.

Ashley kiwa głową, a potem cmoka językiem.

- Zaczynam rozumieć, do czego zmierzasz. Chcesz mnie sprowokować. Super. Nieźle. Tylko wiesz co? Nie chcę wiedzieć. Ale proszę bardzo, zobacz, zaraz tu będzie kelnerka. Zrób ją.

– Poważnie?

– Poważnie jak rozedma płuc.

Do stolika podchodzi kelnerka, ta sama dziewczyna z szerokimi biodrami i wielkim zadkiem. Na talerzyku kładzie rachunek. W drugiej dłoni trzyma dzbanek z kawą.

– Pozbieram, jak skończycie – mówi głosem ociekającym słodyczą. – Słoneczko, dolać ci trochę?

Miriam w odpowiedzi podsuwa jej swój kubek, dając znać, że chętnie. Uśmiecha się do niej i kiedy dziewczyna nalewa aromatyczny napar, muska wierzch jej dłoni...

Mała honda pędzi krętą lokalną drogą. Są wakacje, za dwa lata. Lasy i łąki błyszczą chmurami świetlików. Za kierownicą siedzi kelnerka, ma nieco dłuższe włosy spięte w koński ogon. Mimo że minęły dwa lata, nowa fryzura ją odmładza. Jest szczęśliwa. I zmęczona. Jakby właśnie wyszła z pracy. Albo z imprezy. Albo skończyła się pieprzyć. W radio leci The Gambler Kenny’ego Rogersa. Śpiewa razem z nim. Auto pokonuje kolejne zakręty. Warczenie silnika.

Kelnerce opadają powieki. Mruga szybko, żeby odgonić sen, trze oczy, ziewa szeroko.

Głowa opada jej lekko na bok. Zbyt szybko wchodzi w zakręt. Tylne koła samochodu wypadają na pobocze, na żwir, nie mogą złapać przyczepności. Kelnerka już nie śpi. Sapie ze zdenerwowania i szarpie kierownicą. W końcu sprowadza samochód z powrotem na drogę; głębokie westchnienie ulgi. Robi głośniej muzykę. Wystawia głowę na zewnątrz, tak jak to robią psy. Pęd powietrza ma nie pozwolić jej zasnąć.

Ale to nie pomaga. Pięć minut później powieki znów jej opadają. Głowa też.

Koła podskakują na jakiejś dziurze. Gwałtownie otwiera oczy.

Samochód zbliża się do miejsca, w którym jej droga łączy się z inną, poprzeczną. Naprzeciwko stoi wielki dąb. Honda jedzie zbyt szybko. Zaciska dłonie na kierownicy, aż bieleją jej kostki. Z całej siły wciska pedał hamulca. Opony piszczą na asfalcie jak potępione dusze. Tył samochodu tańczy na boki, jak jej tyłek, kiedy chodziła. Honda zatacza się w kierunku drzewa i wtedy...

Zatrzymuje się. Kilka centymetrów dzieli ją od dębu. Silnik krztusi się i gaśnie. Jedyne dźwięki, który rozprasza ciszę, to cykanie gorącego wydechu. Cyk, cyk, cyk.

Kelnerka z początku wygląda, jakby chciała się rozplakać, ale w końcu zaczyna się śmiać. Żyje. Jest cudownie. Jest ciepło. Nikt nie widział, co się stało. Wyciera łzy przerażenia, zakłopotania i radości i nie widzi przez to, że w jej stronę pędzi półciężarówka. Dwa snopy światła rozpraszają ciemność. Stary pickup w kolorze lakieru podkładowego.

Unosi głowę. Widzi, na co się zanoszą.

Szarpie za pas, żeby go rozpiąć. Nieporadne palce. Za wolno.

Naciska na klakson. Trąbi. Pickup nie zwalnia.

Otwiera usta do krzyku, do wrzasku, ale zanim mózg przekaże sygnał do strun głosowych, żeby zaczęły, do cholery, działać, półciężarówka uderza w jej hondę z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Drzwi wbijają się aż na głębokość tunelu środkowego, miażdżąc jej klatkę piersiową. Głowa odskakuje, sypie się szkło. Trąbienie, zgrzyt metalu...

...opuszkami palców. Kiedy cofa delikatnie dłoń, w uszach wciąż jeszcze słyszy kakofonię wypadku. Chrząka i mówi:

– Dziękuję, tyle wystarczy.

– Nie ma sprawy, złotko.

Miriam głęboko wzdycha.

– No i? – Ashley patrzy na nią z ciekawością. – Jak to się stanie?

– Muszę iść do łazienki.

Wstaje i przepycha się w stronę toalet. Dłonią dotyka łokcia jakiegoś farmera...

Stary farmer ma na sobie poplamiony biały T-shirt i zielono-żółtą czapkę John Deere, mimo że jedzie pomarańczowym traktorem Kubota. Kupuj krajowe, tak mówili, a skończył na koreańskim sprzęcie. Staruszek ma jakąś infekcję ucha wewnętrznego, przez co kręci mu się w głowie. Spada z siedzenia na żyzną ziemię uprawną. Jego krzyk trwa tylko chwilę, przerwany masywną broną, którą po raz drugi bronuje sobie pole. Zakrzywione pazury rozrywają jego skórę i mięśnie, i miażdżą kości. Krew wsiąka w świeżo zaoraną ziemię.

...i odskakuje – tylko po to, by wpaść na rudego nastolatka...

Dzieciak nie jest już dzieciakiem, ale trzydziestoletnim mężczyzną. Na języku czuje smak oleju do smarowania broni, a chwilę potem lufa pistoletu ożywa. Równie z falą gorąca wyskakuje z niej pocisk i masakruje jego mózg...

Odskakuje ponownie i przyciska ręce do klatki piersiowej. Dalej do łazienki pędzi jak dumny Tyranosaurus Rex, nie zważając, że ktoś za nią woła:

– Co jest nie tak z tą małą?

Choć nieraz zadawała sobie to pytanie, nie znała odpowiedzi.

WYWIAD

– Przeznaczenie to coś nieruchomego – wyjaśnia Miriam, wodząc palcem po szyjce butelki. Szkocka zmiękcza obraz, który widzi, i wygładza krawędzie; działa zgodnie z zamysłem Boga. – Wszystko jest zapisane. Dokładnie zaplanowane. Na przykład nasza rozmowa. Przewidziana. Wydaje nam się, że mamy nad czymś kontrolę, ale to nieprawda. Wolna wola to humbug, ściema, bujda na resorach. Myślisz, że jeśli całujesz dziewczynę, kupujesz kawę czy wjeżdżasz rozpędzonym autobusem pełnym zakonnic w fabrykę materiałów wybuchowych, to robisz to, bo tak wybrałeś? W końcu to ty to zrobiłeś. Podjąłeś decyzję i działałeś zgodnie ze swoim zamiarem, zgadza się? Otóż nie! Błąd. Nasze życie to szereg różnych wydarzeń przewidzianych i ułożonych tak, żeby doprowadziły do kulminacji, którą jest śmierć zaplanowana przez przeznaczenie. Każdy najmniejszy moment naszego życia. Każda czynność. Każdy miłosny szept czy agresywny gest – wszystko jest tykaniem mechanizmu wielkiego budzika, który nieuchronnie odmierza czas do włączenia alarmu oznaczającego naszą ostatnią godzinę.

Paul nic nie mówi. Patrzy tylko na nią wytrzeszczonymi oczami. Otwiera usta, ale szybko je zamyka i milczy.

– Co? – pyta Miriam.

– To... ponure.

– Żartujesz...?

Poprawia się na krześle.

- Ale ty postanowiłaś coś zmienić.
- Zgadza się. Przez pierwsze kilka lat starałam się coś zrobić. Bardzo się starałam. I wiesz co? Nic to nie dało.
- Dlatego pewnego dnia przestałaś się starać?
- Nie. Pewnego dnia spotkałam małego chłopca z czerwonym balonikiem.

PROPOZYCJA

Łazienka jest koedukacyjna i jest tylko jedna. Ktoś szarpie za klamkę. Miriam mamrocze, żeby się odpieprzyli, ale nie ma serca, by powiedzieć to wystarczająco głośno; wyjątkowa sytuacja.

Czuje się trochę jak zamknięta w szafie. Jest ciasno. Jasno. Niebiesko. Wszystko jest błękitem. Drozdy składają błękitne jajka. Błękitne niebo. Błękitny okres Picassa. Błękit kogoś, kto umiera, dusząc się kawałkiem pulpeta.

Słyszy odległe łupnięcie czerwonej szufli do odgarniania śniegu. Czuje jej ciężar na swoich plecach.

W lustrze dostrzega duchy z przeszłości i przyszłości: Del Amico, z niemal zabawnie wypchniętym przełykiem, w którym tkwi jego język; Ben Hodges, z potylicą przypominającą wyciśnięty granat; staruszek, Craig Benson, gładzący swój koślawy wzwód starczymi dłońmi, zmienionymi przez artretyzm w szpony; Louis, z iksami z czarnej taśmy izolacyjnej na obu oczach. Wciąż powtarza jej imię. Błyszczący balon unosi się w powietrze i przez chwilę Miriam ma wrażenie, że rzuca na nią cień, choć to przecież niemożliwe...

Ktoś znów szarpie za klamkę. Zjawy odchodzą. Miriam wychodzi z łazienki i przepycha się na salę, odsuwając na bok jakiegoś prowincjonalnego japiszona w różowym.

Po drodze trafia na kelnerkę niosącą niewiarygodnie wielkie naręcze pustych talerzy.

– Twój przyjaciel powiedział, że już skończyliście, złotko – powiedziała, wskazując brodą na jej niedokończony posiłek.

– Hm. Tak. Tak, dzięki – przerywa. Potem słowa same układają się w jej ustach i rozbrzmiewają, zanim pomyślała, żeby je wypowiedzieć. – Hej, a tak przy okazji, jeździ pani hondą? Jakąś małą?

– Nie – odpowiada kelnerka, a serce Miriam podskakuje z ulgi, jak ropucha trafiona strzałką w tyłek. Pojawia się drobna isierka nadziei i zaczyna się miotać po wnętrzu jej głowy niczym pszczoła zamknięta w słoiku. – Ale wiesz co, złotko, myślałam, żeby sobie taką sprawić. Stary Tremayne Jackson z Orchard Lane ma takie auto u siebie. Chyba jego córka nim jeździła, ale dostała stypendium – pierwsza w rodzinie poszła do college’u – więc samochód stoi i się kurzy. Powiedział, że może mi go sprzedać, ale jeszcze się nie zdecydowałam. Pal diabli, co tam! Wezmę go! Zupełnie o tym zapomniałam, dzięki, złotko.

Miriam tężeje. W duchu zaczyna krzyżeć. Myśli wściekle robią jej wyrzuty, ciskają w nią przedmiotami, trzaskają mentalnymi drzwiami i rzucają kamieniami w okna jej wewnętrznej fasady. Widzisz, co narobiłaś? Widzisz, jak to wszystko działa? Wystarczy, że się odezwiesz, i katastrofa gotowa. Wcześniej nie myślała nawet, żeby kupić ten samochód, ale ty z twoim pieprzonym jęzorem musiałaś jej o tym przypomnieć! Zasiałaś w jej głowie ziarenko, które wykiełkuje i urodzi złe drzewo, aż pewnego dnia zginie zmiażdżona przez pijanego dupka w starym złomie! Musiałaś się wtrącać?

I nawet wtedy do kakofonii myśli dołącza cieniutki, znajomy głosik: Powiedz jej, żeby tego nie robiła. Powiedz, że akurat te małe hondy są znane z samozapłonów. Wystarczy włączyć radio i auto staje w

płomieniach. Wada fabryczna. Albo pojedź prosto na Orchard Lane, właduj jakąś szmatę we wlew paliwa i wywal złoma w kosmos. Możesz wziąć wodze przeznaczenia w swoje ręce, wystarczy sięgnąć po ostry nóż. Obetnij tej głupiej cipie łeb. Jeśli ją zabijesz pierwsza, to przekreślisz inne plany, no nie?

Ale Miriam tylko się uśmiecha i idzie dalej. Kelnerka patrzy za oglądającą się dziewczyną. Jest jednocześnie zdezorientowana i zadowolona.

Miriam siada i przygląda się Ashleyowi. Kończy kawę.

– No i? Jak to będzie? Dlaczego kopnie w kalendarz?

– Wypadek samochodowy. Wjedzie w nią półciężarówka.

Ashley unosi brwi.

– Czego ty ode mnie właściwie chcesz? Jak mam ci udowodnić, że mówię prawdę? Już wiem. Chodźmy, za budynkiem zostawiłam mojego przerobionego deloreana. Śmigniemy nim w przyszłość, żebyś się przekonał, co ty na to?

– W porządku, już dobrze. Wierzę ci.

– Jestem wzruszona.

– Chciałem cię o coś poprosić.

– Nie, zapomnij o mojej ręce. Nie wyjdę za ciebie. Nie jesteś ojcem tego dziecka. Ono nawet nie jest białe. Na USG wygląda jak mały Eskimos.

– Chciałem ci zaproponować współpracę.

– Współpracę – powtarza Miriam i robi minę, jakby to słowo oznaczało psie gówno. – Serio? Ty i ja? Mamy współpracować?

– Będziemy drużyną. Ty będziesz wystawiać cele, a ja zajmę się resztą. Proszę spojrzeć na to rzeczowo, panno Black. Bardzo potrzebujesz mojej pomocy.

– Gównu od ciebie potrzebuję – przerwała na chwilę, a potem dokończyła. – Nie, gówna też nie potrzebuję.

– Ten staruszek, Benson. Ten, co trefnymi tabletkami karmił wacka. Gość miał sejf, prawda?

– No i?

– No i sejfy są po to, żeby ludzie trzymali w nich wartościowe przedmioty. Pieniądze. Broń. Biżuterię. Sztabki złota. Cokolwiek. Umiem się włamać do sejfu.

– Doprawdy? Byłeś w kółku zainteresowań w szkole w swojej dzielnicy? Tam cię tego nauczyli? Dobrze sobie. Chwalisz się, że potrafisz rozpruć sejf.

– Załóż się.

– Nie potrzebuję niczego z sejfów. Powiedziałam ci już, że nie jestem łapczywa. Ani chciwa. – Sięgnęła do swojej torby, wyjęła pieniądze i rzuciła banknot na rachunek. – Proszę. Jestem wypłacalna, widzisz? Jesteśmy kwita, tutaj nasze drogi się rozchodzą. Dzięki za dobrą zabawę ostatniej nocy. No wiesz... ten agresywny seks? Podduszanie i cała reszta? Świetnie się bawiłam. Ale to wszystko. Nic więcej nie mamy sobie do powiedzenia. Powodzenia w życiu.

Wstaje.

Ashley łapie ją za nadgarstek. Zaciska palce. Nie boli. Jeszcze nie.

– Będziesz chodziła tylko tam, gdzie ci pozwolę – mówi, uśmiechając się jak pan i władca. Kocha kontrolować, Miriam widzi to w jego oczach. – Albo dzwonię po gliny. Wydam cię i popłyniesz. A to nie wszystko. Mam dla ciebie jeszcze jedną drobną niespodziankę.

Miriam rozważa, czy nie złamać mu nosa. Tyle że w ten sposób zwróciłaby na siebie uwagę.

– Odrobiłem lekcje i sprawdziłem twoją przeszłość. Tak, wiem, że dziewczynka taka jak ty nie zostawia zbyt wielu śladów, ale i tak udało mi się dotrzeć do twojej matki. Żyje i ma się dobrze. Może wiedziałaś, a może nie. Ale z tego, jak ci drżą usta, wnoszę, że trafiłem w czuły punkt. Spokojnie, to dobra wiadomość. Też mam matkę i wiem, jak jest. Miłość i rozczarowanie, dwoje nieodłącznych partnerów w tańcu, co? Wystawisz mnie do wiatru, jadę prosto do twojej matki. Powiem jej wszystko. Może mi uwierzy, a może nie. Spodziewam się raczej tego pierwszego. Na pewno będzie jej smutno, że włączysz się po Stanach, pieprzysz z jakimiś przygłupami i lumpami, okradasz trupy... i że jesteś zwykłym śmieciem. Chcesz tego?

Dziewczyna zaciska zęby tak mocno, że niewiele brakuje, żeby popękały.

– To jak będzie? Jesteśmy partnerami? – pyta mężczyzna.

– Powiesz mi, co masz w metalowej walizce pod łóżkiem?

– Nie. – Uśmiecha się.

– Nienawidzę cię – odpowiada.

– Kochasz mnie, bo jesteśmy tacy sami. – Ashley wstaje i chce ją pocałować. Miriam odwraca głowę i jego usta muskają jej policzek.

Ashley puszcza jej nadgarstek i idzie zapłacić rachunek.

Wszystko zbiera się w wielką falę, która z ogromną siłą pędzi jej na spotkanie. Miriam zamyka oczy i myśli, że może tak właśnie miało być. Przeznaczenie. Nic się z nim nie da zrobić. Los. Prąd pod powierzchnią wciągnie ją w głębinę i pewnego dnia już nie wypłynie. Wyniesie ją daleko w morze. Zniknie na zawsze, pośród kości rozkołysanych wodorostów i szkieletów ryb.

Pamiętnik się zapełni i będzie po wszystkim.

Takie życie. Nie poradzisz, taki los.

CZĘŚĆ DRUGA

HARRIET I FRANKIE

Maker's Bell, Pensylwania.

Czarny oldsmobile cutlass ciera z numerami z Florydy sunie spokojnie ulicami i alejkami; nawierzchnię drogi pokrywa pajęczyna pęknięć zbiegających się tu i ówdzie w dziurach, niczym sieci pijanego pająka. Całe miasto przypomina księżycową panoramę: szarość, kratery, chmury pyłu. Samochód mijają kolejne domy, których okna to przymknięte oczy, a drzwi to otwarte w eternalnym ziewnięciu usta. Wiele budynków sprawia wrażenie opuszczonych. W innych mieszkają ludzie, ale tylko umierający – albo żywe trupy.

Samochód skręca na wysypany jasnym żwirem podjazd. Przed domem stoi drewniana skrzynka na listy. Niegdyś miała kształt kaczki, dziś trudno to dostrzec. Farba odchodzi płatami. Skrzydła – chorągiewki sygnalizujące pocztę – wiszą luźno i kołyszą się, poskrzypując na wietrze. Kaczka siedzi przechylona, jakby pewnego dnia, całkiem niedługo, miała spaść na ziemię martwa.

Trzy czarne cyfry – metal pokryty rdzą. Dom ma numer pięćset trzynaście.

Otwierają się drzwi samochodu.

– To tutaj? – pyta Frankie swoją partnerkę, Harriet.

– Tak jest – odpowiada kobieta. Jej głos jest pozbawiony emocji.

Wysiadają z auta.

Dwie postaci, jedna będąca całkowitym przeciwieństwem drugiej.

Frankie jest wysokim, bardzo przystojnym mężczyzną z twarzą Psa Droopiego i orlim nosem. Harriet ledwie zbliża się do metra sześćdziesiąt i przypomina raczej Charliego Browna – jest pyzata, ma okrągłą twarz i małe, głęboko osadzone oczy.

Rodzina Frankiego Galla pochodzi z Sycylii. Ma ciemną skórę, jak ciastko cynamonowe. Harriet Adams jest biała, bielsza niż skóra na nieopalonym tyłku, bielsza niż kości wyługowane przez słony ocean.

Frankie ma duże dłonie z wystającymi kostkami. Dłonie Harriet są raczej drobne, z króciutkimi, okrągłymi palcami. Są płaskie i tłuste. Jego brwi to dwie martwe gąsienice, jej to kasztanowe kreski namalowane kredką powyżej świdrujących oczek.

Mimo dzielących ich różnic tę dziwną dwójkę otacza teraz mroczna i złowróżbna aura. Działają razem. On jest ubrany w ciemny garnitur, ona w golf w kolorze wina.

– Chryste, kurwa mać. Ale jestem skonany – mówi Frankie.

Harriet nic nie mówi. Stoi, patrzy, zachowuje się jak manekin.

– Która godzina? – pyta mężczyzna.

– Jest wpół do dziewiątej – odpowiada kobieta, nie patrząc na zegarek.

– Wcześniej. Nie jedliśmy śniadania. Może podjedziemy coś wszamać?

Harriet znów nie odpowiada. Frankie tylko potakuje. Zna zasady, wie, co do nich należy. Najpierw interesy, potem przyjemności. A z Harriet to w ogóle tylko interesy. To właśnie w niej lubi, choć nigdy by tego głośno nie powiedział.

Dom, przed którym stoją, zamienił się w ruinę. Błękitny budynek z okiennicami w wiktoriańskim stylu. Przez ostatnich dwadzieścia czy trzydzieści lat bluszcz oplatał jego bryłę i rozrywał swoimi zielonymi, powolnymi pazurami.

Wieję chłodny wiatr, unosząc zaschnięte liście z werandy i dzwoniąc metalowymi rurkami zawieszonymi na drewnianym kółku. Dwa szare koty, zaskoczone dźwiękiem, zrywają się z podłogi, zeskakują ze schodów i znikają za domem. Frankie prycha.

– To kocia baba? – pyta.

– Nie mam pojęcia. To ma jakieś znaczenie?

– Otóż ma. – Przygląda się fasadzie domu i znajduje to, czego nie miał ochoty widzieć: z okna na drugim piętrze wygląda pomarańczowy kociak, kot szylkretowy z pyszczkiem podobnym do małpki siedzi na dachu werandy, wciśnięty w zagłębienie rynny, trójka białych kotków wygląda spod na wpół zdziczałego krzaku róży herbacianej.

Frankie wzdycha i masuje skronie.

– Niestety. To kocia baba.

– Pozostaje nam mieć nadzieję, że jeszcze żyje – mówi Harriet i rusza w stronę werandy. Frankie chwyta ją za ramię i zatrzymuje. Jest jedyną, no może jedną z dwóch osób na świecie, które mogą to zrobić i przeżyć.

– Czekaj. Co chciałaś przez to powiedzieć?

– Nigdy ci nie opowiadałam o Kociej Babci z Brookard Street?

Jego oczy robią się okrągłe.

– Nie.

Harriet zaciska usta.

– Kiedy byłam małą dziewczynką, mieliśmy w miasteczku taką starszą sąsiadkę, która uwielbiała koty. Nazywaliśmy ją Szaloną Maggie, chociaż

nie mam pojęcia, czy to było jej prawdziwe imię. Trzymała w domu całą armię kotów, dziesiątki zwierzaków. I sprowadzała ich coraz więcej i więcej. Przygarniała wszystkie bezpańskie dachowce. Chodziła po schroniskach i zabierała przeznaczone do uśpienia. Ludzie mówili nawet, że raz ukradła kota, którego chciała mieć w swojej kolekcji.

– Jasna kurwa. Nienawidzę kotów. Nie chcę słyszeć, jak to się skończyło.

– Ta kobieta była stara. Bardzo stara. Moja matka mówiła, że kiedy sama była dzieckiem, Maggie już wtedy była stara. Miała bardzo uporządkowany plan dnia: rano wychodziła z domu, odbierała pocztę, podnosiła gazetę z trawnika, podlewała kwiaty, które zasadziła w kwietniku ze starej opony obok skrzynki na listy, i wracała do środka. Resztę czasu spędzała, wyglądając przez okno. I pewnego dnia się zdarzyło, że Szalona Maggie nie wyszła rano po pocztę.

– Chryste. Czy będzie tak, jak się spodziewam?

– Po niedługim czasie z jej domu zaczął się wydobywać straszny smród. Wystarczyło, że zawiął wiatr, a wszędzie było go czuć. Słodkawy, aż lepki. Jak zepsute mięso.

– Wspaniale. Czyli zmarła. Pewnie złapała jakiegoś kociego adidasa czy inne gówno. Chodź, idziemy.

– Poczekaj, to nie koniec historii. Tak, zmarła, i nie, nie mam pojęcia, na co. Ale najważniejsze, że jej ciało było zamknięte w tym domu przez kilka dni. Nie miała rodziny. Nikt nie chodził sprawdzać, co się z nią dzieje. A co najważniejsze, nikt nie zajmował się w tym czasie kotami. Najpierw zajęły się jej kończynami: dłonie, palce, nos, potem oczy... a następnie dostały się do środka. Mięśnie. Wnętrznosci. Organy. Wszystko.

– Zaraz się porzygam.

– Koty nie przestały się rozmnażać. Nawet jak już znaleziono jej ciało, nikt nie zajął się kotami. Było ich coraz więcej, aż w końcu stworzyły prawdziwą kolonię. Sto zwierzaków spasionych ludzkim mięsem. Może więcej. Ściany i posadzki pokryte odchodami, smród amoniaku. Dom opanowały pasożyty i choroba. Ktoś w końcu się zlitował i podłożył ogień, mniej więcej rok po śmierci właścicielki. – Harriet patrzyła gdzieś daleko przed siebie. – Wciąż jeszcze pamiętam trzask płomieni i wycie palących się żywcem kotów.

Harriet rusza przed siebie i wchodzi na werandę. Frankie idzie za nią.

– Jesteś nienormalna.

– Zapukaj.

– Wspomniałaś o pasożytach. Jakie pasożyty roznoszą koty?

– *Toxoplasma gondii*, wywołują toksoplazmozę. Roznosi się przez ich odchody. Wystarczy dotknąć, a masz skażone dłonie. Dostają się do surowego mięsa. Czasem potrafią przetrwać nawet pieczenie. Zaczyna się od zaburzeń poziomu dopaminy. Zmienia się działanie mózgu gospodarza. Niektórzy twierdzą, że te pasożyty są odpowiedzialne za zespół kociej babci. Tak wpływają na psychikę nosiciela i żywiciela, że zaczyna kochać koty, aż w końcu popada w obłąd. Ponoć da się to powiązać z występowaniem schizofrenii. A teraz zapukaj wreszcie.

– Robisz sobie jaja. Nabierasz mnie. Kurwa, nigdy nie wiem, kiedy mówisz serio.

Harriet odsuwa go bez słowa na bok i sama puka.

– Niczego tu nie dotknę. Mowy nie ma – zapowiada Frankie. – Nie chcę, żeby kawałki kociego gówna przykleiły mi się do rąk i żeby koci robał przeprogramował mi mózg.

Harriet puka ponownie, tym razem znacznie głośniej.

Ze środka słychać kroki, szuranie. Ktoś się zbliża. Szczękają zamki, kilka, z góry na dół: jeden, trzeci, w końcu szósty. Wewnętrzne drzwi uchylają się i ze środka wysuwa się głowa starszej kobiety. Gospodyni przyciska twarz do drzwi zewnętrznych, z moskitiery. Z jej nosa sterczy przejrzysta rurka. Kobieta wlecze za sobą butlę z tlenem na kółkach.

– Odejdźcie – charczy. – Nie chcę waszych przeklętych gazetek! Już wam to mówiłam! Nie chcę słyszeć bzdur o stu czterdziestu czterech tysiącach miejsc w niebie, bo to bez sensu! Miliardy ludzi rodzą się i umierają na bożym świecie, a On ma kochać tylko sto czterdzieści cztery tysiące wybranych? Komuś rozum odebrało?

– Nie jesteśmy Świadcami Jehowy – wyjaśnia Harriet.

– To dobrze. A kim jesteście?

– FBI – mówi Frankie i pokazuje swoją legitymację, zwinnym ruchem, jak na filmach. Kobieta przygląda się jej. Harriet pokazuje swoją, ale bez teatralnych gestów.

– FBI? A z jakiego powodu?

– Chodzi o pani syna – twierdzi Harriet. – Chcielibyśmy porozmawiać o Ashleyu.

Harriet widzi wyraźnie ścieżki, którymi porusza się staruszka; kobieta jest bałaganiarą, jednak nie chaotyczną bałaganiarą. Jej pokoje przypominają kaniony ze szlakami wyżłobionymi w górach śmieci. Roczniki „National Geographic” ułożone w wysokie stosy, na każdym króluje doniczka z fiołkiem. Zza wielkiego kosza na bieliznę i deski do prasowania wygląda szafa zastawiona ogromną ilością kieszonkowych wydań książek – wgląda jak dziób tonącego okrętu.

W nosie wierci woń stęchlizny, pleśni i kurz. Harriet to nie przeszkadza. Frankiemu też nie, z tego co Harriet widzi. Mężczyzna przeciska się między

bliźniaczymi stosami gazet, znajduje szezlong i przysiada na nim, wyciągając wygodnie nogi.

Cały czas nerwowo spogląda w stronę schodów, gdzie spomiędzy tralek balustrady połyskują złotozielone małe oczka. Kolejnego kota dostrzega za piramidą magazynów. Nieudana kryjówka.

Staruszka, Eleanor Gaynes, siada w fotelu. Dłoń zaciska na butli z tlenem.

– Mówią państwo, że chodzi o Ashleya.

Harriet nie siada. Nie kołysze się i nie rozgląda. Jest nieruchoma jak głaz.

– Tak jest. Widziała go pani ostatnio?

– Nie.

– Kontaktował się z panią?

– Powiedziałam przecież, że nie. Nie wiem, gdzie jest, ani co się z nim dzieje. Nic, ani słowa. Odszedł, nie dzwoni i nie pisze. Uciekł, kiedy się okazało, że mam rozedmę płuc, i zerwał ze mną kontakt. Nie sądzę, żebym go jeszcze kiedyś zobaczyła. Skończyliśmy?

Stara suka łże. Mówi się, że kiedy ludzie kłamią, zachowują się w pewien specyficzny sposób, jakby wysyłali znaki, że zmyślają. Ale to tylko częściowo prawda. Każdy sygnalizuje kłamstwo na swój sposób. Trzeba mieć specjalny dar, instynkt, żeby umieć to odczytać. Widać to w zachowaniu kobiety, jak wymawia słowa, jak bardzo jest oburzona. Aż zbyt oburzona. W tym, jak zaciska palce na rączce butli z tlenem, jak przyciąga ją do siebie. Harriet jest czujna jak zwierzę. Można by pomyśleć, że wyczuwa zapach kłamstwa.

– Pani Gaynes. Pani syn. Nie dopuszczam do siebie myśli, że mogłaby pani celowo utrudniać dochodzenie federalne. Staramy się mu pomóc,

proszę to zrozumieć. Chcemy go uchronić przez złymi ludźmi.

Staruszce drżą wargi. Marszczy brwi.

– Zostawcie go w spokoju – syczy. – To dobry chłopiec. Przysyła mi pieniądze.

– Pieniądze. Przysyła. Ile pieniędzy pani od niego dostaje?

– Tyle, że wystarcza na lekarstwa.

– Czy słyszała pani cokolwiek o walizce? Metalowej walizce?

Pani Gaynes bawi się przejrzystą rurką doprowadzającą tlen do nosa. W końcu potrząsa głową.

Harriet rusza się po raz pierwszy od początku rozmowy. Nie jest szybka; spokojnie zbliża się do starszej kobiety na odległość, która budzi jej dyskomfort. Narusza jej prywatną przestrzeń. Potem przykuca obok butli z tlenem i składa ręce.

– Widzę, że musi pani tego używać.

– Mówiłam już, że mam rozedmę płuc. To przez palenie. Mam ograniczoną pojemność płuc. Lekarz mówi, że zostało mi jakieś dwadzieścia procent z tego, co było. I mówi, że to nieodwracalne. Cholerny konował.

– Potrzebuje pani tlenu, żeby móc oddychać.

Staruszka poprawia kocyk, którym okrywa kolana.

– Po to jest tlen.

Słowa zawierają w sobie trochę sarkazmu.

– Tlen to ciekawy pierwiastek – mówi Harriet. – Pewnie czytała pani te wszystkie ostrzeżenia, które naklejają na butlach i zaworach...

Wyjmuje z kieszeni zapalniczkę Zippo z wygrawerowanym odciskiem łapy na boku.

– ...że jest palny.

Frankie jęczy i wstaje.

– Pójdę zaparzyć herbatę. Albo coś innego.

Harriet nie ma nic przeciwko. Nie potrzebuje go teraz do niczego. Ta część należy do niej, nie do niego. Każde z nich ma swoje zadania. Mimo to nie może uciec przed myślą, która ją w takich sytuacjach gnębi – czyżby Frankie stracił zainteresowanie pracą? Może wysiadł nerwowo?

Frankie wychodzi z pokoju, a staruszka nie może oderwać wzroku od zapalniczki.

– Nie jesteście z FBI – syczy, patrząc na swoje odbicie w błyszczącym chromie.

– Nie wyraziłam się precyzyjnie. – Harriet nie zwraca uwagi na jej słowa. – Chodzi o to, że tlen sam w sobie nie jest łatwopalny. On tylko umożliwia spalanie. Tak właśnie działa ogień – żywi się tlenem. Dzięki niemu płomienie rozprzestrzeniają się znacznie szybciej i są większe. Problem z powietrzem, którym oddychamy, jest taki, że jest w nim tylko trochę tlenu. Ale pani w butli ma czysty towar. Stuprocentowy. I pewnie jeszcze sporo go tam zostało.

– Proszę – jęczy kobieta.

Harriet nie okazuje żadnych emocji, jednak wewnątrz czuje się jak pijana szczęściem sarenka. To jej ulubiona część pracy. Jest iskierką, która ogrzewa i napędza jej mózg.

– Gdybym zapaliła teraz zapalniczkę – mówi Harriet – sama obecność zbiornika i tlen wydobywający się z rurki pod pani nosem pozwoliłyby płomieniom ogarnąć pani słabe, zmęczone ciało. Swoją drogą, widziała pani kiedyś płonącego człowieka?

– Mój syn...

– Zapomnijmy o pani synu. Teraz niech pani myśli o sobie. Byłam... znalazłam się kiedyś przy płonącym samochodzie. W środku siedzieli ludzie, mąż i żona. Karoseria była tak pocięta, że nie mogli wydostać się na zewnątrz, a na dodatek ogień nadtopił pasy, więc nie mogli ich zdjąć. Umierali powoli. Krzyczeli. Rzucali się. Szamotanina powoduje jedynie zwiększenie porcji tlenu dla ognia. A tlen jest jak mięso dla jego głodnych szczęk.

Staruszka chlipie cicho, kiedy Harriet zdejmuje jej wężyk spod nosa. Z otwartych końców słychać słabe syczenie. Dźwięk czegoś, co dotychczas pozwalało żyć, a w ułamku sekundy stało się śmiertelnym zagrożeniem. Harriet zbliża zapalniczkę i masuje ją kciukiem.

– No dobrze. Wróćmy do pani syna. Gdzie jest?

– Nie mogę...

– Może pani. Ashley Gaynes. Gdzie jest. Albo pani spłonie. Cały dom spłonie.

Kobieta szlocha i krzyczy:

– On jest niewinny!

– Niewinność to wymysł. – Harriet zapala zapalniczkę, ale na razie trzyma ją daleko. Powoli zaczyna ją zbliżać, jak matka łyżeczkę do ust upartego dziecka. – Niech mi pani powie, gdzie jest pani syn, albo umrze pani, słysząc wrzaski płonących żywcem kotów.

– Karolina Północna – rozlega się głos Frankiego. Harriet marszczy brwi, cofa się. Zamyka zapalniczkę, gasząc płomień.

Staruszka wiotczeje i zgina się wpół. Płacze. Jęczy.

– Skąd wiesz? – pyta Harriet.

Frankie w jednej dłoni trzyma butelkę supermarketowego piwa imbirowego, z którego pociąga ostrożny łyk, jakby się bał przenieść z

szyjki na usta niewidzialne kawałki kociego gówna z bakteriami, a w drugiej dłoni ścisła pocztówkę. Unosi widokówkę i macha nią do Harriet.

– Ten debil wysłał jej kartkę z Karoliny Północnej. A ta idiotka powiesiła ją na widoku, na lodówce, jakby to była praca zaliczeniowa z podstawówki. Stempel na znaczku sprzed tygodnia. – Zmarszczył brwi i zaczął czytać. – Mówiła prawdę, przesyła jej pieniądze.

Harriet odbiera od niego pocztówkę. Przygląda jej się. Na froncie wielki napis *Pozdrowienia z Karoliny Północnej!*, a nazwa stanu stanowi tło dla gór, oceanu i jakichś budynków. Na odwrocie Ashley skreślił kilka słów do matki.

Mamo. Jestem w miasteczku Providence. To niedaleko Asheville. Spotkałem kogoś, kto dołączy do zespołu i pomoże mi podciągnąć wyniki sprzedaży. Niedługo ruszamy. Dużo zdrowia. Podeślę ci pieniądze. Kocham. Ash.

– No proszę. – Harriet jest rozczarowana. – Na tym moglibyśmy zakończyć naszą wizytę.

Harriet wie, że powinna być zadowolona. Znaleźli odpowiedź i nawet się przy tym nie namęczyli. Żadnych ciał do ukrycia. Na dodatek ogień jest samowolnym, trudnym do kontrolowania żywiołem.

A jednak czasem człowieka bierze po prostu ochota, żeby spalić jakąś staruszkę.

– Ashley – jęczy stara kobieta.

Harriet stara się znaleźć sposób, żeby pozbyć się pokusy. Myśli, żeby powiedzieć jej o wszystkim, żeby zdradzić, czym zajmuje się Ashley i skąd ma pieniądze, ale ona najprawdopodobniej już się domyśla. Poza tym Harriet jest zmęczona.

– Zabij ją, Frankie – mówi po prostu. – Zabij ją. Będę czekała w samochodzie.

Na zewnątrz Harriet staje przy aucie i bawi się pocztówką.

Z wnętrza domu słysząc dwa ciche strzały. Pistolet Frankiego.

To jest jego prawdziwy talent, myśli sobie. Każdy przedmiot w skrzynce z narzędziami ma swoje bardzo konkretne przeznaczenie. I tak samo jest z Frankiem. On sprząta. Może czasem narzeka. Może jest zbyt delikatny. Ale, póki co, robi to, co mu się każe, a ona jest mu za to wdzięczna. Harriet wie, że nie mogłaby zabić staruszki – ale nie dlatego, że nie potrafiłaby. O nie. Wręcz przeciwnie. Dlatego, że zbyt mocno ją do tego ciągnęło. Kazałaby jej cierpieć i przedłużać przyjemność w nieskończoność. Dobrze by się bawiła.

Z domu wychodzi Frankie i sprawia wrażenie, jakby się nic nie wydarzyło.

– Dzięki – mówi Harriet.

Mężczyzna unosi brew. Nie jest przyzwyczajony, żeby mu za coś dziękowała.

– Musimy poinformować Ingersolla o wszystkim – rzuca mu telefon – zadzwoń do niego.

– Ciebie lubi bardziej.

– Zadzwoń.

– Cholera.

Bierze telefon do ręki.

DWORZEC

Miriam stoi pośród tłumu.

Jest noc. Sama nie wie, która godzina, bo straciła poczucie czasu. Czuje smród spalin. Kolejne autobusy przyjeżdżają i odjeżdżają, rzygają ludzką masą jak wielkie bulimiczne stwory, by zaraz połknąć jeszcze większą porcję. Po drugiej stronie, na błękitnej ławce siedzi Ashley i daje jej znak, że ma działać. Ruszaj się, ruszaj się, ruszaj się.

Po raz kolejny rozważa ucieczkę. Może po prostu wsiąść do autobusu i odjechać. Już nieraz tak przecież robiła. Ale stoi jak przyklejona. Nie odchodzi. Sama nie wie, dlaczego.

Podoba ci się. Lubisz to. Zasłużyłaś sobie.

Dworzec autobusowy na przedmieściach Charlotte wygląda jak ogromny hangar na samoloty – przewiewny, sklepiony wysoko nad głowami, a nad wszystkim świeci księżyc. Miriam czuje się przez to bardzo mała.

Znów rusza między ludzi i wyciąga ręce.

Ta sama taktyka, co przez całą ostatnią godzinę, godzinę przed tą godziną i jeszcze wcześniej – jej dłonie muskają dłonie innych albo sięgają do odkrytych ramion mijających ją ludzi. Robi krok i...

Trzy lata później, kobieta zaciska dłoń na krawędzi szpitalnego łóżka. Jest przesiąknięta potem i prze, prze, stara się wypchnąć kulę do gry w kręgle przez otwór wielkości niewielkiej pięści. Pojawia się główka dziecka, najpierw odrobina mokrych, ciemnych włosów, już teraz porastających purpurowiałą skórę maluszka, a potem wychodzi twarz i jest pokryta czymś, co wygląda jak sałatka z granatów. Właśnie wtedy zaczynają szaleć parametry życiowe matki. Lekarz, który wygląda trochę jak Sulu ze Star Treka, mówi coś o krwotoku okołoporodowym. Kaskada krwi, kobieta krzyczy, dziecko się wyślizguje jak tratwa na czerwonej fali, płaska linia na monitorze...

Miriam mruga oczyma, żeby pozbyć się tego widoku. Uspokaja się. Przecież już to robiła, wiele razy. Zadziwiające, jak wiele widziała szpitali i sal zabiegowych, choć nigdy w nich nie była. Nie odsuwa się, pozwalając, by jakiś mężczyzna otarł się o jej nagie ramię, kiedy przytulał żonę...

Mężczyzna jest sam, trzydzieści trzy lata później. Leży w szpitalu. Jest łysy. Rak przeżera jego ciało jak kolonia szczurów stary dom. Siedzi na krześle w narożniku i sięga po fiolkę z lekarstwami, która stoi na stoliku przy łóżku. Otwiera buteleczkę, odlicza najpierw jedną, potem drugą tabletkę i nieruchomieje. Przygląda się pigułkom na swojej dłoni, by w następnej chwili przechylić fiolkę i wysypać wszystkie pozostałe. Teraz ma ich dwadzieścia kilka. Wszystkie połyka. Siedzi i nic nie czuje. Wpatruje się w kafelki na podłodze, w sufit. Jest rozpaczliwie samotny i zaczyna płakać; powoli ogarnia go odrętwienie, obraz się rozmywa. Głowa opada na bok. Szczęka zwisa. Z ust kapie mu ślina. Potem...

Wystarczy, co mnie to obchodzi, myśli Miriam. Gość zestarzał się, zachorował, popełnił samobójstwo. Wielka mi rzecz. Udało mu się przeżyć

wiele lat, świetnie. Większość będzie długo żyła. To coś, co sobie właśnie uświadomiła. Większość ludzi przekroczy sześćdziesiątkę i umrze na którąś z chorób związanych z wiekiem – rak, zawał, udar, rak, udar, zawał... i tak w kółko, i od nowa. Do tego kilku cukrzyków. Trochę zapaleń płuc.

Niewielu ludzi umiera młodo, a przynajmniej nie tutaj, w Ameryce. Tragedii nie da się oczywiście uniknąć, ale w tym kraju tragedią nie jest to, jak ktoś umiera, ale jak żyje. Nieudane małżeństwa, pokręcone dzieci, znęcanie się nad sobą, znęcanie się nad żoną, znęcanie się nad psem, samotność, depresja, nienawiść, ziewnięcie, do diabła z tym.

Gratulacje, pomyślała. Większość z was, pieprzone dupki i żalosne ćwoki, dociągnie w ten czy inny sposób do emerytury.

To oczywiście bardzo utrudnia jej pracę.

Ashley chce, żeby znalazła kogoś odpowiedniego. Kogoś, kto ma umrzeć niedługo, kogo będą mogli oskubać ze wszystkiego, co ma. Co więcej, chce znaleźć jakąś metę. Jak się okazało, dom przy drodze nie należał do niego. Podwędził klucze jakiemuś gościowi, który poleciał na wycieczkę za ocean. Przejął jego dom, umościł się w nim, uznał za swój i pochował wszystkie oprawione zdjęcia. Doskonałe miejsce.

Wymyślił sobie, że jeśli znajdą kogoś, kto niedługo umrze, kto przy okazji jest bogaty i ma lokal, który mógłby się stać dla nich metą, póki będą w tym miejscu, to będzie świetnie. Zajrzał do jej kalendarza. Nie miała w nim nikogo, kto miałby zejść dostatecznie wcześnie jak na jego zachłanny gust. Ashley pożąda więcej niż tylko jedzenia.

Musisz iść gdzieś, gdzie są ludzie, powiedział jej. Gdzieś, gdzie jest dużo ludzi.

– Dyskoteka – zaproponowała. Tam jest zawsze tłum. Większość z bywalców klubów to ludzie młodzi, przejawiający skłonność do

niebezpiecznych zachowań. Wciągają kokainę. Zażywają narkotyki. Uprawiają seks bez zabezpieczenia. Jeżdżą po pijaku. I robią jeszcze wiele innych niebezpiecznych rzeczy. Ashley powiedział: nie. Raczej dworzec autobusowy.

Miriam zaprotestowała. Dworce autobusowe to nie jest najlepsze miejsce, bo przynajmniej połowa ludzi nie przyjeżdża, tylko odjeżdża. A to znaczy, że jeśli znajdzie kogoś, kto odjeżdża, a w niedługim czasie kopnie w kalendarz, to i tak nie znajdą się odpowiednio blisko, by to wykorzystać. Chyba że wskoczyliby w autobus i pojechali za tym kimś do Des Moines. A tam akurat nikt nie chce jeździć.

Nie, powiedział Ashley. Wydaje się mu, że pozjadał wszystkie rozumy. Jest taki przemądrzały. Ona siedzi w tym od ośmiu lat, więc za kogo on się uważa, żeby jej mówić, co i jak ma robić?

Zresztą, co tam. Niech będzie dworzec autobusowy, zdecydowała. Jak tam chce.

I tak oto się tu znaleźli.

Ashley siedzi po drugiej stronie i okazuje niecierpliwość. Ma otwarte usta, parska, unosi ręce i bębni palcami. Zupełnie, jakby to było dla niego trudne. Co za dupek, myśli Miriam. Trudne. Dla niego.

Zabawne.

Jest już naprawdę zmęczona i wściekła. Zeskakuje z krawężnika, żeby przejść przed autobusem i...

Jedzie na rowerze, szosowej maszynie o kołach cienkich jak nadmuchane słomki do picia. Ma na sobie obcisły strój cyklisty z kolorowej lycry, zupełnie jakby należał do teamu Goodyeara czy jakiegoś innego sponsora. Koło wpada na kamień, ślizga się, pisk hamulców, zderzak. Samochód miażdży mu miednicę i wyrzuca jego ciało w górę. Porusza się

jak marionetka, której ktoś przeciął sznurki. Pada na maskę, głową w kasku rozbija przednią szybę i wszystko pogrąża się w czerni, ma krwawienie wewnątrz mózgu...

Odwraca się i widzi mężczyznę, który macha do innego mężczyzny na pożegnanie, kochankowie albo przyjaciele. Nie spodziewała się tego. Szła przed siebie, pogrążona w myślach, a jego ręka musiała musnąć jej ramię. Nie, to i tak nic nie dawało. Owszem, facet umrze. Nie, nie jutro. Za rok. Okej, dokładniej rzecz biorąc, za rok, dwa miesiące i trzysta dni. Wygląda na nadzianego. Miriam zastanawia się, czy nie wpisać go do swojego kalendarzyka na później. Gdyby akurat była w pobliżu...

Potrząsa głową, w ostatniej chwili ucieka przed nadjeżdżającym autobusem. Zastanawia się przez moment: uderzy mnie? Kiedy przyjdzie kolej na mnie? Podchodzi do Ashleya, który spogląda na nią krzywo.

– Masz coś? – pyta.

– Takie szukanie to jak łowienie bez przynęty.

– Czyli nic nie masz.

– Tak. Nie.

Wzrusza ramionami.

– No to na co czekasz? Wracaj tam i rób swoje... czary-mary.

– W ten sposób rozumiesz współpracę? Że ty sobie siedzisz wygodnie na dupie, podczas gdy ja odwalam całą robotę?

– Moje zdolności na razie nie są przydatne. Wchodzę do gry, dopiero kiedy kogoś wskażesz, słońce.

– Twoje zdolności? Żartujesz? Daruj sobie. Twoim jedynym talentem jest uśmiech. Nic innego nie masz do zaoferowania światu. Reszta tylko zajmuje miejsce i marnuje powietrze.

– Uśmiech to tylko witryna wystawowa. I tak, to jest najważniejsza broń w moim arsenale uroku.

– Arsenał uroku – powtarza Miriam. – Jestem głodna.

– Mam to gdzieś.

– A nie powinienesś.

Ashley ziewa.

– Słuchaj. Nie mamy dokąd udać się na noc. Potrzebujemy jakiejś mety, żeby się zamelinować. Jak się nam uda coś znaleźć, pomyślę o jedzeniu. Poza tym chyba nie chcesz, żebym cię wystawił, wezwał policję i dał znać twojej matce, co? Rozumiemy się?

– Tak, rozumiemy. Ty rozgrywasz. Niech ci będzie. Pozwól tylko, że dam ci korepetycje z biologii. Dziewczynka musi coś zjeść. Dziewczynka jest człowiekiem. My, ludzie, żyjemy dzięki jedzeniu, nie wspominając o alkoholu i papierosach. Mam pieniądze. Chodź, pójdziemy na kolację. A potem do motelu. Ja stawiam.

Ashley zastanawia się. W końcu potakuje.

– W porządku. Jak chcesz. Idziemy.

WYWIAD

– Chłopiec z balonem – mówi Miriam, a jej twarz tężeje.

– Właśnie – potwierdza Paul. Czeka.

Miriam nienawidzi tej historii. Nienawidzi jej wspominać. A najbardziej nienawidzi o niej mówić.

– To było dwa lata później.

– Dwa lata po tym, jak ty...

– Jak zdobyłam tę wyjątkową umiejętność.

Paul unosi brew.

– Ciekawy dobór słów. Zdobyłaś ją?

– Zgadza się. Ale to nieważne. – Zrobiła lekceważący ruch dłonią. – Byłam głodna, a kręciłam się akurat po przedmieściach D.C., w okolicy zamieszkaney przez japiszonów. Poszłam do Wendy's po ten... nie wiem, nie pamiętam, jak nazywają te shaki mleczne robione bez mleka. McSlurry.

– Frosty – podpowiada Paul.

– Niech będzie Frosty. Zapłaciłam. Dostałam swoje trujące gówno, produkt uboczny z przemysłu chemicznego, odpad z fabryki pianek i smarów w eleganckim kubeczku. Wypiłam i chciałam wyrzucić do śmieci jak porządny obywatel, a tam był on.

– On?

– Austin. Mały narwaniec z burzą pomysłów. Trzymał w rączce taki czerwony balonik napełniony helem. Czerwony, z niebieskim tortem

urodzinowym i żółtymi świeczkami. Miał dziewięć lat. Wiem, bo mi powiedział. Podszedł i po prostu zaczął gadać. „Cześć, mam na imię Austin. Dzisiaj są moje urodziny, skończyłem dziewięć lat”.

Miriam martwi się o paznokcie. Wie, że jeśli będzie je dalej obgryzać, w końcu dojdzie do palców. Powstrzymuje się, wysuwa z pudełka kolejnego papierosa i zapala.

– Nie pamiętam już nawet, co mu powiedziałam. Wszystkiego najlepszego pewnie. Nie jestem jakoś szczególnie sentymentalna, ale polubiłam Austina. Wyglądał jak taki typowy ociężały umysłowo dzieciak, który lubi wszystkich i chce być przyjacielem. A nie ma chyba fajniejszej rzeczy, jak mieć akurat urodziny. W jego wieku urodziny są jak... jak nieskończenie dużo możliwości – piniata z cukierkami, pudełka z zabawkami... Im jesteś starszy, tym bardziej sobie uświadamiasz, że urodziny to jak bramka do metra, która wpuszcza cię coraz dalej i dalej, i nie ma już odwrotu. Nagle urodziny przestają ci się kojarzyć z nowymi możliwościami. Stają się nieuniknioną koniecznością.

– I wtedy go dotknęłaś – wtrąca się Paul.

– To zabrzmiało, jakbym go wciągnęła do furgonetki i molestowała. To on dotknął mnie, żeby nie było. Dzieciak złapał mnie za rękę i potrząsnął, jakbyśmy robili interesy albo coś. Pewnie tata go tego nauczył. Pokazał mu, jak podać rękę, żeby zachować się jak duży chłopiec. No i wtedy zobaczyłam.

Miriam opisuje:

Austin wybiegnie na ulicę, między samochody. Małe buciki na asfalcie.

Będzie wyciągał ręce w górę. I patrzył w górę. Małe palce będą się wyciągały i przebierały, a on będzie biegł.

Będzie gonił swój balonik.

Znikąd pojawi się biała terenówka.

Siła uderzenia zerwie mu buciki z nóg, a jego ciało przeleci kawałek i uderzy o asfalt, jakby ktoś rzucił szmacianą lalkę.

To się stanie dwadzieścia dwie minuty po ich spotkaniu.

Paul siedzi i milczy. Chce coś powiedzieć, ale się nie odzywa.

– No właśnie – mówi Miriam. – Martwy dzieciak. Wcześniej widziałam już wiele śmierci. I owszem, było wśród nich kilkoro dzieciaków. Tyle że oni wszyscy mieli kopnąć w kalendarz... normalnie, jeśli mogę tak powiedzieć, bo inne słowo nie przychodzi mi do głowy. Po czterdziestu, pięćdziesięciu latach. Smutne, ale przecież każdy z nas kiedyś wykituje i przejdzie na drugą stronę. Ale Austin. Akurat on. Miał umrzeć w wieku dziewięciu lat. W swoje urodziny.

Zaciąga się dymem.

– Najgorsze, że to miało się stać na moich oczach. Byłam tam. Wykombinowałam, że oto nadeszła moja wielka szansa. Że mogę to zatrzymać. Że mogę... Zaraz, jak to się mówi? Że mogę wykazać się inicjatywą. Dotychczas wszystkie moje działania były raczej pasywne. Wiesz, gość ma zejść za dwa lata w wypadku samochodowym, bo usiądzie pijany za kółko, to ja mu mówiłam: „Ej, palancie, nie prowadź po pijaku, a przynajmniej nie wsiadaj do auta trzeciego czerwca”. Każdy może zrobić z taką informacją, co tylko chce. Ale to? Teraz? Dziecko zaraz ma wybiec na ulicę? Jak trudne może być powstrzymanie dziewięciolatka przed czymś takim? Pomyślałam, że pokażę mu coś błyszczącego. Albo powalę go na ziemię, wykręcę rękę i będę trzymała. Wsadzę go do kosza na śmieci. Zrobię coś. Cokolwiek. Poczułam, że odzyskuję nadzieję. Wiesz, jak to jest? Jak bańka mydlana. Nagle poczułam, że... że jest szansa. Miałam wreszcie cel. Ta straszna rzecz, jaka mnie spotkała, ten okropny talent, może nie był taki bezsensowny, jak myślałam. Nawet jeśli uda mi się

zatrzymać tylko jednego nieletniego idiotę przed spotkaniem z rozpedzonym autem, to niech będzie, dla tego warto było znosić to wszystko.

Miriam zamyka oczy. Wciąż jeszcze czuje złość na wspomnienie tamtych chwil.

– Wtedy spotkałam cipę.

Paul blednie.

– Co jest? – pyta Miriam. – Nie lubisz tego słowa?

– Nie, nie o to chodzi... tylko... to brzydkie słowo.

– Brzydkie słowo na brzydkie czasy, Paul. Nie bądź taki mięczak. W Anglii cały czas tak mówią. To dla nich zwykła rzecz.

– Ale nie jesteśmy w Anglii.

– Serio? – Miriam pstryka palcami. – To chyba lepiej przestanę jeździć lewym pasem. Ale zaczynam rozumieć, dlaczego wszyscy na mnie trąbią. I skąd te wypadki.

Paul zmusza się do słabego uśmiechu.

– Spotkałaś jakąś kobietę.

– Spotkałam popierdoloną, skurwiałą matkę Austina. Cipowatą, dającą na prawo i lewo kurwę. Miała drogą torebkę, sparaliżowaną botoksem twarz, włosy tak ciasno spięte w koński ogon, że nie mogła normalnie mrugnąć, i małą słuchaweczkę bluetooth wetkniętą w ucho i pewnie też coś w dupie, ale nie wiem dokładnie. Podeszłam do niej i mówię: „Proszę pani, potrzebuję pani pomocy. Chodzi o pani dziecko. Zaraz umrze, jeśli mi pani nie pomoże go uratować”.

– Jak zareagowała? – pyta Paul.

– Wybieram koło ratunkowe telefon do przyjaciela i odpowiedź: „nie za dobrze”.

– W „Milionerach” to przyjaciel ci podpowiada.

Miriam zaciąga się po raz ostatni papierosem, odpala od niego kolejnego, a niedopałek zdusza w popielniczce.

– Cholera, Paul, jak mało kto potrafisz załatwić dynamikę opowieści.

– Przepraszam.

– Dobra, wracamy do tej skurwiałej cipy. Suka patrzy na mnie, jakbym się jej wyszczała na ostatni sezon „Seksu w wielkim mieście”, więc jej powtarzam, o co mi chodzi. Ona bełkocze coś o tym, że jestem nienormalna, na co ja sięgam, żeby złapać ją za ramię. Chwyciłam za koszulkę, nie dotknęłam skóry. Bardzo jej się to nie spodobało. Teraz przeskakujemy dwadzieścia minut do przodu. Stoję i wrzeszczę na gliniarza, ona wrzeszczy na mnie, a gliniarz stara się cokolwiek zrozumieć.

– Czekaj, policjant? Skąd się wziął? – pyta Paul.

– Tak, Paul. Policjant. Mówiłam przecież, że przeskakujemy dwadzieścia minut do przodu, nie? Chryste, postaraj się na przyszłość, okej? Ona zadzwoniła po gliny, twierdząc, że jakaś wariatka grozi jej synowi śmiercią.

– A ty nie zwiłaś?

Miriam strzepuje papierosa w jego stronę. Paul uchyla się przed popiołem.

– Nie. Przypomnij sobie. Chciałam uratować tego dzieciaka. Pomyślałam, że glina na miejscu może się przydać, a na pewno nie zaszkodzi. Może właduje nas do radiowozu i zawiezie na komisariat, co by rozwiązało problem. Nie chciałam po prostu... uciec. Nie chciałam, żeby to się wydarzyło.

Zaciska dłoń w pięść, aż strzelają jej kostki.

– Ale powinnam była. Powinnam była uciec. Bo kiedy my tam staliśmy i darliśmy się na siebie jak idioci, Austin znalazł na ziemi pieniądze. Wciąż jeszcze słyszę jego głosik, jak o tym mówi, ale wtedy nie zwróciłam na niego uwagi. Byłam tak pochłonięta tą idiotką, że po prostu nie zauważyłam, co się dzieje. Austin powiedział: „Znalazłem pieniądze, wezmę go na szczęście” i schylił się, żeby go podnieść... I niechący wypuścił z rączki tasiemkę balonika. Nie wiem, kiedy go dostał, ale hel musiał się już z niego częściowo ulotnić, bo balonik nie poszybował w górę, tylko... tylko unosił się tam w powietrzu, jakby był zawieszony. A potem wiatr zaczął go przesuwac.

Paul przełknął głośno.

– Balonik nabiera prędkości. Mały rusza za nim. Widzę, jak za nim leci. Chcę krzyżeć, ale jego matka patrzy i drze japę na mnie, zamiast pilnować dzieciaka. A policjant przygląda się matce, bo cipa wygląda, jakby zaraz miała się na mnie rzucić z łapami. Krzyżę i zaczynam biec, ale gliniarz jest szybszy i mnie powstrzymuje. To cały czas trwa. W mojej głowie. Balonik odlatuje. Samochód terenowy. Jego ciało. Jego buty. Takie nierzeczywiste. Jak coś, co się ogląda w internecie. Jak żart.

Cisza.

Miriam mruga, żeby powstrzymać łzy. Nie pozwoli im popłynąć po policzkach.

– Ale bajzel. – Paul kręci głową.

– Nie, to jeszcze nie jest najgorsze. – Miriam zaciska zęby. – Najgorszy jest moment, kiedy udaje ci się uwolnić z pętli obrazów, które twój mózg widział i odgrywa wciąż na nowo. Wtedy zaczynasz kojarzyć niektóre fakty. Zaczynasz rozumieć, że życie jest zapisane w książce i każdy z nas dostaje taką książkę. A kiedy dochodzi do ostatniej strony, my też się

kończymy. Książka Austina to nie była książka. To była ulotka. Hop, siup i po wszystkim. Przeczytasz, wyrzucasz. Pa, pa.

– To ponure.

Miriam wstaje, kopie krzesło, podnosi je z ziemi i stawia z impetem na podłodze. Rozlega się trzask, kiedy nogi uderzają w betonową posadzkę magazynu.

– Paul, naprawdę cały czas nie kapujesz? Staralam się uratować życie tego małego głupka, i przez to, że się staram, skazałam go na śmierć. Ja. Ja go zabiłam. Gdybym nie miała tej wizji, gdybym nie starała się zapobiec temu, co zobaczyłam, jego skurwiała mamuśka pewnie zaciągnęłaby go do jakiegoś sklepu z butami albo jeszcze gdzie indziej, gdzie żadna wariatka nie wytrąciłaby jej z równowagi krzykami, więc upilnowałaby go i mały nie znalazłby się na ulicy. To jak z tym węzłem, co gryzie swój ogon. Przeznaczenie i plan. Ja od samego początku byłam częścią tego planu, choć wydawało mi się, że jestem sprytniejsza od przeznaczenia i wyrwę chłopaka z jego szponów. Ale starając się zmienić przeznaczenie, sprawiłam, że się wypełniło.

Krzesło jest daleko po tym, jak je kopnęła, więc Miriam siada na ziemi. W ciszy pali papierosa i głęboko zaciąga się dymem.

– Właśnie dlatego przestałam się starać ratować ludzi – mówi w końcu.

– Aha.

Miriam gasi niedopałek na betonowej posadzce.

– Okej. – Kiwa głową. – Na pewno chcesz się dowiedzieć, jak to się stało, że taka jestem?

UROBOROS

Restauracja Waffle House, charakterystyczna dla amerykańskiego Południa, to w gruncie rzeczy tłusta, żółta trumna. Jest ciasna. Jest kanciasta. Połowa gości niewiele się różni od poruszających się trupów. Pakują do ust placki ziemniaczane, kiełbaski i gofry, ich ciała pęcznieją i rosą, a serca umierają. Miriam uważa, że to wspaniałe miejsce. Jada tutaj, bo każdy posiłek to kolejny gwóźdź do dębowej jesionki; niemal słyszy, jak zarastają jej arterie, jak stają się chrupiące i sztywne niczym panierka na kurczaku.

Na ironię zakrawa fakt, że od jakiegoś czasu nie wolno tu palić. Teraz w restauracjach Waffle House jedynie kelnerki są licencjonowanymi szafarzami śmierci.

Miriam stoi przed lokalem. Pada deszcz. Mijają ją samochody. Przez chmury spalin widzi sklep Circuit City i niewielką koreańską knajpkę po drugiej stronie ulicy, zaraz obok Jo Ann Fabrics. Dalej widzi ciemne sylwetki wieżowców Charlotte, jak sięgający nieba płot. Daleko mu jednak do ogromu panoramy Nowego Jorku czy Filadelfii.

Czuje, że znalazła się na krawędzi. Balansuje, żeby nie spaść. Nie chce myśleć o przyszłości – bardzo rzadko to robi. Zazwyczaj daje się nieść życiu jak styropianowy kubek na powierzchni leniwej rzeki. Ale nie zawsze tak się da. Zmartwienie podgryza ją swoimi maleńkimi ząbkami.

Słyszała kiedyś, że w czasie eksperymentów w laboratoriach małpy i szczury, którym dano iluzję wyboru, były relatywnie zdrowsze. Nawet jeśli jedyną decyzją, jaką mogły samodzielnie podejmować, był wybór między dwiema dźwigniami – jedna sprawiała, że raził je prąd, a druga, że raził je prąd o innym natężeniu. Okazywało się, że sama świadomość wpływu, jakiegokolwiek, wystarczała, by były szczęśliwsze i bardziej produktywne. Szczury i małpy, które razono prądem o ustalonej przez laboranta mocy, pozbawione wyboru, robiły się podenerwowane, złe i agresywne, a zanim umierały na zawał serca czy raka, wygryzały sobie dziury w małych łapkach i nóżkach.

Miriam ma wrażenie, że jest pozbawiona wyboru. Nie wie, ile czasu minie, zanim z nerwów obgryzie palce do kości.

Jest jeszcze Louis.

Prześladuje ją. Nie jest na razie martwy, a ona już widzi jego ducha. Raz go spotkała, a teraz widuje go w najróżniejszych miejscach: w kolejce, w tłumie ludzi, mija ich samochodem, jego twarz odbija się w brudnym oknie restauracji Waffle House...

– Miriam?

Podskakuje i odwraca się.

Duch stoi przed nią i mówi.

– Hej! – wita ją duch Louisa. Mała różnica – zazwyczaj miał na oczach czarne ikсы z taśmy izolacyjnej, spod której wyciekała krew. Tym razem ich nie było. Ma prawdziwe oczy. Ciepłe oczy. Przygląda jej się.

– Nie jesteś duchem – Miriam słyszy własne słowa.

Louis nieruchomieje. Obmacuje się, jakby chciał się upewnić, że rzeczywiście istnieje.

– Nie, nie jestem. I ty też nie jesteś. A w każdym razie nie wyglądasz.

– Tutaj to by się można spierać. – Jest poruszona.

W jej głowie Louis nie żyje. Tak jest prościej. Ale stoi przed nią i to jest trudne.

– Co ty tu robisz? – pyta.

– Przyszedłem coś zjeść – odpowiada ze śmiechem.

– W sumie logiczne.

Teraz czuje się zakłopotana. Robi się czerwona; nigdy wcześniej jej się to nie zdarzało. Gorączkowo szuka w myślach jakiejś ciętej riposty. Nie znajduje. Jest bezbronna, słaba i powolna. Czuje się, jakby stała przed nim naga.

– Chcesz się przyłączyć?

Jedyne, czego chce, to uciec.

– Właśnie skończyłam – odpowiada.

– No tak, racja.

I tak stoją przez chwilę, dzieląc ciszę i szept deszczu.

– Słuchaj – odzywa się w końcu Louis. – Chyba trochę cię przestraszyłem wtedy, w ciężarówce. Pewnie miałaś powód, żeby spanikować. Zachowałem się jak jakiś psychopata. Cholera, może jest we mnie trochę psychopaty. Ale to dlatego, że rzadko spotykam się z ludźmi. Nie chciałem, żebyś źle o mnie myślała i nie chciałem ci się narzucać. No wiesz, niezręcznie zacząłem zapraszać cię gdzieś na obiad.

Miriam pilnowała się, żeby nie wybuchnąć śmiechem, ale nie potrafi się powstrzymać. Louis robi urażoną minę, ale ona unosi dłonie.

– Nie śmieję się przecież z ciebie. Śmieję się z siebie. Z tej sytuacji. Poza tym ani przez chwilę nie pomyślałam, że jesteś dziwny. Wręcz przeciwnie, jesteś całkowicie w porządku. Możesz mi wierzyć. To ja jestem

jakaś lewa. Ty jesteś świetnym gościem. Naprawdę. A ja zwykłą jędzą z humorami.

– Nie, to nie tak. Ja cię rozumiem: długa noc, droga, trudne sytuacje. Wszystko w porządku. – Louis wyjmuję z kieszeni pomiętą paragon, a z drugiej jakiś długopis. Przyciska rachunek do szyby Waffle House, zapisuje coś na nim i podaje jej. – To mój numer. Telefon komórkowy. Nie mam stacjonarnego. Mam kilka dni, zanim dostanę kolejne zlecenie. Gospodarka kuleje i rani tych najmniejszych. Mnie. Będę tu jakiś czas.

– Będziesz tu jakiś czas – powtarza. Nóż w oku. Młaśnięcie. Miriam? – Dobra. Sama nie wiem.

– Kto to? – pyta Ashley, wychodząc z Waffle House. Zaplata ramiona na piersi i patrzy. Przyjmuje defensywną postawę. – Kumpel?

– Nie – odpowiada Miriam. – Tak. Nie wiem. Podwiózł mnie kawałek.

Louis jest wyższy od Ashleya. Jest jak skała. Ashley to tylko źdźbło trawy gnane wiatrem. Znika w jego cieniu. Ale to go nie powstrzymuje przed robieniem groźnych min i sapaniem. Dwóch mężczyzn patrzy na siebie wilkiem.

– To twój chłopak? – pyta Louis.

– Co? Myślisz, że to on mi podbił oko? – Miriam nie może powstrzymać śmiechu. – Nie, Chryste, oczywiście, że nie.

– Miło było poznać – przerywa jej Ashley. – A teraz każdy idzie w swoją stronę. Trzymaj się.

– W porządku – mówi Louis. – Rozumiem. Ja idę coś zjeść.

Ashley uśmiecha się.

– Rozsądnie, bardzo rozsądnie, stary.

Louis mruknął coś i wygląda, jakby uszło z niego życie. Jest wielki, ale nagle wydaje się skurczony. Mniejszy. Spogląda smutno przez ramię na

Miriam, a potem wchodzi do restauracji. Ashley robi gest, jakby sobie walił konia.

– Spadaj, palancie – mówi i wybucha śmiechem.

GRAWITACJA

Ta sama noc. Wciąż pada deszcz.

Ashley przyciska ją do ściany z cegieł. Zaparkował samochód. Powiedział, że chce jej coś pokazać. Wysiedli, a teraz stoją tutaj. Dookoła słychać hałas miasta – ciche jak na centrum, ale wciąż głośne: trąbienie, krzyki, śmiechy, muzyka z daleka.

Miriam czuje na plecach twarde cegły. Ashley napiera.

– Odepierz się, co? – mówi i odpycha go od siebie. Ale on po chwili jest w tym samym miejscu, jakby był clownem-zabawką, która niezależnie jak uderzyć, zawsze się wyprostuje. Uśmiecha się.

– Znałaś go – szepcze i chichocze. – Tego kierowcę.

– Podwiózł mnie, tylko tyle. Zwykły ktoś. Nikt.

Czuje jego oddech. Mięta. Jest zaskoczona, widząc, jak przewraca językiem odświeżający cukierek. Ma nadzieję, że jej oddech cuchnie nieopróżnioną popielniczką.

Nos Ashleya dotyka jej nosa; potem jego policzek przytula się do jej. Ma gładką skórę. Nie ma zarostu. W dotyku jest niemal kobieca. Na uchu czuje jego ciepły oddech.

– Zwykły kierowca? Nie, nie kupuję tego. Lubisz go.

– Nieprawda. Nie lubię.

– Nie lubisz mnie. Jego lubisz.

Gryzie ją w ucho. Nie dość mocno, żeby pociekła krew. Ale wystarczająco mocno.

Znów go odpycha. Ashley się śmieje. Kładzie dłonie na jej biodrach.

– Mam go gdzieś. Wszystkich mam gdzieś. Wszystkich.

Ashley szuka wzrokiem jej oczu. Miriam czuje, że nie przestaje na nią patrzeć. Jego spojrzenie przesuwa się po jej ciele, jest jak dotyk dłoni. Czuje gęsią skórę. Serce zaczyna jej wariować jak ptaszek ze złamanym skrzydełkiem.

– Między wami jest coś jeszcze – mówi. Kciukiem rozpina guzik jej spodni. Palcami przesuwa od niechcienia po jej talii. Nagle otwiera szeroko oczy. Olśnienie. – Masz go spisanego. Jest celem.

– Pieprz się! I zabieraj łapy z moich majtek.

Mówi tak, ale ma nadzieję, że jej nie posłucha.

Wtedy Ashley zadaje to najważniejsze pytanie:

– Kiedy umrze?

Jego dłoń wędruje coraz głębiej. Zaczyna dotykać jej palcami. Miriam robi się gorąca i wilgotna jak lipcowe popołudnie. Jak bagno. Nienawidzi się za to.

– Odwal się.

Jego palce są w niej. Głębiej. Miriam z trudem nabiera powietrza.

– Pomogę ci.

– Nie potrzebuję niczyjej pomocy. – Chce jęczeć. Dusi to w sobie.

– Jest kierowcą ciężarówki. Kierowcy zawsze mają kupę szmalu. Pomogę ci dorwać się do kasy.

– Powiedziałałam już, że nie potrzebuję... – Robi tę sztuczkę z kciukiem i palcem wskazującym. Miriam traci głos. Jest słaba. Jest na jego polecenia. Jakby zmienił ją w robota albo miał do niej pilot.

– Widzę, że czegoś potrzebujesz. I to bardzo.

Mocniej zaciska palce.

Śmieje się.

Pokój w motelu. Kwiatowe motywy na narzucie. Lustro w złotej oprawie, z żarówkami dookoła, jak w garderobie jakiejś gwiazdy. Na ścianie namalowana magnolia. Pokój jest czysty, ale śmierdzi resztkami pleśni, z którą ktoś walczył środkiem do dezynfekcji.

Miriam siedzi na brzegu łóżka i pali. Wpatruje się w metalową walizkę i zastanawia, co w niej jest.

Naga, piłuje nad dywanem paznokcie u nóg. Kolejny motel. Kolejne pieprzenie. Kolejny papieros. Wszystko się kręci, jak wąż połykający swój ogon. Wieczna karuzela. Chce wódki, żeby zapomnieć.

Z łazienki wychodzi Ashley. Jedną ręką trzyma szczoteczkę i myje zęby, drugą poprawia bokserki.

– Gwałciciel – mówi Miriam.

– Nie da się zgwałcić kogoś, kto sam o to prosi – odpowiada i mruga do niej.

– Wiem. Poza tym w razie czego zawsze mogłam złamać ci szczękę. Chciałam tylko, żebyś się poczuł niekomfortowo.

Uśmiecha się, nie wyjmując szczoteczki z ust.

– Nie poczułem.

– To też wiem.

Wraca do łazienki. Płucze usta, wypłukuje wodę z pastą i znów płucze.

– Nie oznacza nie – woła za nim.

– Rzadko kiedy – odpowiada. Po chwili wraca do pokoju. Wierzchem dłoni wyciera resztki pasty z podbródka. – Dobra, to teraz posłuchajmy, co i jak.

– Co i jak?

– Jak umrze twój kierowca ciężarówki.

– Louis. Tak ma na imię. Louis.

– Niech będzie Louis. Co tam. Dla mnie na imię ma Cel, a nazywa się Ofiara. Ma pieniądze, tyle wiem. Kierowcy ciężarówek zawsze mają pieniądze. Dostają sute wypłaty, ale nie mają kiedy ani gdzie ich wydać. Chyba że są żonaci. Ten twój jest żonaty?

– Żona go opuściła. Tak powiedział.

Czuje się z tym paskudnie. Jak by go zdradziła. Podstępna i nieuczciwa.

– W takim razie musi mieć pieniądze. Pewnie nie trzyma ich nawet w banku, bo jednego dnia jest w Portland, drugiego w Toledo, a trzeciego w jakimś Analburgu, w Nowym Meksyku. Jak chcesz mieć kasę w banku, to trzeba płacić te ich wszystkie opłaty. Poza tym połowa kierowców ciężarówek to ćpuny uzależnione od amfetaminy, którą kupują na przydrożnych parkingach. Dilerzy i alfonsi nie przyjmują płatności kartą. Możesz mi zaufać. Ma gotówkę.

– Nie bierze narkotyków.

Ashley wzrusza ramionami.

– No proszę, czyli znasz go całkiem dobrze. Wróćmy do najważniejszego pytania: jak umrze? Wypadek samochodowy? Lepiej nie, bo pewnie kasę ma gdzieś w szoferce. Jak spłonie, to gównem z tego będziemy mieć.

– Umrze w latarni morskiej. Za... – szybko liczy w głowie pozostałe dni – za dwa tygodnie. Czternaście dni.

– Jak?

– Nie powiem.

– Cholera, zachowujesz się jak obrażona czwartoklasistka.

– To zbyt osobiste. To jego śmierć.

– Ale ty wiesz o niej wszystko.

Miriam zaciąga się głęboko papierosem.

– Wolalabym nie wiedzieć.

– Zresztą, jak chcesz. Latarnia morska to przynajmniej fajne miejsce na zejście, więc niech się dobrze bawi. Jesteśmy w Karolinie Północnej. Wzdłuż wybrzeża stoi od kurwy nędzy latarni. – Ashley zaczyna chodzić po pokoju. – Dobra, mam plan. Musisz się do niego zbliżyć. Zadzwoń do niego jutro. Idźcie gdzieś na obiad. Masz dwa tygodnie. Do tego czasu musisz się dowiedzieć, gdzie będzie, jak wykituje.

– Cholera, to ma być ten twój genialny plan? To po to ja cię potrzebuję?

Wzrusza ramionami.

– Nie słyszałem, żebyś wspomniała coś o takim scenariuszu.

– To może mi powiesz, dlaczego nie mielibyśmy zabrać mu kasy już teraz? Kiedy jeszcze żyje?

– Bo ludzie, którzy żyją, w zdecydowanej większości przypadków nie lubią, kiedy ktoś bierze ich rzeczy. Poza tym martwi ludzie rzadko dzwonią na policję.

Miriam przygląda mu się uważnie.

– I nic ci to nie będzie przeszkadzało? Nie jesteś zazdrosny?

– Nie. Nie zrobię się zielony z zazdrości, skoro niedługo mam być zielony dolarami – wyjaśnia. – A teraz do łóżka. Jestem skonany.

KREW I BALONY

Miriam nagle się budzi. Przed jej oczyma przesuwa się jakiś cień.

Siada gwałtownie. Oczy przyzwyczajają się do ciemności. Ashley leży obok bez ruchu.

Kątem oka znów dostrzega cień – nieruchomieje w kącie pokoju, a potem znika w łazience. Ciemny kształt unosi się w powietrzu, wydając cichy szelest.

Sięga za łóżko do swojej torby i szuka w niej czegoś. Po chwili w dłoni trzyma rozkładany nóż, który kupiła dawno temu, na wyprzedaży garażowej w Delaware za sześć dolarów. Bezgłośnie go otwiera.

Spuszcza nogi z łóżka. Pod stopami czuje dywan. Ostrożnie rusza za cieniem.

Wolną dłonią przesuwa po ścianie i chwyta się framugi drzwi od łazienki. Szuka włącznika światła.

Klik. Ostre, białe światło.

Serce jej zamiera.

W narożniku łazienki, pod sufitem, unosi się czerwony balon z helem. Kołysze się, unosi i opada. Ma nadrukowany obrazek tortu urodzinowego z płonącymi świeczkami, a nad nim napis: *Sto lat, Miriam.*

– Dzisiaj nie mam urodzin – mówi Miriam, zwracając się do balonika.

Balon unosi się lekko, znów rozlega się skrzywienie i szelest plastiku, i przesuwa na środek pomieszczenia. Miriam przygląda się swojemu odbiciu w lustrze. Ma podbite oczy. Pod nosem ślad zakrzepłej krwi.

– To tylko sen – szepcze.

Balonik obraca się powoli. Po drugiej stronie ma inny napis i obrazek: trupia czaszka i skrzyżowane piszczele w miejscu, gdzie powinien być tort. Spomiędzy krzywych, czarnych zębów czaszki unosi się chmurka z nadrukiem: *Zdychaj, suko*.

– Urocze – mówi i dźga balon ostrzem noża.

Balonik pęka.

I wszystko ochlapuje krwią. Czarną posoką. Gęstą od skrzepów. Miriam ściera ją z twarzy i wypluwa z ust. Krew ścieka po lustrze, znacząc gęste ślady. Kawałki jaśniejszej tkanki płyną razem z nią, jak robaki uwięzione w żywicy. Już kiedyś widziała taką krew. Widziała taką scenę. Na podłodze, na podłodze w łazience.

Nie wie, dlaczego to zrobiła, ale przesuwa dłonią po tafli lustra. Oczyszcza kawałek.

To, co widzi, zaskakuje ją.

Spogląda na swoje odbicie. Ale jest młodsza. Kasztanowe włosy spięte z tyłu różową kłamrą. Nie ma makijażu. Oczy szerzej otwarte, świeższe spojrzenie i błysk niewinności.

Potem zauważa jakiś ruch za plecami. Widzi go w lustrze, ale słabo, bo ginie w czerwonej mazi wymieszanej z kawałkami tkanek.

– Jeszcze tylko dziewięć kartek – słyszy głos. Głos Louisa.

Miriam obraca się, ale jest już za późno. On ma w dłoniach czerwoną łopatę do śniegu.

Łopata uderza ją w głowę. Louis się śmieje. Wszystko ginie w ciemności. Pograża się w nieświadomości, słyszy jeszcze z oddali płacz dziecka, ale potem i to cichnie.

Budzi się i momentalnie czuje szpitalny zapach środków do odkażania. Ostra woń przewierca nos. Nie chce jej opuścić.

Zaciska dłoń na pościeli. Szarpie się, żeby się podnieść, żeby wysunąć nogi spod kołdry i stanąć na ziemi, ale pościel owinęła jej się wokół stóp i nie puszcza, a brzeg łóżka jest zamknięty wysoką poręczą, metalową i wytrzymałą. Nie da rady jej pokonać. Zupełnie, jakby coś niewidzialnego trzymało ją przyszpiloną do poduszki. Ma trudności z nabraniem powietrza. Nie może wypełnić nim płuc. Czuje się uwięziona, jakby zamknięta w pudle. W trumnie. Robi wdech, ma ściśnięte gardło, sapie.

Nagle pojawiają się czyjeś ręce – twarde ręce, ciężkie i mocne – i chwytają ją za kostki u nóg. Niezależnie jak bardzo by się szarpała, bez problemu unieruchamiają jej stopy w strzemionach ginekologicznych. Dłonie są jakby tłustawe, wilgotne. Nad brzegiem łóżka pojawia się czyjaś twarz. Wyrasta spomiędzy jej nóg.

To Louis. Zakrwawionym palcem odsuwa na bok zieloną chirurgiczną maskę.

– Straciłaś bardzo dużo krwi – mówi.

Miriam walczy. Szarpie się. Pościel owija się wokół jej dłoni.

– To jest tylko sen.

– Możliwe. – Louis sięga do twarzy i drapie się po czarnej taśmie izolacyjnej na prawym oku. – Wybacz, ale to strasznie swędzi.

– Odepnij mi nogi.

– Skoro twierdzisz, że to tylko sen – mówi Louis – dlaczego sama się nie obudzisz?

Miriam próbuje. Stara się, naprawdę się stara. Krzyczy, chce się obudzić.

Ale nie może. Wszystko wygląda tak samo. Louis potrząsa głową.

– I co, dalej myślisz, że to tylko sen?

– Pieprz się.

– Co za nieprzyzwoite słownictwo. Dlatego nie będziesz dobrą matką.

– Pieprzyć twoją matkę.

– Jesteś jak dziewczyna z tego filmu, w którym opętuje ją diabeł. Wiesz, o który film mi chodzi? Wiesz. Te wszystkie wymiociny. Te niedobre słowa i bluźnierstwa przeciwko naszemu Panu, naszemu słodkiemu Zbawicielowi.

Miriam znów napina mięśnie i szarpie strzemionami ginekologicznymi. Na czole pojawiają się krople potu. Jęczy z frustracji, złości, strachu. Dlaczego nie mogę się obudzić? No, budź się, głupia dziewucho! Budź się w końcu!

– Będziemy cię musieli pozszywać – informuje Louis. Spogląda na obnażone miejsce między jej nogami i oblizuje usta. – Zaszycemy cię dokładnie. Równo i starannie.

– Nie jesteś Louisem. Jesteś tylko zjawą, moim wymysłem. Istniejesz tylko w mojej głowie.

– Przede wszystkim, jestem doktor Louis. Zapamiętaj to. Warto okazywać ludziom szacunek. – Wyjmuje igłę. Jest ogromna, jak szydełko. Jak palec dziecka. Koncentruje się, przygryzając język i, mimo że jest ślepy, udaje mu się nawlec gruby, brudny postronek. – Nawet nie wiesz, jak się nazywam, prawda?

– Nie nazywasz się. Nie masz nazwiska – dyszy Miriam, starając się uwolnić dłonie. – Jesteś wytworem mojej wyobraźni. Jesteś zjawą. Nic mnie nie obchodzisz. Nie wierzę w duchy, zmory i strzygi.

– Czujesz się winna. Ale to w porządku. Też bym się tak czuł. Możemy o tym porozmawiać. Tylko najpierw naprawdę muszę zacerować to twoje niedobre miejsce. Twój srom. Tak, srom to znaczy też hańba. Wiem, że lubisz mocniejsze słowa, więc pozwól, że wyrażę to w inny sposób: zaszyję ci tę cuchnącą, przeżartą syfem cipę, żebyś już nigdy, przenigdy, nie urodziła kolejnego dziecka, bo ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje od ciebie świat, to żebyś się rozmnożyła i połamała tę swoją kurewską miednicę, wydając na świat małego bękarta.

Miriam jest przerażona – przerażona słowami płynącymi z jego – jej? – ust. Chce coś powiedzieć, ale z jej gardła wydobywa się tylko słaby pisk. Chce zaprotestować, sięgnąć, żeby go powstrzymać...

Ale jego głowa znika poniżej, a wielka gruba igła przesywa jej wargi sromowe. Czuje kapiącą krew i chce krzyknąć, ale nie może...

Długa droga – ciągnie się w nieskończoność w prawo i tak samo, aż po horyzont w lewo. Szara, spękana nawierzchnia. Po obu stronach pustynia: czerwona, wypłowiała ziemia i smagane wiatrem krzaki. Nad głową niebieskie niebo, ale gdzieś daleko widać ciemną chmurę, która jak kowadło kołysze się nad ziemią.

Miriam stoi na poboczu. Oddycha głęboko i gwałtownie, jakby przed chwilą wynurzyła się z lodowatej wody skutego lodem jeziora.

Dotyka łydek i krocza. Nie czuje bólu. Nie krwawi.

– Chryste – sapie.

– Raczej nie – słyszy za sobą czyjś głos.

Louis. Znowu on. Ma czarne ikсы z taśmy izolacyjnej na oczach.

Uśmiecha się.

– Nawet nie próbuj podchodzić – ostrzega go. – Zbliżysz się, to złamię ci kark, przysięgam na wszystko, co dla mnie święte.

Louis śmieje się i potrząsa głową.

– Daj spokój, Miriam. Przecież już ustaliłaś, że to sen, prawda? Wiesz już, że ja to ty. Chcesz powiedzieć, że złamiesz sobie kark? To strasznie pozbawione sensu. Samobójczy pomysł. Doprawdy. Myślę, że powinnaś poszukać profesjonalnej pomocy.

Louis zaczyna iść, a kiedy się porusza, Miriam dostrzega dwie wrony pośrodku drogi. Czarne dzioby szarpią truchło rozjechanego pancernika, wyciągając czerwone ścięgna i kawałki mięsa. Martwe zwierzę wygląda prawie jak pęknięta pisanka. Ptaki szarpią się nawzajem.

– Może nie jestem tobą – mówi Louis, powoli przemieszczając się z jednego zakurzonego pobocza na drugie. – Może jestem Bogiem? A może diabłem. Możliwe też, że jestem żyjącym wcieleniem losu, przeznaczenia czy tego czegoś, co przeklinasz każdego dnia, kiedy wstajesz z łóżka, i każdego wieczora, kiedy kładziesz się spać. Kto to wie? Ja wiem jedynie, że przyszedł czas, by złapać byka za rogi.

Miriam rusza za nim. Są jak dwa drapieżne koty, które krążą wokół siebie i nie spuszczają z oczu, zamknięte w jednej klatce.

– Wypuść mnie z tego snu – prosi.

Louis ignoruje jej prośbę.

– Chociaż może rzeczywiście jestem Louisem? Może jestem tylko jego śpiącym umysłem? Wołam cię, bo mimo wszystko jesteś bardzo wrażliwą dziewczyną. Mała, delikatna wariatka. Może też wiem, co się wydarzy, i błagam cię, żebyś to zatrzymała. Proszę, Miriam, błagam! Powstrzymaj to!

– Nie mogę. Nie potrafię.

– Może tak, a może nie. Wciąż jeszcze masz czas, żeby podjąć decyzję. Umrę za dwa tygodnie, a ty, zamiast choćby spróbować zrobić coś, żeby temu zapobiec albo przynajmniej umilić mi ostatnie dni życia, chcesz ciągnąć się za mną jak zjawa i okraść moje martwe, oślepię ciało.

– Potrzebuję na jedzenie. – Miriam uśmiecha się.

Mężczyzna staje.

– W ten sposób usprawiedliwiasz to, co robisz?

– Nie masz pojęcia, co robię ani dlaczego to robię – mówi, choć domyśla się, że doskonale to wszystko wie. – Będę z Louisem i możesz mi wierzyć, że ty nie jesteś nim. Postaram się uprzyjemnić mu te dwa ostatnie tygodnie życia.

– Seks oralny jest całkiem przyjemny – mówi Louis. – Zrób mu loda.

– Pieprz się. Mogę go uszczęśliwić, wystarczy mi czasu. Ale nie prosz mnie, żebym go ocaliła...

– Ocal mnie...

– ...bo to niemożliwe. Nie mam takiej mocy. Nie wolno mi.

– Kto ci zabronił?

– Przeznaczenie. Ty. Bóg. Nie wiem.

Mężczyzna wzrusza ramionami. Potem spogląda gdzieś za siebie.

– Hej – mówi. – Co to?

Miriam daje się nabrać. Odwraca głowę.

W powietrzu unosi się czerwony balonik. Przesuwa się nad drogą, pchany delikatnym powiewem. Kapie z niego krew, a kiedy kropla dotyka asfaltu, zaczyna syczeć, jakby się gotowała.

Miriam odwraca się, żeby coś powiedzieć, ale Louisa – albo nie-Louisa – już nie ma...

Zniknął.

Zamiast niego widzi białego SUV-a. Samochód uderza ją zderzakiem w pierś. Miriam czuje, że coś w niej pęka.

Wrony kraczą. Dziecko płacze.

Kiedy Ashley się budzi, widzi Miriam skuloną w kącie pokoju. Jest cała spocona. Siedzi wtulona między dwie ściany i nerwowo skrobie coś w swoim pamiętniku.

– Co robisz? – Ziewa.

– Piszę.

– Widzę, Hemingwayu. Co piszesz?

Wtedy Miriam podnosi wzrok. W jej oczach błyszczy szaleństwo. Uśmiecha się nieprzytomnie.

– Zapisałam dwie kartki. Dwie. Zostało już tylko siedem.

Potem wraca do pisania.

NIEUDANA ZEMSTA GRUBASA

Osiedle przyczep kempingowych kojarzy się Harriet z cmentarzem. Przyczepy standardowe. Przyczepy powiększone. Szare. Białe. Kanciaste. Wszystkie w jednej linii, jedna obok drugiej. Jak nagrobki, myśli. Jak rząd nagrobków, każdy z martwymi i umierającymi kwiatami.

Frankie kopie jakiś kamień. Odłamek uderza i odbija się od zardzewiałej konewki, by trafić brudnego krasnala ogrodowego w czapkę.

– Ale tu obrzydliwie.

Harriet wysuwa się przed niego i puka do drzwi powiększonej przyczepy kempingowej, ostatniej w rzędzie.

Otwiera im żywa góra mięśni i tłuszczu – potężne ciało giganta przypomina wielką lawinę błotną zastygłą w pół ruchu.

Grubas. A dokładniej nagi Grubas. Dwa palce w szynie.

Wypełnia sobą całe drzwi. Wokół krateru pępka wije się ziejący ogniem wąż. Tatuaz łączy się z drugim, podobnym, który opuszcza się gigantycznym udem Grubasa, zakręca w kierunku krocza i...

Frankie blednie.

– O Chryste! – mamrocze, zasłaniając sobie oczy.

– Co jest? – Grubas jest wkurzony.

Frankie marszczy nos.

– Stary. Wytatuowałeś sobie małego?

– Patrzysz mi na wacka?

– Kurwa, nie patrzę, to on patrzy na mnie! – krzyczy Frankie. – Jest jak ogórek. Nie, jak kabaczek.

Grubas wścieka się.

– Zaraz dam ci w mordę.

– Ty skurwysynu...

– Chcemy zadać tylko jedno pytanie – przerywa im Harriet i powstrzymuje Frankiego.

– Nie gadam z lesbami i Italiańcami – mówi Grubas, dumny ze swojego oświadczenia.

– Pierdol się, spasała świnió! – krzyczy Frankie i rusza naprzód.

Grubas wyciąga lewą dłoń – tę z usztywnionymi palcami – jakby chciał złapać Frankiego za dolną szczękę i urwać mu głowę. Ale nie udaje mu się go dosięgnąć.

Harriet wzdycha krótko i błyskawicznie sięga w kierunku krocza Grubasa, chwytając palcami jego jądro. Ścisza je i przekręca, jakby chciała urwać głowę wróbelkowi. Góra mięśni i tłuszczu wyje jak skrzywdzony szczeniak i bierze zamach, żeby uderzyć Harriet w twarz. Kobieta odchyła się, a dłoń Grubasa trafia w futrynę drzwi jego własnej przyczepy. Palec wskazujący i środkowy wyginają się nienaturalnie mocno i pękają jak wyschnięte patyki pod ciężkim buciorem. Mężczyzna krzyczy.

Harriet się to podoba. Jest szczęśliwa. Dwa kolejne palce złamane. Lubi symetrię.

Puszcza w końcu posiniałe jądro Grubasa i napiera barkiem, wpychając go do środka.

Teraz w końcu mogą zobaczyć wewnątrz przyczepy: hałdy brudnych naczyń będące domem dla chmar much, kanapę o tak brudnym obiciu, że mogłoby służyć za tarkę do sera, drzwi do łazienki, a właściwie jedynie kawałek plastiku zasłaniający wejście do niej, przyczepiony na zardzewiałym haku... przytulne miejsce. Prawdziwy pałac.

Z tyłu pod ścianą stoi łóżko, wygniecione, jak przypuszcza Harriet, ogromną masą cielska Grubasa. Teraz siedzi na nim szczupła dziewczyna, może osiemnastoletnia, może nawet młodsza. Siedzi i przygląda się wszystkiemu naćpanym wzrokiem. Dłońmi podtrzymuje koc, jakby czuła wstyd, że jest naga, jednak trzyma go w taki sposób, że jeden z jej mikrych cycków ze sterczącą brodawką jest niezastłonięty. Dziewczyna zdaje się o tym nie wiedzieć.

– Przytrzymaj mu głowę – rozkazuje Harriet.

Frankie chwyta bladą dynię w dłonie i z rozmachem uderza nią o podłogę pokrytą brudem, zaschniętym jedzeniem i wszelkimi innymi biologicznymi zanieczyszczeniami.

– Podnieś go.

Kiedy Frankie przytrzymuje głowę Grubasa w górze, Harriet podtyka mu pod nos zdjęcie. Mężczyzna stara się skupić wzrok na fotografii.

– Człowiek na tym zdjęciu to Ashley Gaynes – wyjaśnia Harriet. Fotografia została zrobiona w czasie jakiejś imprezy. Ashley jest uśmiechnięty, a w dłoni trzyma szklankę czegoś, co może być piwem. On i pozostałe osoby uwiecznione na zdjęciu stoją w czerwonej poświacie lampek choinkowych. – Barman z lokalu po drugiej stronie twierdzi, że możesz coś wiedzieć.

– Tak, tak – piszczy Grubas. – Znam go. Powinniście byli od razu pokazać mi zdjęcie. Od razu! Rozwaliłbym gnojka, gdybym tylko dorwał

go w swoje łapy. To on złamał mi... – Wyraźnie ma problem, żeby dokończyć zdanie. Unosi dłoń z palcami w szynie i pokazuje go pytającym.

– Ciężko będzie ci teraz walić konia – stwierdza Frankie i śmieje się od ucha do ucha.

– Miał ze sobą metalową walizkę? – pyta Harriet.

– Nie. Nie miał żadnej walizki. Był za to z jedną blond suką.

– Z blondynką?

– Z blondynką, taką jasną. Włosy jak piasek prawie. Widać, że tlenione. Gość jeździ białym mustangiem z początku lat dziewięćdziesiątych. Ma zbitą tylną szybę.

Harriet daje znak partnerowi, że może puścić głowę Grubasa. Potylicą wielkiego mężczyzny uderza w posadzkę jak gładz toczący się za Indianą Jonesem.

– Dobra, to by było na tyle – mówi Harriet. – Dziękujemy za poświęcony czas.

– Pierdolcie się – jęczy.

Cmokając językiem, Harriet kopie Grubasa czubkiem buta prosto w usta, wyłamując mu zęby. Mężczyzna przewraca się na bok, krztusi i pluje krwią. Na podłogę wypada jeden ząb. Wygląda jak tratwa na wypływającej z ust czerwonej rzece.

– Chodźmy – mówi Harriet do Franka i rusza na zewnątrz. Frankie idzie za nią i nie przestaje chichotać.

RANDKA ZE ŚMIERCIA

Pieprzyć go, myśli sobie.

I tak niedługo wykorkuje. Jest jak już odbity bilet. Ma ustawiony alarm. Przeznaczenie zanurzyło kciuk w szarym popiele i zostawiło znak na jego czole. Nikt nie pomalował jego drzwi krwią jagnięcia. Bóg dostał na niego namiar. Szkoda. Sayonara, wielkoludzie.

Gość ma sporo kasy. Tylko w tej jednej kopercie, którą widziała, było dość pieniędzy, żeby ją ubrać, wyżywić i zapewnić mieszkanie przez najbliższych kilka tygodni.

To nie twoja wina. Nie goniłaś go, żeby go zabić. Pamiętaj, że nie jesteś drapieżcą. Jesteś zwykłym padlinożercą. Sępem, nie lwem. Ty tylko znalazłaś ciało. Nic nie zaszkodzi, jak się nim pożywisz.

No właśnie. Pieprzyć go.

Wtedy go widzi.

Miriam stoi na parkingu przy motelu, pali papierosa i patrzy, jak podjeżdża ciężarówką – sapie układ hamulcowy i mężczyzna wysiada. Miriam widzi, jak się przygotował. Jest zadbany i elegancki. Może nie elegancki w sensie garnituru, ale ma na sobie niebieską koszulę, proste, klasyczne džinsy z postrzępionymi nogawkami i czarne kowbojki, nowe, nieporysowane.

Ona czeka na niego ubrana w biały T-shirt, z włosami ufarbowanymi na oleisty czarny kolor, džinsy z dziurą na lewym kolanie i rządkiem nacięć na prawym udzie. Nie nosi butów. Na nogach ma niegdyś białe conversy, które dziś są tak poplamione, że wyglądają jak burzowa chmura.

Zawstydził ją. Poczła suchość w ustach. To nie w jej stylu.

– Weź się w garść – mruży do siebie, czekając, aż podejdzie. – Dalej. Śmiało. Bądź twarda. Nie bądź idiotką. Nie bądź tchórzem. Na końcu i tak wszyscy umrzemy.

Louis jest już blisko. Miriam czuje się przy nim maleńka. Znow uświadamia sobie, jaki jest wielki, jakie ma szerokie ramiona i ręce jak bochny chleba. Ale twarz ma delikatną. Patrzy pod nogi. Jest nieśmiały. Zawstydzony. Łatwy cel, myśli Miriam, ale nie jest przekonana.

– Cześć – mówi Louis. W jego głosie słycać nutę niepewności. Zdenerwowania. To daje jej fory. Może to i okrutne, ale Miriam czerpie siłę ze słabości innych. – Wybrałaś dobre miejsce?

– Jest w porządku – odpowiada. Przyjechała tutaj mustangiem Ashleya. Przekonywanie go, że powinien jej pożyczyć samochód, miało w sobie coś z rozmowy z ojcem, żeby wyciągnąć jego merca i pozadawać nim szyku w mieście.

– Dobrze cię widzieć.

– Jesteś taki... czysty.

Ten komentarz zbija go z pantafyku. Miriam czuje się przez chwilę zakłopotana.

– Wziąłem prysznic – odpowiada Louis.

– To lubię w mężczyznach.

– Nie sądziłem, że zadzwonisz.

Wyrzuca niedopałek. Papieros wpada do kałuży i syczy.

– Naprawdę?

– Pomyślałem, że jesteś z tym...

– Z tamtym gościem? Nie, no coś ty! Ashley to mój brat.

Louisowi wyraźnie ulżyło. Wygląda, jakby złapał wiatr w żagle.

– Twój brat?

– Aha. Przez niego tu jestem. Przyjechałam go odwiedzić. Zamierzam znaleźć jakąś pracę w okolicy, może wynająć mieszkanie. – Kłamstwo napędza się samo. Wystarczy odkręcić kurek, a z kranu popłynie fałsz. U niej kurki dawno już przestały działać. Kłamstwo będzie ciekło wartkim strumieniem. – Oczywiście on też nie ma pracy. Rodzice zawsze mówili, że to nicpoń. Ja natomiast mam bardzo ambitną naturę. Pomyślałam, że wpadnę do niego w odwiedziny, znajdę mu pracę, pokażę, kto jest szefem, i zmuszę, żeby wziął się za siebie.

– Mam nadzieję, że ci się uda. Charlotte to przyjazne miasto.

– Zgadza się – Miriam potakuje. – Bardzo przyjazne.

Przyjazne. Powtarza sobie to słowo w myślach. Jest w nim trochę udawania i trochę kpiny. To miasto jest przyjazne w czysty, neutralny sposób. Jak polerowany metal. Znacznie chętniej zatrzymałaby się w Nowym Jorku, Filadelfii czy Richmond: tamte miasta wypełnia brud, sadza, nieregularne kąty, trujące powietrze i smród śmieci mieszający się z zapachem dziwnego jedzenia.

– To jak, idziemy? – pyta.

Miriam czuje pieczenie w żołądku. Nie, nie jest gotowa. Naprawdę, jeszcze nie jest.

– No pewnie – odpowiada i podchodzi, żeby wziąć go za rękę.

– Powóz czeka.

Film był do niczego. Obiad jako taki.

Miriam ma wrażenie, że się trochę pogubiła. W kinie siedzieli obok siebie, a we włoskiej restauracji naprzeciwko, a jednak można było sądzić, że dzielą ich tysiące mil. On próbował i robił krok w jej stronę – pytanie, spojrzenie, gest – ona uciekała – patrzyła w inną stronę, cofała dłoń. Jak dwa magnesy skierowane przeciw sobie. Odpychali się, zamiast przyciągać.

To bez sensu, myślała raz po raz.

Teraz siedzą już z powrotem w ciężarówce, przesuając się od świateł do świateł wzdłuż Bulwaru Niepodległości. Miriam nie czuje się niezależna. Czuje się osaczona. Uwięziona. Spętana.

– Moja żona nie żyje – mówi nagle Louis, kiedy zatrzymują się na kolejnych światłach.

Miriam mruga zaskoczona. To nieoczekiwane wyzwanie. Jak kotwica wyrzucona za burtę.

On mówi dalej:

– Skłamałem wcześniej. Powiedziałem, że mnie zostawiła. To nieprawda... albo prawda, ale w bardzo prymitywny sposób. Ona nie żyje. W ten sposób mnie zostawiła.

Miriam spogląda w dół, na dywanik, żeby poszukać szczęki. Zaskoczenie. Nie wie, jak się zachować, jej język miota się po ustach jak zdychająca ryba.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Nic innego nie przychodzi jej do głowy.

Louis nabiera głęboko powietrza, a ona nie widzi, żeby je wypuszczał.

– To ja ją zabiłem – mówi w końcu.

Miriam nie jest łatwo zaskoczyć. Widziała już w życiu bardzo wiele; teraz wszystkie przeżycia są jak wełna stalowa: ścierają wszystkie nadzieje i oczekiwania, jakie miała w stosunku do świata. Widziała starszą czarną

kobietę srającą na poboczu autostrady. Widziała kiedyś inną kobietę, jak morduje męża jego własną protezą nogi, bo podejrzewała, że ją zdradza. Oglądała krew, wymiociny i rozbite samochody i zdjęcia rentgenowskie gości, którzy wtykali sobie w dupy dziwne przedmioty – żarówki, kasety magnetofonowe czy zwinięte w rulon komiksy – i przynajmniej dwukrotnie przyglądała się, jak konie tratują na śmierć facetów, którzy usiłovali je wyruchać. W tej chwili człowiek nie stanowi dla niej tajemnicy: jest przewidywalny. Zepsucie moralne, obłąd, smutek – wszystkie występki starannie skatalogowane mają w jej mózgu swoje szufladki, a nie skończyła przecież jeszcze trzydziestu lat.

Ale Louis? Nie, tego się nie spodziewała.

On? Mordercą?

– Byłem pijany – tłumaczy. – Wyszliśmy razem do miasta. Było ciepło. Zjedliśmy obiad na patio jej ulubionej restauracji, niewielkiego lokalu z widokiem na... z widokiem na rzekę. Rozmawialiśmy o tym, czego chcemy, jakie mamy cele, co będziemy robić. Rozmawialiśmy o dzieciach. O tym, że to już czas. Może nie czas zacząć starać się o dzieci, ale czas, żeby przestać się starać, żeby ich nie mieć. Jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Świetnie się bawiliśmy, śmialiśmy się, piliśmy drinki...

Przerywa. Potok słów napotkał zaporę. Opowieść wzbiera i grozi powodzią. Jego oczy są jak stalowe punkciki – jak ujścia lufy wycelowanej w horyzont albo jeszcze gdzieś dalej.

Miriam widzi oczyma duszy, jak Louis oplata szyję żony wielgachnymi łapskami i ściska ją, jak wyciska się pryszczą – może to przez alkohol, a może wstąpił w niego zły duch.

– Wsiedliśmy do samochodu. Czuję, że jestem pijany i że niezbornie się ruszam przez te wypite wcześniej drinki, ale nie myślałem o tym, bo uważałem, że jestem niepokonany i niezniszczalny, a droga będzie prosta i

bez zakrętów pod sam dom. Po pięciu minutach straciłem kontrolę nad autem. Nie, nie padało i były świetne warunki, a trasę znałem na pamięć, bo jechałem nią kilkaset razy. W jeden z zakrętów wszedłem ze zbyt dużą prędkością, za wolno zareagowałem na to, co dzieje się z samochodem, i wpadliśmy do rzeki...

W końcu wypuszcza powietrze.

– Zniknęliśmy pod powierzchnią – kontynuuje. – Nie mogłem otworzyć okien ani drzwi. Nie pamiętam, jak się wydostałem. Koniec końców, pamiętam tylko, że siedzę na brzegu rzeki, a z wody wystają jedynie opony przewróconego auta. Moja żona, Shelly, została w środku. Nie wydostała się. Znaleźli ją jeszcze w fotelu, zapiętą pasami. Płuca miała pełne brudnej wody.

Miriam nie wie, czy powinna coś powiedzieć, czy milczeć.

Louis przeczesuje włosy palcami.

– Potem sprzedałem wszystko, włącznie z domem. Rzuciłem pracę w fabryce i zapisałem się na kurs kierowców ciężarówek. Kiedy dostałem uprawnienia, ruszyłem w drogę. Od tamtej pory cały czas jadę. Dzisiaj akurat jestem tutaj.

– Cholera, Louis, ty wiesz, jak zagadać dziewczynę – mówi Miriam. Błyskotliwy komentarz, nie ma co, ale nic innego nie przychodzi jej do głowy. Poza tym to popłynęło prosto z serca.

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Pomyślałem, że skoro nam się dzisiaj rozmowa nie klei, to co mam do stracenia?

Miriam śmieje się, on robi to samo. Nie spodziewała się tego.

– Jesteś niepełnowartościowym towarem. Jak zwrot reklamacyjny.

Kiwa głową.

– Niestety. To mi nie dodaje atrakcyjności.

Miriam czuje, że jej policzki pokrywają się czerwienią.

Louis nie ma pojęcia, jak bardzo się myli.

Są w motelowym pokoju, ona jest na nim. Jak naklejka na kubku, jak chrom na zderzaku, jak głodny welociraptor na spętanej kozie. Miriam nie potrafi walczyć z kuszącą wonią okaleczonej duszy. Czuje woń śmierci i choć wie, że to popieprzone i chore, ale jak powiedziałaaby jej matka, takie życie, nic nie poradzisz, i nie może zapanować nad podnieceniem. W jednej chwili jest gotowa. Chce, żeby ją brał, ostro i bez hamulców, i pozbawił tchu.

Louis jest jak cholerna skała – musi się na niego wspinać jak jakiś King Kong. Kładzie rękę na jego ramieniu, przyciska swoje głodne usta do jego ucha, przesuwa dłonią po potężnej piersi, owija nogę wokół jego nogi. Pewnie razem wyglądają prześmiesznie, ale gównu ją to obchodzi. Nie kręcą porno. Nie będą sprzedawali nagrań.

Mężczyzna jęczy. Nie jest przekonany. Nie czuje się swobodnie.

– Nie wiem...

O nie, mowy nie ma. Nie wolno mu mówić o swoich wątpliwościach. Przyciska usta do jego ust, jej język niczym wąż pośród trawy, niczym robak drążący jabłko. Wolną dłonią, tą, która nie trzyma jego ramienia, bierze się za rozpinanie guzików jego koszuli, ale gnojki stawiają opór, więc je po prostu odrywa. Szarpie za koszulę, a one uderzają o ścianę jak plastikowy deszcz.

Louis protestuje, ale jego słowa giną w jej ustach.

Tak, taka właśnie jest. Głodna. Lubieżna. Płonie.

I wtedy dostrzega jakiś cień.

Ona jest na Louisie, lecz z nimi jest inny Louis.

Stoi i odkleja czarną taśmę izolacyjną z krwawiącego lewego oka. Z pustego, zmasakrowanego oczodołu wysypują się robaki.

– Ciii – mówi Louis- duch.

Miriam niechętnie przygryza język prawdziwego Louisa.

– Au – syczy mężczyzna.

Ona się krzywi.

– Przepraszam.

Chce krzyczeć, przepędzić ducha: jesteś tylko wytworem mojej wyobraźni! Istniejesz tylko w mojej głowie! Won! Sio! Uciekaj stąd! Celebруем tutaj życie. To normalne. To wspaniałe. To nie jest chore!

Louis- duch odkleja z twarzy drugi krzyżyk czarnej taśmy. Z gnijącej, czarnej jamy wypływa falami czarno-czerwona breja poprzątkowana kłębami żywych robaków. Uśmiecha się.

– Pozwolisz mi umrzeć i ukradniesz moje pieniądze – mówi Louis, a Miriam pada na podłogę i zaczyna się cofać. Jej serce wali jak oszalałe, jakby zaraz miało połamać jej żebra. Nie wie, który z nich to powiedział.

– Co jest? – pyta Louis, prawdziwy Louis.

– Ścierwojad! Sęp! Hiena! – nuci Louis- duch wymyśloną przez siebie piosenkę.

Miriam krzyczy. Jest sfrustrowana i bezradna.

Prawdziwy Louis spogląda na nią zaskoczony. Rozgląda się, patrzy w miejsce, gdzie stoi jego duch, a Miriam ma wrażenie, że zaraz dostrzeże swoje mroczne odbicie. Ale nie. Nic nie zobaczy, bo Louis- duch zniknął. Nie ma go. A ona wie, że do końca postradła rozum.

– Co się stało? – Louis powtarza pytanie. – Zrobiłem coś nie tak?

Chce odpowiedzieć, że tak, zrobiłeś! Ukazałeś mi się jako duch. Jako demon mojej podświadomości. I nie chcesz mi dać spokoju, a kiedy chciałam się zatracić, rozpraszałeś mnie!

– Nie – odpowiada i podnosi dłoń. – Nie, to tylko ja. Przepraszam. Nie mogę. Nie potrafię. Nie teraz. Muszę wyjść. Co jest na zewnątrz? Automat z batonikami? Z kostkami lodu? Z napojami? Cholera, jakikolwiek automat?

Mężczyzna kaszle.

– Uhm. Tak. Jest. Wyjdź i skręć w lewo. Łatwo znajdziesz, jest w niszy przy parkingu.

– Super – odpowiada i otwiera drzwi.

– Wszystko w porządku?

Miriam potrząsa głową.

– Nie do końca. Wiem, że to cholernie banalne, ale to przeze mnie. To tylko ja. Mówiłam ci już, że niektóre laski mają zrytą banię.

– Wrócisz?

– Nie wiem – odpowiada zgodnie z prawdą.

WYWIAD

– Wszystko zaczęło się przez moją matkę – mówi Miriam. – Chłopcom życie potrafią spieprzyć przede wszystkim ojcowie, prawda? Dlatego większość opowieści to, w gruncie rzeczy, sekcja relacji syn–ojciec. Tak to już jest. Faceci rządzą światem, więc mają pierwszeństwo. Gdyby kobiety mogły opowiadać swoje historie, wtedy większość najważniejszych powieści i filmów dotyczyłaby wpływu matek na córki. I możesz mi wierzyć, bo coś o tym wiem. Tatusiowie to ważna sprawa dla małych dziewczynek, pod warunkiem oczywiście, że potrafią się zachować. Ale mamy? Daj spokój! Mamy to jakaś kpina.

– Czyli rozumiem, że ty za to wszystko winisz swoją matkę, tak? Uważasz, że to jej wina? – pyta Paul.

Miriam potrząsa głową.

– Nie bezpośrednio. Ale w dużym stopniu tak. Pozwól, że opowiem ci trochę o mojej rodzinie. Tata umarł, kiedy byłam bardzo mała i właściwie go nie pamiętam. Miał raka jelita grubego, a z tego co wiem, to najgorszy nowotwór, jaki można mieć, bo chory, dosłownie, sra rakiem. Tymczasem jedne z najprzyjemniejszych chwil w życiu to ten poranny klocek. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak strasznie musi się czuć człowiek pozbawiony tej przyjemności.

– Większość dziewczyn raczej nie mówi o swoim porannym klocek, prawda?

– Myślałam, że już się zorientowałeś. Nie jestem jak większość – mówi w odpowiedzi.

– Lubisz to? Lubisz się odróżniać?

– Pewnie. Poza tym nawet nie próbuj robić mi psychoanalizy. Chryste, człowieku, masz dopiero dziewiętnaście lat!

– Ty jesteś tylko trzy lata starsza.

Miriam patrzy na niego z wyższością.

– Co sprawia, że należy mi się szacunek, młody człowieku. No dobrze, możemy kontynuować? Założę się, że twoi czytelnicy będą siedzieli jak na szpilkach, żeby móc czytać dalej.

– Racja, przepraszam.

– Nie ma sprawy. Tata umiera, mała dziewczynka zostaje sama pod opieką matki, religijnej dewotki, niemal ascetki, Evelyn Black. Matka jest osobowością dominującą. Mówi się, że wymagający rodzice potrafią stłamsić dzieciaka. U mnie wystarczyła mama. Jej marzeniem było urobić mnie na swoje podobieństwo. Codziennie czytałam Biblię i ubierałam się jak czterdziestoletnia stara panna bibliotekarka. Do tego stopnia mnie urobiła, że jak byś mnie zobaczył, poczułbyś zapach kurzu ze starych książek. Najciekawsze, że ta dziewczynka wcale taka nie była. Jej się wydawało, że taka powinna być. Matka jej powtarzała, że tak jest dobrze i właściwie. Skromność, wstrzemięźliwość i dobroczynność. Cichość i posłuszeństwo. Usta i pochwa zapieczętowane, a ciśnienie w środku rośnie. Tak bardzo, że po jakimś czasie grozi eksplozją. A dziewczynka ma swoje małe sekrety. Dla ciebie czy większości ludzi na ziemi jej tajemnice nie byłyby warte choćby najmniejszego zaskoczenia, ale dla jej matki! Dla jej matki to prawdziwa apokalipsa! Trąby i koniec świata! Otóż nasza mała dziewczynka lubi podczytywać komiksy. Lubi stawać blisko dzieci, które

słuchają tej niedobrej muzyki, rapu czy diabelskiego heavy metalu. Czuje łaskotanie podniecenia, kiedy widzi rówieśników palących papierosy. A potem wraca do domu i nie ogląda telewizji, bo w domu nie ma pieprzonego telewizora! Czyta więc ukryte gdzieś w pokoju komiksy i słucha kazań matki na temat moralności. I tak dzień w dzień, noc w noc. Koniec.

– Koniec?

– Nie, żartowałam. Chyba załapałeś, co? To przecież dopiero początek. Młoda nastolatka zmieniona w starą bibliotekarkę, dla wygody nazwijmy ją Mary, zaczyna cierpieć na depresję. Przeżywa prawdziwe załamanie. Nie obnosi się z tym przed wszystkimi, ale wieczorami zamyka się w pokoju i wyje w poduszkę. Wyobraża sobie, że garściami wyrywa sobie włosy z kawałkami zakrwawionej skóry albo bierze młotek i po kolei wybija sobie zęby. Horrory ze sobą w roli ofiary i oprawcy jednocześnie. Ale nie decyduje się, żeby którykolwiek pomysł zrealizować, co w gruncie rzeczy jest jeszcze gorsze, bo ciśnienie dalej rośnie, rozsadza ją prawie i staje się niebezpieczne. Problem polega na tym, że jej matka nie jest w gruncie rzeczy złą osobą. Nie uwzięła się na nią i nie męczy małej. Nie owija jej klatki piersiowej ręcznikami i nie przypala cycków żelazkiem. Ale też nie jest jakoś specjalnie miła. Obraża ją codziennie. Nazywa grzesznicą, szatańskim nasieniem, małą suką i całą masą innych słów. Mówi, że ją rozczarowuje. Codziennie, codziennie ją zawodzi. Zła dziewczyna, choć tak naprawdę dziewczyna jest dobra. Możliwe, że matka wyczuwa zapowiedź grzechu. Może wie, że mała ma diabła za skórą.

– No dobrze – Paul jej przerywa. – Jak sobie z tym poradziłaś? Co zrobiłaś? Bo coś zrobiłaś, prawda? Nie mogłaś już tego znieść i coś zrobiłaś.

– Uprawiałam seks.

Paul mruga powiekami.

– No i?

– Racja. No i co? Ty żyjesz przecież w świecie, gdzie dwunastolatki wysyłają sobie nagie zdjęcia przez komórki albo chwalą się tym, że zrobiły komuś kupala...

– Co?

– O rany, ściemniasz, prawda? Fellatio w czasie stawiania dwójki? Oral i kupa to razem kupal, nie?

Paul zbladł.

– Ach...

– Tak, pewnie. Ach. Chodzi o to, że jesteś ze świata, w którym dzieciaki robią takie rzeczy i nikt nie jest nadmiernie zaskoczony. Ja za to jestem z miejsca, gdzie matka tłumaczy ci przez całe życie, że kobiece narządy to usta szatana, a szatana nie wolno karmić, o nie! Bo raz mu dasz jeść, a potem będzie chciał więcej i więcej!

– Ty dałaś mu jeść.

– Ale tylko raz. Miał na imię Ben. Ben Hodge. Zrobiliśmy to. A potem on się zabił.

KLUB KŁAMCÓW

Miriam ma wielką ochotę na pomarańczową fantę. Niemal fizycznie tęskni za chemicznym smakiem udającym owoce i tym, jak pali w gardło. Ale automat przy motelu oferuje jedynie mello yello, jakąś podróbę Mountain Dew. Ma to gdzieś. Chce, czego chce, i nie chce myśleć o tym, o czym nie chce myśleć. I wszystko pięknie, tylko nie ma pieniędzy na picie. Cholera.

Zastanawia się. Chce się napić czegoś gazowanego i owocowego. Chce mieszać to z wódką i wypić. A skoro już jesteśmy przy tym, czego chce, to chce przestać widzieć, jak ludzie odwalają kitę. I kucyka. Kurwa, jak bardzo chce mieć kucyka!

Myśli huczą jej w głowie tak głośno, że nie słyszy samochodu wjeżdżającego na parking przy motelu.

Miriam staje przy automacie i opiera o niego głowę. Wtedy nagle widzi – w podajniku leży jednodolarówka.

– Bonus! – Uśmiecha się i sięga po banknot.

Okazuje się, że to pułapka. Obłeśne kłamstwo. Fałszywa, złożona na pół jednodolarówka, która po drugiej stronie ma wydrukowaną historyjkę obrazkową o zagrożeniu dla wiary w Boga przez gry fantasy.

Miriam mnie ją w dłoni i chce wyrzucić, ale kiedy się odwraca, spogląda prosto w oczy niezdarnemu, szczupłemu gościowi o urodzie południowca, może Włocha, w czarnym garniturze.

– Jezu Chryste – mówi zaskoczona.

Włoch wita się skinieniem głowy, choć na pierwszy rzut oka widać, że nie jest ani Jezusem, ani Chrystusem, chociaż może ma trochę podobny nos, taki zakrzywiony, jak haczyk na ryby. Teraz dopiero Miriam dostrzega jeszcze kobietę, niską, korpulentną, z czarnymi oczyma gorejącymi jak węgielki i koślawą grzywką, jakby chodziła do fryzjera korzystającego z nożyc do żywopłotu i linijki.

– Dzień dobry – wita się nieznajoma.

– Scully. – Miriam patrzy na kobietę, a potem przenosi wzrok na mężczyznę i kiwa głową. – A ty to Mulder.

– Jesteśmy z FBI – potwierdza wysoki skurwysyn.

– Domyśliłam się. To był żart. – Chrząka i spogląda na parę agentów. – Nieważne.

– Agentka Harriet Adams. – Kobieta przedstawia najpierw siebie, a potem partnera. – A to agent Franklin Gallo. Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań, jeśli można.

– Pewnie. Walcie. Jeśli szukacie nielegalnych ulotek z chrześcijańską propagandą, to donoszę, że to nie moje. Leżało sobie, a ja tylko podniosłam. – Otwiera dłoń i pokazuje im zmiętą fałszywą dolarówkę. Serce wali jej w piersi jak przerażonej gazeli, w uszach dudni krew. Czyżby przyszedł na nią czas? Dopadła ją przeszłość? Przez głowę przemyka pytanie, ile papierosów będzie warta w więzieniu. Wzdryga się na samą myśl o pomarańczowych więziennych kombinezonach i nieogolonych kobietach w celach. Kurwa. Nie.

No dobra, jakie ma szanse? Może kopnąć wysokiego gościa w krocze? Ciachnąć zmiętą ulotką kurdupłowatą agentkę w gardło, modląc się przy tym, żeby papier ułożył się jak ostrze?

Kobieta odwraca wzrok i spogląda w lewą stronę. Potem słyszy kroki na chodniku. Ciężkie kroki.

Kroki Louisa.

– Hej, wszystko w porządku? – pyta kierowca ciężarówki i podchodzi bliżej.

Dwójka agentów przygląda mu się uważnie.

– Szukamy kogoś – wyjaśnia kobieta i pokazuje mu zdjęcie.

Miriam czuje kluchę w gardle. Czyli w porządku. Jest szczęśliwa jak diabli – nie przyjechali tu po nią. Ale... z fotografii spogląda na nią Ashley. Została zrobiona w czasie jakiegoś przyjęcia. Czerwone lampki choinkowe. Śmiechy. I te boskie brwi. Usta uchwycone już na wieczność w tym uwodzicielskim, pewnym siebie uśmiechu. Bez dwóch zdań, to on.

Louis też go rozpoznał. Miriam czeka, co powie. Jeśli znajdą Ashleya, on pociągnie ją za sobą. A wtedy oni znajdą też ją. Nie może na to pozwolić.

– Zna pan tego człowieka? – pyta Włoch.

– Nazywa się Ashley Gaynes – dodaje kobieta.

– Pytacie o Ashley, a na zdjęciu jest facet – wtrąca się Miriam, spoglądając w stronę Louisa.

Agenci FBI mierzą ją morderczym wzrokiem.

– Zgadza się, szukamy mężczyzny. – Harriet marszczy brwi. – Mężczyzny o imieniu Ashley.

Miriam unosi dłonie.

– No okej. Dziwnie. Zresztą nieważne.

– Widziała go pani? Czy nie?

– Hm. Widuję sporo facetów. Tego raczej nie widziałam. Nie. Na pewno go nie widziałam.

Kobieta unosi zdjęcie i pokazuje je Louisowi tak, żeby musiał na nie spojrzeć.

– A pan? Widział pan tego człowieka?

Louis jest podenerwowany. Nieruchomieje.

– Przepraszam, ale dlaczego zadajecie takie pytania? Kim jesteście?

Miriam nachyla się w jego stronę i, udając południowe zacięcie, odpowiada mu w tym samym tonie:

– Kochanie, państwo są z FBI.

– Pokażecie legitymacje?

Włoch przewraca oczyma. Kobieta milczy i pokazuje swoje papiery. Mężczyzna, niechętnie, wyciąga czarne etui i również pokazuje je Louisowi.

– Nie – odpowiada w końcu kierowca. – Nie widziałem go. Bardzo mi przykro.

Szczupły agent podchodzi bliżej i, wysuwając dolną szczękę, powtarza z naciskiem:

– Na pewno go pan nie widział? Proszę się uważnie przyjrzeć, może coś się panu przypomni...

– Frankie – przerywa mu kobieta i kładzie dłoń na jego piersi. – Państwo już nam odpowiedzieli na pytania. Nie możemy im się dalej naprzykrzać. Dziękuję za poświęcony czas i do widzenia.

Potem odwracają się i ruszają w stronę czarnego oldsmobile'a cutlass ciera zaparkowanego kilka miejsc od recepcji. Dziwaczna z nich para, myśli Miriam. Jak para psiaków – mały buldog drepczący radośnie obok majestatycznego doga niemieckiego.

– Szukali twojego brata – mówi Louis. Nie jest zachwycony.

– Tak, mojego brata. No. Dzięki. Wiesz, że go nie wydałeś.

– Nie czuję się z tym dobrze. Nie lubię kłamać władzom – odpowiada, stojąc obok niej. Razem przyglądają się, jak czarny wóz agentów wyjeżdża z parkingu, skręca i po jakimś czasie znika w ciemności.

– To dlatego, że masz w sobie same dobre cechy, jak honor, uczciwość, słowność, szczerść i w ogóle, dobro. Ja jestem ich pozbawiona. Serio. Tym bardziej potrafię docenić to, co zrobiłeś.

Louis nabiera głęboko powietrza.

– Powiesz mi, co się stało?

– Agenci FBI chcieli...

– Nie, wcześniej. Co się stało w pokoju?

Wiedziała, o co pyta, ale chciała uniknąć tłumaczenia się z tego.

– Sama nie wiem. Spanikowałam. Chciałam się napić fanty.

– Fanty?

– Mówiłam ci już, nie zrozumiesz kobiet.

– Możemy o tym porozmawiać? Albo chociaż sobie posiedzimy razem, pooglądamy telewizję?

Jest słodki, pomyślała. Chce mnie przytulić. Ale...

– Nie, nie mogę. Muszę już lecieć. Muszę ostrzec brata, że go szukają, i skopać mu dupsko, bo przez niego się narażam. Nie wolno okłamywać agentów federalnych.

– Powtórzmy to kiedyś? – pyta Louis.

Ma smutną, niemal błagalną minę. Jest samotny, myśli Miriam. Cholernie samotny. Musi być, bo inaczej nie chciałby spędzać czasu z kimś takim jak ona. I wtedy znów to widzi: jakiś cień na jego twarzy, a może raczej błysk, nie cień – dwa czarne ikсы z taśmy izolacyjnej na oczach. Kapiąca krew, wijące się robactwo i kawałki rdzy z zardzewiałego noża do filetowania ryb. Przechodzą ją ciarki.

– Jestem okropną osobą – wyjaśnia. – Jestem odrażającym małym łgarzem. Mam straszne myśli. Robię okropne rzeczy. Przeklinam, piję, palę. Mam chorą głowę i chory język, i ta choroba wylewa się ze mnie i kała wszystko dookoła – jak strumień robaków, dodaje w myślach. – To nie jest ci potrzebne do szczęścia. Louis, jesteś świetnym gościem. Jesteś dobrym człowiekiem. Tak naprawdę wcale nie chcesz być ze mną. Ja mogę cię jedynie pograć w zepsuciu. Utyłać moją zgnilizną. Unurzać w moich problemach, moich humorach, moim wszystkim, co niedobre. Jestem jak wiadro pomyj przechylone nad twoją głową. Louis, znajdź sobie miłą dziewczynę. Taką, która nosi sukienki i w ogóle. Kogoś, kto nie używa na co dzień słów „kutas”, „skurwiel” i „pierdolić”.

– Ale...

– Nie ma ale. Rozumiesz? Nie ma ale. Jesteś naprawdę kochany.

Wspina się na palce i całuje go w policzek.

– Ciesz się życiem – mówi i bardzo chce powiedzieć mu prawdę. Chce mu zdradzić, że niewiele mu zostało, chce go namówić, żeby wynajął sobie prostytutkę, żeby zjadł najbardziej niezdrowego i najdroższego hamburgera, jakiego znajdzie i żeby – to przede wszystkim! – trzymał się z daleka od latarni morskich. Ale nie mówi żadnej z tych rzeczy. Tli się w niej drobna iskierka nadziei, że jeśli będzie unikać Louisa, to tym razem jej się uda. To będzie ten trik. Tak go ocali. Naciągana teoria i dość mocno wątpliwa,

jednak jako że już raz wykazała się obywatelską postawą i nic to nie dało, tym razem może przechytry los.

– Poczekaj! – woła za nią Louis, jednak jest już za późno. Miriam siedzi za kierownicą mustanga. Silnik budzi się do życia.

Spod tylnych kół wystrzeliwiają fontanny żwiru, którym jest wysypany parking.

– Kolejna skucha. – Frankie kręci głową i trze oczy. Ziewa. – Nigdy nie znajdziemy tego gnojka. Ingersoll urwie nam jaja i zje na drugie śniadanie.

– Ja nie mam jaj – poprawia go Harriet i zatrzymuje samochód kawałek od wjazdu do motelu. Nie wyłącza silnika, ale gasi światła.

– Co robisz?

– Czekam.

– Na co?

– Na dziewczynę.

– Jaką dziewczynę? Tę, z którą właśnie rozmawialiśmy?

– Tę samą. Kłamała. On zresztą też.

Frankie mruga, zaskoczony.

– Co? Kto? Ten gigant z pyską dziwką z motelu?

– Oboje. Dziewczyna znacznie lepiej niż facet. Nawet tak dobrze, że prawie mnie nabrała. Ale za bardzo się starała. Natomiast kłamstwa mężczyzny były, powiedziałabym, dość żałosne.

– Cholera, Harriet, skąd ty wiesz takie rzeczy?

– Patrzę na ich oczy. Ingersoll mnie tego nauczył. Kłamią, więc mrugają. Albo patrzą w górę i na prawo, bo używają kreatywnej części mózgu. Kurczą im się źrenice. Drżą powieki. To zachowanie wyrażające strach albo panikę. A ja to wyczuwam. Większość zwierząt, tuż zanim trafi

je kula myśliwego, szarpie głową i unosi wzrok. Kłamstwo wyzwala strach. Oboje się bali.

Niemal nie słyhać było silnika samochodu, więc oboje drgnęli, kiedy dobiegł ich dźwięk buksujących kół i wystrzeliwującego spod nich żwiru.

Po chwili z parkingu wyskakuje biały mustang i mija ich, gwałtownie przyspieszając. Tylne światła migoczą.

– Konie wyszły z bramek, rozpoczyna się dziki pościg – mruczy Harriet.

Wrzuca bieg i wraca na drogę, cicha i niebezpieczna jak rekin ludojad.

WYWIAD

– Ben Hodge.

Miriam wymawia jego imię, jakby wieszala brudną bieliznę na sznurku do suszenia prania.

– Na początek musimy coś sobie wyjaśnić. Ben był słaby. Tak samo słaby jak ja. Zwykły dzieciak ze szkoły. Nie brzydka, ale też nie sportowiec. Blond czupryna. Piegi, całe policzki w piegach. Ospaly wzrok, ale słodkie oczy. Tak, mieliśmy wiele wspólnego. Oboje byliśmy samotnikami i odmieńcami, ale to przez okoliczności, a nie z potrzeby czy z wyboru. Ja byłam nikim i on też. Nie liczyliśmy się. Ben nie miał ojca, mój też nie żył. Oboje mieliśmy dominujące i surowe matki. O mojej już ci mówiłam, ale jego? Jakaś kpina. Zanedbana, okropna baba. Jaskiniowiec! Była, i nie ściemnia, słowo harcerza, że to prawda, była drwalem! Wiesz, takim prawdziwym drwalem, co ładuje się na czubek drzewa, obcina po drodze gałęzie. Mocne uda, rycząca piła łańcuchowa. Łapiesz?

Przerywa i przypomina sobie tamte czasy.

– Mów dalej – zachęca ją Paul.

– Nie przyjaźniliśmy się. Ben i ja. Nigdy nie zamieniliśmy ze sobą nawet słowa. Czasem po prostu widziałam, że patrzy na mnie, a czasem on łapał mnie na tym samym. Mijaliśmy się na korytarzach. Krótkie spojrzenia, bicie serca, wiesz, ten cały nastoletni szit. No i pewnego wieczoru się stało. Moja matka nie była nigdy trunkową osobą. Co to, to nie. Twierdziła, że alkohol to mleko z piersi szatana. Ale wiedziałam, że od

wielkiego dzwonu zdarzało jej się pociągnąć z oczojebnie zielonej butelki likieru miętowego, którą trzymała zachomikowaną pod łóżkiem. Ukradłam ją i poszłam prosto do domu Bena, i zrobiłam to, co głupie nastolatki robią na filmach, czyli rzucają czymś komuś w okno, żeby wywołać tego kogoś na dwór. Ja użyłam małych gałązek, bo, znając moje szczęście, gdybym rzuciła kamieniem, wybiłabym mu szybę. Ben mieszkał w starym wiejskim domu, ze starymi oknami, które wykrzywiały obraz. Delikatne szkło. Wyszedł w końcu. Pokazałam mu butelkę. Poszliśmy do lasu. Usiedliśmy po ciemku, między świerszczami i świetnie się bawiliśmy, opowiadając sobie różne historie i śmiejąc się z ludzi ze szkoły. A potem to zrobiliśmy. Szybkie popychanko, na pieska. Oparci o drzewo, jak dwa zwierzątka w rui.

– Romantycznie – mówi Paul.

– Ech, ta dzisiejsza młodzież i jej sarkazm. Śmiejesz się, ale to w jakiś pokręcony sposób było romantyczne. Wiesz, jeśli wierzysz w te współczesne bzdury, że romantyczność oznacza słodkie kartki ze szczeniactkami i bukiety róż, a brylant to najlepszy przyjaciel dziewczyny, to nie, nie zrozumiesz tego. Ale to było... to było bardzo uczciwe. Dwójka nastoletnich gówniarzy w lesie, macanko, picie, śmiechy. – Po raz kolejny wyjmuję paczkę papierosów, zagląda i orientuje się, że wszystkie już wypaliła. Gnecie ją w dłoni i rzuca za siebie.

– Ja oczywiście nie mogłam się powstrzymać i zbrukałam gównem tę świeżo narodzoną więź między nami. Jak zawsze. Nie umiem inaczej.

– Czyli? Co takiego zrobiłaś?

– Wracamy do niego do domu. Ja jestem cała w skowronkach. Uśmiecham się jak zadowolona kotka, a tu przed domem czeka na nas jego matka. Na nas oboje. Wezwała jednego z lokalnych gliniarzy, takiego grubego przygłupa, Chrisa Stumpfa. Gość wygląda jak nieobrzezany penis.

No. Mama Bena zaczyna grozić mu jakimiś konsekwencjami, prawie śmiercią, a mi mówi, że jeśli jeszcze raz mnie zobaczy, to pożałuję, bo mnie dopadnie i bla, bla, bla...

Miriam pstryka palcami.

– Wtedy przychodzi zrozumienie. Świadomość. Tego, co zrobiliśmy w lesie. Ta piękna rzecz, którą dzieliliśmy pod drzewem, nagle okazuje się potwornie zła. Ogarnia mnie wstyd. Jestem jak Adam i Ewa, kiedy zaczynają dostrzegać swoją nagość. Mojej matki nie było tam na miejscu, ale mama Bena postarała się, żeby godnie ją zastąpić. Poradziła sobie doskonale. Wciąż jeszcze słyszę moją matkę, jak wrzeszczy na mnie, odzierając z resztek godności, i popycha w stronę cuchnących wrót Piekieł. I wtedy zaczynam czuć się jednocześnie jak wykorzystana i wykorzystująca. Bezwartościowa szmata, która za nic oddała swoje dziewictwo wsiewemu głupkowi. I tak się zakończyła historia ledwie skonsumowanego, niewydarzonego związku z Benem, nasączonego likierem miętowym i chwilami gorącego. Kurtyna w dół. Wracam do domu.

Paul poprawia się na krześle. Czuje się nieswojo.

– I co? Nigdy już z nim nie rozmawiałaś?

– Czasem, ale tylko w biegu.

Miriam bawi się od niechcenia butelką alkoholu i żałuje, że nie ma więcej papierosów. Chciała skrócić trochę historię, żeby szybko skołować skądś fajki, ale nie może. Wszystko musi się wydarzyć dokładnie tak, jak powinno. Kolejność zdarzeń i takie tam.

– Ben próbował, ale ja nie chciałam. Nie pozawalałam mu. Powiedziałam, że to, co zrobiłam, było złe, ale on mnie nie słuchał. Żaloszny idiota. Wiesz, co mi powiedział? Że mnie kocha. Uwierzyłbyś? Wtedy nie wytrzymałam i puściła tama.

– Co się stało?

– Dałam się ponieść fali najgorszego plugawego gówna wszech czasów. Zarzygałam go swoją żółcią, naszczałam do oczu i nasrałam do gęby. Nazwałam go skończonym przygłupem i debilem, chociaż to nie była prawda. Ben nawet się tak nie zachowywał, był bystry i potrafił myśleć, ale... no właśnie, zadał się z niewłaściwym człowiekiem. Powiedziałam mu, że ma małego kutasa i mu nie staje i że tym gówienkiem nie potrafiłby wyruchać laski w śpiączce ani nawet ofiary wypadku. Zachowywałam się, jakbym była opętana. Nie wiem nawet, skąd znałam słowa, których używałam. One same ze mnie wyskakiwały, opuszczały moje usta, niemal nie dotykając języka i warg. Chciałam zacisnąć zęby, żeby uwięzić je w środku, ale nie mogłam. Ten potok miał zbyt wielką siłę. Nie mogłam go powstrzymać.

Miriam po raz ostatni spogląda na butelkę przed sobą. Zostało mniej niż połowa. Gwiżdże powoli i nisko, a potem przytyka szyjkę do ust i zaczyna pić. I pije. I pije. Z każdym łykiem porusza jej się gardło i słychać przełykanie. Już ma zdrowo w czubie. Zaczyna się jej plątać język. Mówi trochę nieskładnie. Co tam, myśli. To bez znaczenia.

Pali ją gardło.

Ale alkohol szybko znieczula.

Oddycha głęboko. Łapczywie nabiera powietrza. Potem niespodziewanie ciska butelką nad głowę Paula. Chłopak piszczy, odsuwa się i jęczy, kiedy szkło trafia w beton i rozpryskuje się na kawałki.

– Tamtej nocy – Miriam kontynuuje swoją opowieść, przerywając jedynie na krótkie beknięcie – Ben zamyka się w łazience. Głowę ma pewnie pełną plugastwa, które mu nawciskałam. Siada na stołku pod prysznicem. Zdejmuje skarpetkę z lewej stopy. Potem bierze, kurwa, dubeltówkę, i łapie lufę zębami. Podwójna lufa ma kształt położonej

ósemki, a to znak nieskończoności, prawda? Pierdolona ironia losu. Potem wsuwa duży palec nad oba spusty. Ruch stopą. Bum. Był dość dobrze wychowany, żeby zrobić to pod prysznicem, żeby mama miała jak najmniej sprzątaną. Dobry dzieciak, do samego smutnego, krwawego końca.

Miriam nie próbuje nawet powstrzymać kolejnego beknięcia. Czuje smród whiskey i soków żołądkowych. Ma wilgotne oczy. Tłumaczy sobie, że są mokre przez alkohol. To dobre kłamstwo. Tak dobre, że prawie w nie wierzy.

– Najważniejsze jest jednak to, że Ben zostawił list pożegnalny. No dobra, może nie list, a raczej, cholera, coś jak widokówkę pożegnalną. Na kawałku papieru napisał czarnym markerem: *Powiedz Miriam, że przepraszam za to, co zrobiłem.*

Miriam spogląda przed siebie. Jest nienaturalnie wyciszona.

WALIZKA

Wpada do motelowego pokoju razem z drzwiami. Motele, motele, wiecznie te motele. Kolejna droga. Kolejny dzień, kolejny przystanek w podróży znikąd donikąd. Ashley leży nagi na łóżku i ściska pytonga w dłoni. Miriam nie widzi ekranu telewizora, ale słyszy wyraźnie pojękiwania jakiejś aktorki porno – dźwięki, których kobiety na żywo nie wydają.

Ashley podskakuje, usiłuje złapać majtki, które rzucił gdzieś obok łóżka. Nie udaje mu się, ale traci równowagę i pada na podłogę, uderzając się boleśnie w ramię.

– Cholera! Nikt cię, kurwa, nie nauczył pukać?

Nie zakłada spodni, kuca po prostu za łóżkiem, by nie widziała jego nagości.

Miriam wchodzi do pokoju i szybkim ruchem zasłania okna.

– To ja zapłaciłam za motel – mówi, a potem ogląda się za siebie. Dwa blond wampy z nienaturalnie wielkimi piersiami leżą w wannie, splecione w pozycji sześćdziesiąt dziewięć. Liżą się nawzajem jak wściekłe kotki. – I wygląda na to, że zapłaciłam też za lesbijskie porno?

– Myślałem, że jesteś na randce.

– Załóż coś na siebie. Musimy zwiewać.

– Zwiewać? Dokąd? I dlaczego? Co znowu wykombinowałaś?

Miriam się gotuje. Czuje się osaczona, zagoniona do narożnika, ale gotowa do samobójczego ataku.

– Co ja narobiłam? – pyta. – Ja? Dobrze, naprawdę. Przedni dowcip. Powinieneś chyba raczej odpowiedzieć na pytanie, co ty wykombinowałeś, ćwoku! Dlaczego szuka cię FBI? Ciebie, nie mnie!

Jego reakcja jest zaskakująca. Zaczyna się śmiać.

– FBI? Błagam... oni mają lepsze rzeczy do roboty, wiesz, pedofile, terroryści, terroryści-pedofile...

Miriam łapie dzinsy i rzuca mu je w twarz.

– Weź się, kurwa, przestań śmiać, mądralo. Dalej. To poważna sprawa. Byłam w motelu, kawałek stąd, zresztą to, kurwa, nieważne, bo ważne jest to, że podeszła do mnie dwójka agentów FBI. Byli pewni siebie, jakby potrafili wyczuć na mnie twój smród! Ashley, oni mieli twoje zdjęcie!

Tym razem Ashley poważnieje. Po raz pierwszy Miriam widzi, że jest naprawdę zaskoczony.

– Co? Moje zdjęcie? Żartujesz, prawda?

– Kurwa, nie! Nie żartuję! Mieli. Twoje. Zdjęcie.

Przez chwilę myśli i przygryza wargę.

– Jak wyglądali?

– Jeden wysoki i ciemny. Taki zwykły. Przeciętny. Może Włoch. Czarny garnitur. Była z nim kobieta. Niska. Kurdupel. Adams i... Gallo. Tak, chyba tak. Jak jakiś jabol.

Ashley blednie.

– Cholera – mruczy, a potem milknie. Ma rozbiegane, przerażone oczy.
– Cholera.

Podnosi pilot z szafki przy łóżku i ciska nim w telewizor. Plastik pęka i rozpada się. Telewizor migoce, lesbijki na ekranie zamieniają się w jasny punkt pośrodku, a potem wszystko gaśnie.

– Czy teraz zaczynasz pojmować powagę sytuacji?

Ashley chwyta ją za nadgarstek.

– Nie – warczy. – To ty nie rozumiesz powagi sytuacji. Oni nie są z FBI. Nie są gliniarzami. Są znacznie gorsi.

– Co? O czym ty, do cholery, mówisz?

– Oni oficjalnie nie istnieją, to diabły, demony, to pieprzeni mordercy! Rozumiesz? To zawodowi mordercy!

– Mordercy? Bredzisz. Przestań bredzić.

Ashley nie zwraca na nią uwagi. Myśli. Bardzo intensywnie. Miriam widzi, jak główkuje. Nagle mężczyzna zaczyna się ruszać.

– Bierz swoje rzeczy – rozkazuje. Skacze w narożnik pokoju, odsuwa na bok swój worek marynarski i dźwiga na łóżko metalową walizkę. Jest ciężka. Tak ciężka, że stęka, kiedy ją podnosi.

– To o nią chodzi – stwierdza Miriam. Nie musi pytać, bo już wie.

– Tak, pewnie tak. – Łapie na ramię jej torbę, którą zostawiła po drugiej stronie łóżka, i rzuca. Miriam chwyta ją jak piłkę na boisku. Rzut był mocny, aż sapnęła. – Kluczyki! Dawaj kluczyki!

– Nie.

– Dawaj kluczyki do mustanga. Natychmiast!

– Nie, dopóki mi nie powiesz, o co w tym wszystkim chodzi.

– Nie mamy na to czasu!

Miriam zaciska zęby.

– Mów.

– Dawaj, bo nie odpowiadam za siebie. – Ashley zaciska pięści. – Kluczyki. Do mojego auta. Już!

Miriam wyjmuje z kieszeni kluczyki przypięte do starej, pofarbowanej na zielono króliczej łapki.

– Te? – pyta. Bawi się nimi. Kołysz. – Dalej. Śmiało. Weź je sobie.

Ashley sięga.

Ona uderza go nimi po twarzy. Metal przecina mu skórę na czole. Mężczyzna cofa się, przyciskając ramię do krwawiącej rany. Cofa dłoń i widzi czerwoną plamę. Jest zaskoczony, nie potrafi tego ukryć. Po raz drugi Miriam widzi go przerażonego.

– Zraniłaś mnie – mówi.

– Aha. Chcesz dostać jeszcze raz? Rozluźnij piąstki, dziecko, i zacznij mówić. Bo jeśli zaraz się nie dowiem, dlaczego cię szukają, podetnę ci gardło kluczykami i wetknę króliczą łapkę w dupę, tak na szczęście.

Miriam przygląda mu się. Myśli. Intensywnie rozważa swoje opcje. Pewnie przychodzą mu do głowy pomysły, żeby spróbować ją powalić albo skłamać i omamić. Ale po chwili wszystkie tryby obracają się we właściwą stronę i podejmuje słuszną decyzję.

Trzęsącymi się palcami ustawia kombinację szyfrowego zamku walizki.

Wieko odskakuje delikatnie, klikając przy tym cicho.

Otwiera je. Miriam wzdycha.

Wnętrze walizki wypełnia niezliczona ilość małych woreczków strunowych, nie większych niż paczuski orzeszków. Ale w środku nie ma nic zdrowego. O nie. W każdym woreczku znajduje się kilka niewielkich, matowych kryształków, trochę jak pokruszony kwarc albo rozbita landrynka.

Miriam oczywiście wie, co to jest. Nie próbowała tego, ale nieraz widziała.

– Metamfetamina – szepce. – Kryształki metamfetaminy.

Ashley potakuje.

– Mów.

– Co mam mówić?

– Mów, skąd masz taki pierdylion działek mety? Skąd to masz?

Nabiera głęboko powietrze przez nos.

– W porządku. Chcesz marnować teraz czas? Chcesz, żeby nas dopadli i załatwili? Nie ma sprawy.

OPOWIEŚĆ ASHLEYA

Jimmy DiPippo był moim dealerem trawki w szkole średniej. Dzieciak z bogatej rodziny, więc miał dość pieniędzy, a dzięki trawce miał ich jeszcze więcej. Używane bmw, elegancki zegarek, kilka złotych sygnetów. Miły był z niego gość, ale niezależnie od pieniędzy Jimmy był skończonym idiotą. Upalenie się własnym towarem nie podnosiło mu ilorazu inteligencji. Dobra, do rzeczy. W zeszłym roku byłem... przejazdem... w moim rodzinnym miasteczku. Wróbelki ćwierkały, że Jimmy ciągle kręci się gdzieś w okolicy, cały czas sprzedaje towar i wciąż jest bystry jak woda w klozecie.

Oczywiście natychmiast pomyślałem, żeby odkurzyć starą przyjaźń i naciągnąć go na trochę szmalu.

Znalazłem go w końcu na jakiejś imprezie. Jedna córeczka bogatego frajera urządziła party w willi tatusia w Scranton. Piękne miejsce, znacznie ładniejsze, niż piszą w gazetach. Chata napchana nastoletnimi dupkami, większość uwalona alkoholem, część z bongami, kilku jara trawę na megalevelu, wciągając dym do masek gazowych z drugiej wojny światowej. Do tego paskudne techno i paskudny zapach słodkawej wody kolońskiej. Wiesz, zwykła impreza.

Znalazłem Jimmy'ego na patio. Gość urabiał akurat jakąś słodką blondyneczkę i jej głupkowatego, grubego chłopaka, który wyglądał jak nedorobiony obrońca drużyny futbolowej, żeby sprzedać im trochę towaru. Podchodzę i witam się, a on patrzy na mnie zaskoczony. Aż za bardzo zaskoczony, nerwowo zaskoczony. Ale nie myślę o tym jakoś szczególnie,

bo Jimmy zawsze miał owsiki w dupie i nie mógł usiedzieć na miejscu. W szkole wyglądał jak podtopiony szczur, cały czas spocony, z dziecięcą twarzą. Niewiele się zmienił. Na czapce z długim daszkiem widać było plamy potu, a nosił ją założoną na bok, jak jakiś raper z przedmieść. Całe szczęście, że nosił slipy, bo miał tak opuszczone spodnie, że pół dupska by mu wystawało. Chłopak był tak zgrzany, że jaja też mu ociekały potem.

Poczekaliśmy, aż dokończy interes, a potem usiedliśmy przy basenie, żeby pogadać o starych, dobrych czasach. Siedzimy sobie, gadamy, on mi mówi, że cały czas bawi się w dealerkę, dobrze mu idzie, ja ściemniam, że pracuję na Wall Street w Nowym Yorku i się zastanawiam, dlaczego mi wierzy. Chyba jestem przekonujący po prostu. Zawsze to umiałem. No a poza tym on jest durniem, to też ułatwia mi pracę.

Zaintrygowało mnie, że z minuty na minutę jest coraz bardziej nerwowy. Stuka stopą. Oblizuje usta i się rozgląda. Ja jeszcze ciągle nie mam pojęcia, co się dzieje. Myślę sobie, że taki po prostu jest. Ale potem się domyślam, że chodzi o coś innego.

A niech tam, mówię do siebie. Jimmy nic dla mnie nie znaczy. Sprzedaje prochy dzieciom, więc niezależnie, co by o nim powiedzieć, święty to on nie jest. Uznałem, że można zacząć go urabiać.

Wybrałem niezbyt skomplikowany scenariusz, a właściwie to na miejscu, bez przygotowania, zmodyfikowałem swoje wcześniejsze pomysły. Skoro bez problemu mi uwierzył w bajkę o Wall Street, trzeba było to pociągnąć. Miał uwierzyć, że posiadam jakieś wartościowe informacje, które nie są jawne. Coś jak wewnętrzna dyspozycja jakiegoś koncernu farmaceutycznego, żeby wypuścić na rynek nowy antydepresant albo że wiem coś o nowym japońskim samochodzie, który niedługo pojawi się w sprzedaży. Cokolwiek. Cholera, mogłem mu sprzedać ściemę, że Wall-Mart wprowadza do sklepów nowy model amortyzującego tamponu

analnego, a on i tak by mi uwierzył. Tłumaczę mu, że jeśli chce w to wejść, to mogę mu pomóc, tak jak on pomagał mi wiele lat wcześniej – a robił mi przysługi, odpalał co pewien czas darmową trawę, nawet sporo – więc z przyjemnością pomogę mu w to zainwestować, nie biorąc nic dla siebie.

Zainteresowałem go, widziałem to w jego oczach. Ale wtedy nagle kątem oka coś zauważył. Podskoczył, wstaje i mówi, że musi się z kimś spotkać, że potem mnie znajdzie i dokończymy interesy. Pędzę oczywiście za nim do środka, ale gubię go na chwilę z oczu, bo wpadam na jakąś cycatą laskę. Ma trochę za dużo ciała tu i ówdzie, ale to mi akurat nie przeszkadza. Idziemy razem coś wypić. Umiem pić, więc w to mi graj. W tle leci techno, a my walimy shota za shotem tequili z cytryną i solą. Wszędzie palą się czerwone lampki choinkowe i migoczą w rytm muzyki, mimo że to środek lata. Ona robi mi zdjęcie swoim telefonem komórkowym. Wszyscy świetnie się bawią, a ja na chwilę zapominam, po co tu w ogóle jestem.

Wtedy nagle widzę Jimmy'ego. Schodzi schodami, w rękę trzyma walizkę.

Zgadza się. Tę walizkę. Metalową.

Natychmiast ruszam za nim. Wychodzi przez kuchnię do ciemnego garażu na dwa samochody. To ja za nim. Ledwie się tam znalazłem i wskoczyłem za range rovera, zapala się światło.

– Jasna cholera – słyszę głos Jimmy'ego. – Oślepiłiście mnie.

Z miejsca, w którym się schowałem, widzę jedynie stopy. Trzy pary stóp. Są wysokie trampki kumpla. Są czarne skórzane mokasyny. I na koniec pojawiają się białe adidas na małych stopach.

Nikt się nie odzywa, więc Jimmy zaczyna chyba czuć się nieswojo. Mówi:

– Wszystko w porządku, zaskoczyliście mnie, wszystko w porządku. Jak tam? Dostałem wiadomość od was i przywiozłem walizkę. Nie wiem, w czym problem, ale chyba nie wzywacie dealerów do wymiany towaru, bo znaleźliście jakiś błąd fabryczny, co nie? – pyta i śmieje się głupkowato i nerwowo. – Okej, okej, to powiecie, o co chodzi? Mogę iść, jeśli tylko chcieliście...

Wtedy odzywa się ta kobieta. Ma bardzo monotony głos.

– Dotarły do nas słuchy, James – mówi – że znalazłeś nowych przyjaciół.

To bardzo dziwne, bo nigdy nie słyszałem, żeby ktokolwiek tak do niego mówił. James? Cholera, nawet rodzice tak na niego nie wołali. Zawsze byłem przekonany, że tak mu dali na chrzcie.

On zaczyna się jąkać i tłumaczy, że tak, że jest przecież bardzo równym gościem i wszyscy go znają, więc w czym problem. Ale słyhać, że wie, o co chodzi. Nie widzę go, ale domyślam się, że musi dosłownie ociekać potem.

– Nawet w policji – ciągnie kobieta. I to nie jest pytanie. Ona go oskarża.

– Nie – zaprzecza Jimmy, ale mało przekonująco.

– A jednak – mówi gość w mokasynach. Ma akcent z Brooklynu albo Bronxu. – Jimmy, gadałeś z psami. Stałeś zaraz koło ich budy.

– Gdzie? – Jimmy chyba nie łapie, o co chodzi, ale to ostatnie słowo w jego życiu. Kimkolwiek była kobieta w białych adidasach, błyskawicznie staje za Jimmym, a ja słyszę rżenie i krztuszenie się. Stopy Jimmy'ego zaczynają drżeć i wierzgać, jakby miał atak padaczki, a ja boję się drgnąć, bo paraliżuje mnie strach. Chcę krzyczeć, uciekać, szczać w gacie i rzygać, ale nie mogę, nic nie mogę! Mam otwarte usta i sparaliżowane ręce.

Na podłogę kapią duże krople krwi. Kap, kap, kap.

Nogi Jimmy'ego uderzają w walizkę i ją przewracają. Jest niedaleko mnie. Wystarczyłoby wyciągnąć rękę...

Coś przeskakuje w mojej głowie. Jakiś przełącznik, cholera wie. Nie rozumiem, co się ze mną dzieje. Nie planowałem jej złapać...

Po lewej stronie widzę mopa. Chwytam go i wstaję.

Widzę teraz, kim są – widzę Włocha i niską, dupiastą sukę. To ona zaciska garotę na szyi mojego kumpla. Garota ma na końcach uchwyty z czarnej gumy, w kształcie piłeczek. Kobieta ściska je mocno.

Metalowy przewód wrzyna się głęboko w jego gardło. Z rany kapie krew i spada na podłogę.

Zamierają i patrzą na mnie. Są całkowicie zaskoczeni. Nawet Jimmy, bo skurczybyk cały czas jeszcze żyje, choć ledwie zipie.

Zaskoczenie: to wszystko, czego potrzebuję.

Italianiec sięga do kieszeni, a ja uderzam mopem w jarzeniówkę pod sufitem. Szklana rurka rozpryskuje się na kawałki i wszystko pogrąża się w ciemnościach. Łapię walizkę i spieszę do kuchni. Zatraskuję za sobą drzwi, pod klamkę wsuwam stolik na kółkach, żeby trochę ich zatrzymać, i spadam do mustanga. Rzucam walizkę na siedzenie po stronie pasażera i znikam z miasta. Dopiero później dowiaduję się, co jest w środku – nie była zablokowana, bo Jimmy nie ustalił kombinacji.

I to by było na tyle. Resztę już znasz.

Nie przyszło mi do głowy, że mogą mnie znaleźć.

Mamy przesrane.

WSZYSCY MAJĄ PRZESRANE

– Nie, to ty masz przesrane – stwierdza Miriam.

– Musimy uciekać – mówi Ashley. Już się nie uśmiecha. Dziewczyna myślami wraca do historii, którą właśnie opowiedział o swoim koledze, Jimmym Dealerze, który bał się, denerwował i pocił. Teraz ona tak właśnie widzi Ashleya. Wygląda na naprawdę przerażonego. Porzucił maskę luzaka.

Miriam obraca kluczykami w dłoni.

– Uspokój się. Nie jechali za mną.

– Jesteś pewna?

– Tak, jestem pewna.

– Tak czy inaczej, musimy się stąd zmywać.

– W porządku. To się zmywajmy.

Przestępuje z nogi na nogę.

– Prochy – mówi dziewczyna. – Powiesz mi, co planowałeś z nimi zrobić? Walizka sporo waży.

Ashley wodzi nerwowo wzrokiem między drzwiami a oknem.

– Sporo. Ze dwadzieścia pięć kilogramów, jak nie więcej. Towar jest wart kupę szmalu.

– Ile dokładnie?

– Nie mam pojęcia. Kilogram za dwadzieścia tysięcy? Możliwe, że więcej.

– Chryste. Dwadzieścia koła za kilogram? Metamfetamina jest tyle warta? – Szybko liczy w pamięci. – Masz pół miliona dolców. Pół miliona. To po jaką cholere ja ci jestem potrzebna? Masz w kieszeni tyle pieniędzy, a zajmujesz się moimi drobniakami?

– Tyle że ja nie jestem dealerem narkotyków! – wrzeszczy. Stracił cierpliwość i uwodzicielski uśmiech. – Nie mam zielonego pojęcia, jak upłynnić taką górę towaru! Żadnego, nie mówiąc już o mecie. Szczerze? Naprawdę chcesz wiedzieć? W porządku, niech ci będzie. Pomyślałem, że ty się tym możesz zająć.

– Ja? Całkowicie ci odbiło?

– Wyglądasz... wyglądasz jak ktoś, kto bierze metę. Albo brał.

– Nie – Miriam wzdycha z rezygnacją. – Wyglądam, jakbym brała heroinę, a tego też nie biorę. Popatrz, mam wszystkie zęby na miejscu, nie cuchnę kocimi szczynami i nie jestem pieprzonym ćpunem!

Ashley uniósł dłonie.

– W porządku! Przepraszam, że uraziłem twoje delikatne poczucie smaku! Możemy już iść?

Sfrustrowana warczy coś niezrozumiale, rzuca mu kluczyki i zakłada na ramię torbę.

– Idź – mówi Ashley, wskazując na drzwi.

Miriam pierwsza wychodzi na dwór.

Nie zauważa niczego podejrzanego – samochód ma czarny, matowy kolor, więc ginie w ciemnościach nocy. Ale wtedy nagle zapalają się przednie światła i ją oślepiają. Oldsmobile cutlass ciera z parkingu przy

motelu jest teraz tutaj, naprzeciwko niej. Miriam osłania oczy, ale i tak nie może dostrzec ani kierowcy, ani pasażera. Wie, że tam są. Czeka.

Zza pleców słyszy głos Ashleya.

– O, kurwa. Nie. Nie! Nie!

Samochód jest w ruchu, kiedy otwierają się przednie drzwi. Harriet Adams i Frankie Gallo wyskakują ze środka. Nie spieszą się. Oboje trzymają broń.

Miriam w myślach układa plan ucieczki: wracam do środka, przebiegam przez pokój, kopniakiem wywalam okno w łazience, biegnę przez pola, które graniczą z motelem... albo może przez las, który zaczyna się kawałek dalej, po prawej stronie... Odwraca się, żeby wcielić plan w życie, ale...

Drogę blokuje jej Ashley. Stoi w wejściu do pokoju i zasłania się metalową walizką. Ich oczy się spotykają.

Miriam widzi, jak nagle w jego mózgu zaskakują właściwe zapadki – w ten sam sposób, w jaki staromodny zegar w pokoju Dela Amico wskazywał godziny. Twój czas dobiegł końca, rozbrzmiewa jej w uszach.

Ashley odpycha ją brutalnie i zatrzaskuje drzwi przed nosem. Słyszczyć szcęk zamka.

Została sama na dworze. Sama z nimi. Z dwoma naładowanymi pistoletami.

Miriam krzyczy. Woła go po imieniu. Krew szumi w uszach. Wali pięściami w drzwi. Za jej plecami jest Harriet. Kobieta idzie spokojnym, równym krokiem. Zawodowy zabójca, terminator, niepowstrzymana i niepokonana siła. Harriet unosi dłoń i daje Frankiemu znak, że ma obieć motel i sprawdzić tył.

Dziewczyna odwraca się, żeby rzucić się do ucieczki, ale jest już za późno.

Miriam myśli: dam sobie z nią radę. Wystarczy na nią spojrzeć, a poprawia się humor. Załatwię to chucherko w okamgnieniu. Wykiwam ją.

Warcząc z wściekłości, Miriam zrywa torbę z ramienia i zaczyna nią wymachiwać jak bronią. Harriet odchyła się i pocisk jej nie trafia. Potem Miriam widzi jasny błysk – to fałszywa agentka zamachuje się pistoletem, a lufa trafia ją boleśnie w policzek i rozcina skórę.

Miriam zahacza nogą o dziurę w nawierzchni parkingu. Pada na plecy, uderzając boleśnie o asfalt.

Zanim do niej dociera, co się właśnie wydarzyło, czuje zimno lufy na policzku – dokładnie w miejscu, w którym przed chwilą ją raniła. Boli, kiedy Harriet przyciska jeszcze mocniej. Miriam jęczy.

– Nie ruszaj się. I zachowuj spokojnie – rozkazuje Harriet, a w jej oczach pojawia się obłąkańczy błysk.

– Pozwól mi odejść. Nie mam z tym nic wspólnego. Nie mam waszych rzeczy.

– Ciii.

– Jestem zwykłą dziewczyną, głupią dziewczyną, która wpakowała się w znajomość z głupim chłopakiem...

Harriet potrząsa głową.

– Nie próbuj odwoływać się do mojego sumienia, bo dam ci słowo honoru, że nie mam sumienia, łaskowości ani wyrozumiałości. A teraz wstawaj, tylko powoli.

Wolną ręką Harriet sięga do kieszeni spodni i coś z niej wyjmuje. Biały pasek plastiku. Zaciskowe kajdanki.

– Posłuchaj uważnie, co teraz zrobisz. Grzecznie wstaniesz, pójdziemy razem do auta, wsiądziesz do środka i pojedziemy na małą...

Bang, Bang! Dwa wystrzały, jeden po drugim. Dobiegły gdzieś zza motelu. Miriam wie, że Ashley musi żyć – bo przecież jeszcze nie jest osiemdziesięciolatkiem w domu dla starców, w wózku inwalidzkim, bez jednej nogi. Sama też żyje – to oczywiste, skoro może myśleć, słyszy wystrzały, czuje strach i bolą ją uszy.

Na dźwięk strzałów Harriet drży. Właściwie to za dużo powiedziane, ale mruży oczy i się rozgląda: ma spojrzenie polującego jastrzębia, który właśnie dostrzegł mysz. To dobry moment.

Miriam sięga do swojej torby i znajduje w środku nóż. Wyciąga go, porusza zwinnie nadgarstkiem i wbija otwarte ostrze w łydkę kobiety.

Harriet strzela, ale dziewczynie udaje się przesunąć.

Po omacku znajduje kawałek ukruszonego betonu i z całej siły uderza fałszywą agentkę w dłoń.

Pistolet wypluwa kolejny pocisk. Miriam słyszy, jak kula przelatuje tuż obok jej głowy, ale to nieważne, bo broń wylatuje łukiem z ręki morderczyni i, koziółkując w powietrzu, upada na parking kilka metrów dalej.

Miriam nie marnuje czasu.

Rzuca się biegiem.

Pędzi jak wiatr, mimo że kręci jej się w głowie, czuje mdłości i strach. Ucieka sama, zostawiając za plecami wszystko i wszystkich: Harriet, jej pistolet, swój nóż w jej łydce, swoją torbę na ramię. Cholera, myśli. Moja torba. Potrzebuję jej. Mam w niej swój pamiętnik; w nim jest reszta mojego życia. Wracaj! Wracaj i...

Kolejne dwa strzały. Harriet znalazła pistolet. Miriam czuje kule mijające jej głowę, jak delikatny szept na policzku. Ale nie może się zatrzymać. Jeśli to zrobi, zginie. Dobiega do końca zabudowań motelu zbudowanego na planie wielkiej litery L, mija ostatni pokój i widzi drzewa. To tylko kilka metrów.

Kolejny strzał. Kiedy dopada do ściany lasu, kolejna kula trafia w dąb nad jej głowę i obsypuje drzazgami.

Miriam wpada w jakieś krzaki.

Las jest ciemny, nic nie widać. Tylko cienie, jakieś niewyraźne kontury. Tutaj nie dociera światło księżyca. Rozmazane linie, czarne plamy, kaleczące gałęzie – przedziera się przez zarośla i kolce jak przerażony jelen. Pędzi naprzód, prawie upada, podnosi się i gna.

Biegnie – sama nie wie, od jak dawna.

Myśli tylko: jestem bezpieczna, już starczy, zwolnij, nie musisz tak pędzić. Odetchnij trochę, schowaj się w ciemnościach...

Ale odzywa się też drugi głos: nigdy nie będziesz już bezpieczna. Pędź, idiotko! Uciekaj!

W tym momencie coś uderza ją w twarz.

Nie może dłużej ustać na nogach. Pada i pogrąża się w ciemnościach.

Kroki. Trzask gałązek. Szelest liści.

Miriam otwiera gwałtownie oczy.

Jest jeszcze ciemno. Dotyka palcami głowy – krew zdążyła już zaschnąć. Widzi nad sobą ciemny kształt – czarny kontur oświetlony księżycową poświatą.

Wpadłam na gałąź, myśli. Kręci jej się w głowie.

Co teraz?

Ktoś jest w pobliżu. Słyszy kroki. Niedaleko. Słyszy ich oddechy.

Nagle zatrzymują się.

Powiew wiatru porusza skąpanymi w ciemności drzewami; szumią liście, trą o siebie, szeleszczą gałązki. Poza tym panuje całkowita cisza.

Nagle coś się porusza. Kroki. Bieg, przedzieranie się przez krzaki – w jej kierunku.

Miriam podnosi się chwiejnie, przytrzymuje drzewa, a potem rzuca przed siebie. Biegnie, nie ogląda się, tylko biegnie. Pościg jest coraz bliżej; to oczywiście niemożliwe, ale mogłaby przysiąc, że czuje na plecach oddech osoby, która chce ją dopaść, że muskają ją wyciągnięte palce i słyszy szczękanie zębów, które chcą zacisnąć się na jej ciele.

To musi być Harriet, myśli gorączkowo. To ta okropna kobieta. Już jestem martwa.

Ale akurat wtedy wszystko cichnie. Już nikt jej nie goni. Nikt i nic. Jakby pościg nigdy nie istniał.

To ją jeszcze bardziej wyprowadza z równowagi. Dziwaczne i przerażające.

Miriam zatrzymuje się. Czeka. Rozgląda dookoła. Wszystko znów pogrąża się w ciemnościach – widzi tylko niewyraźne kontury. Żadnego ruchu, a jedynym dźwiękiem jest szelest liści poruszanych delikatnym powiewem wiatru.

Czy sama sobie wyobraziła tę pogoń?

A może to był tylko sen, który nie odszedł, kiedy odzyskiwała przytomność?

Czuje zapach mydła. Delikatna woń płynu do mycia rąk, takiego zwykłego, łazienkowego.

Miriam odwraca się.

W twarz uderza ją czerwona łopata do odgarniania śniegu. Kiedy upada na ziemię, słyszy śmiech Louisa, który zmienia się w śmiech Bena Hodge'a, który zmienia się w śmiech jej matki – ich twarze krążą nad jej głową, jasne księżyce. Wtedy wraca ciemność i cykanie świerszczy.

Frankie wynurza się zza narożnika motelu, przyciskając ramię do zmasakrowanego, krwawiącego nosa. Ciemny strumień znaczy ślad na brodzie i kapie na koszulę.

Dostrzega Harriet. Kobieta siedzi na zderzaku samochodu, a jej ciemne spodnie są jeszcze ciemniejsze, bo jedną nogawkę znaczy czarna plama krwi. W dłoni trzyma nóż motylek. Jego wąskie ostrze błyszczy szkarłatem.

– Ten gnojek walnął mnie w twarz – mówi Frankie, ale przez uszkodzony nos i przyciśnięte ramię brzmi, jakby powiedział: ten nojch walno mnie ftfasz.

– Domyślam się, że walizką?

– Ta faliska jes kufesko sieszka!

– Dziewczyna zwiąła. Dźgnęła mnie nożem w nogę. Tym głównem.

– Niechtoszlachtrafi.

– Dzwonię do Ingersolla. Powinien tu przyjechać. Będzie chciał być przy tym.

– Niechtoszlachtrafi!

– Jedziemy, zanim pojawi się policja.

SEN

Miriam wie, że to tylko sen, ale ta świadomość jej nie pomaga. Ani niczego nie ułatwia.

Louis wisi na uschniętym dębie jak Jezus na krzyżu. Pada na niego pojedynczy snop księżycowej poświaty: jakby Bóg postanowił oświetlić go swoim reflektorem. Na jego wyciągniętych ramionach siedzi rząd wron i drozdów. Jeden z drozdów – malutki, z przodu skrzydełek ma czerwone plamy przypominające krew – zeskakuje z ramienia i przysiada na obojczyku. Zaczyna dziobać taśmę izolacyjną, którą Louis ma zaklejone lewe oko.

Miriam wstaje i spogląda w górę. Potem pada na kolana. Nie chce tego robić, ale śni i nie decyduje. Nie kontroluje się, robi to, czego sen od niej wymaga. Straciła wolność wyboru.

– Umarłem za twoje grzechy – mówi Louis. Potem słychać jego ochrypły chichot.

– Jeszcze nie umarłem. Żyjesz przecież – protestuje dziewczyna.

Ignoruje jej słowa.

– Krzyż. Krucyfiks. Linia pozioma symbolizuje człowieka. Jego ulotny świat, świat materii, świat ciała i brudu. Błota, krwi, kamieni i kości. Linia pionowa to droga do świętości. To wzrastanie. Przebiega przez świat człowieka niczym oś wskazująca kierunek innego, nieznanego świata.

– To super, naprawdę. Ale teraz chcę się już obudzić.

– Chwileczkę. Jeszcze nie skończyliśmy, moja droga. Krzyż można też interpretować jako rozdroże. Jak rozwidlenie i konieczność podejmowania decyzji. Decyzje, decyzje. Ciągle. Najwyższy czas, żebyś w końcu podjęła swoją, Miriam. Najwyższy czas dać czadu. Najwyższy czas przewietrzyć cipę.

Louis uśmiecha się szeroko. Między jego zepsutymi zębami widać dżdżownice.

– Słuchaj, wiem, że jesteś jedynie manifestacją moich własnych myśli – mówi, prawie się śmiejąc. – Nie jesteś żadnym świętym, nic z tych rzeczy. Żaden duch ani święty nie powiedziałby tego kawałka z cipą.

Mimo że ukrzyżowany, Louis wzrusza ramionami.

– Skoro tak mówisz... to zastanów się, skąd wiem to wszystko o krzyżach? Ale może o czymś nie wiem, a ty studiowałaś religioznawstwo?

– Odwal się.

– Decyzje, decyzje, decyzje. Już czas, Miriam.

– Nie podejmujemy żadnych decyzji, nie rozumiesz? Jesteśmy pacynkami w rękach przeznaczenia.

– Pamiętaj. Krzyż: sedno, rozdroża. Tu chodzi o poświęcenie. Jezus stał przed decyzją i wybrał nie linię poziomą, ludzką drogę, ale pionową, boską.

– Doprawdy, to fascynujące, ale...

Drozdy i wrony zrywają się do lotu. Pisk, krzyk, łopot skrzydeł. Widzi jedynie kłębiącą się czerń piór. W jej stronę wyciągają się szpony i wydłubują jej oczy...

LOS DECYDUJE SAM

To jeden z tych poranków. Niebo jak morze wazeliny upstrzonej bezkształtnymi chmurami – jasnoszara, tłusta masa. Mimo to nie zanoszą się na deszcz. Ale też raczej się nie przejaśni. W ogóle, wygląda to na dzień bez żadnych perspektyw.

Miriam czuje pulsowanie w głowie.

Gałąź. Zły sen. Paskudne połączenie.

Pośrodku czoła ma wielkiego, bolesnego guza. Rozcięcie na policzku w miejscu, gdzie trafił ją pistolet Harriet, nie chce oddać palmy pierwszeństwa i na wyścigi z guzem każe jej cierpieć. Piecze, jakby do środka dostał się głodny robak i potraktował jej twarz jak jabłko.

Na dodatek nie daje o sobie zapomnieć zbita kość ogonowa.

Ale i tak najgorszy jest brak papierosów. Paczka została w torbie, która teraz była Bóg Wie Gdzie. Pewnie wpadła w ręce tej przerażającej kobiety o wyglądzie buldoga.

Miriam ziewa szeroko i uderza głową o drzwi za sobą.

Nie planowała pukać, ale to się właśnie dzieje. Momentalnie słyszy w środku jakiś ruch. Otwiera Louis, najwyraźniej całkowicie zaskoczony widokiem zmarnowanej dziewczyny siedzącej na progu jego pokoju w motelu, chwilę po świcie.

– Dzień dobry – charczy Miriam. Nawet pojedyncze słowa sprawiają jej straszny ból.

– O Boże – mówi Louis. Dziewczyna widzi jego twarz: ból, prawdopodobnie znacznie gorszy niż ten, którego sama doświadcza. Chwyta ją swoimi wielkimi rękoma i delikatnie pomaga wstać. Trzęsą jej się nogi i przez chwilę nie wie, czy zaraz znów nie wyląduje na ziemi, ale w końcu bierze głęboki oddech i w jakimś stopniu udaje się jej zapanować nad zawrotami głowy.

– Przepraszam. Nie kupiłam świeżych pączków.

– Co się stało?

Miriam gorączkowo myśli, czy powiedzieć mu prawdę. Jest prawie zdecydowana. Jakaś jej część napręża się i pęcznieje, jakby miała zaraz eksplodować jak wrzód czy pryszcz, gotów do opryskania wszystkiego swoją zawartością. Tętni ropą. Miriam chce mu zdradzić tajemnicę: powiedzieć o swoim dziwnym darze, o tym, jak go otrzymała, że widziała już jego śmierć i że to stanie się niedługo, zbyt niedługo, o Ashleyu, że nie jest jej bratem, że mało brakowało, a zostaliby zamordowani z powodu jakiejś metalowej walizki wypełnionej woreczkami z metamfetaminą... całą prawdę, aż do najmniejszego, ostatniego ziarnka. Wszystko.

Ale nie mówi. Milczy.

Dochodzi do wniosku, że ta wiedza tylko by go zraniła. Zachowałyby się samolubnie. Louis niczym sobie nie zasłużył na to, żeby go tym obarczyć, nie zasłużył na ukrzyżowanie za jej grzechy, a poza tym istniała mała szansa, żeby jej w ogóle uwierzył. Tak wiele kłamstw wyszło już z jej ust.

– To mój chłopak. – Kłam, kłam, dziewczyno. No, śmiało. – Znalazł mnie. Nie sądziłam, że mu się uda, ale to utalentowany skurwysyn. Dowiedział się, gdzie się zatrzymałam i...

Pokazała mu zmasakrowaną twarz jak aktorka prezentująca Oscara.

– Ta-dam!

Louis zaciska szczęki. Wygląda jak zamykający się zatrask na niedźwiedzie.

– Co za skurwysyn!

– Już w porządku. Urządziłam go lepiej niż on mnie. Dźgnęłam ją... sorry, dźgnęłam go, oczywiście. Boli mnie głowa i to dlatego. Dźgnęłam go nożem w nogę.

Ta wiadomość zdaje się cieszyć Louisa. Miriam kocha go za tę reakcję.

– I słusznie. Zasłużył sobie. Co z twoim bratem?

Miriam machnęła lekceważąco dłonią.

– Żałosny gówniarz. Trzymał z moim byłym. Nie chcę ich już znać.

– Bardzo dobra decyzja. Wejdz, proszę. Chodź, opatrę cię.

– Chętnie. Podbite oko. Guz na czole. Rozcięty policzek. Top modelka, co nie?

Z kranu płynie woda. Louis namoczył nią ręcznik, wycisnął nadmiar i zrobił jej okład na czoło. Miriam nie może uwierzyć, że potrafi być tak delikatny. Przy swoich gabarytach! Ma dłonie, które mogą zmiażdżyć czaszkę jak koktajlowego pomidorka. Tymczasem jego dotyk jest delikatny, czuły i spokojny – niemal uduchowiony, jak pociągnięcia pędzlem. Jakby to była dla niego twórczość.

– Niezły w tym jesteś – mówi.

– Staram się być ostrożny. Nie wiem, czy nie powinnaś mieć założonych szwów.

– Nie, żadnych szwów. Wystarczy dobrze okleić plastrami i będzie w porządku.

– Zostanie blizna.

Wzrusza ramionami.

– Blizny są sexy.

– Cieszę się, że wróciłaś.

– Nie powinnam była w ogóle odchodzić.

Louis przegryza saszetkę z jakąś maścią, wyciska trochę na szeroki palec i delikatnie nakłada jej na czoło i policzek. Jego dotyk jest przyjemny. Jest taki... normalny i jednocześnie bliski. Czuje się jak zahipnotyzowana; doświadcza oderwania umysłu od ciała.

Ale nie poddaje się chwili. Nie potrafi.

On niedługo umrze, powtarza głos w jej głowie.

Nabiera głęboko powietrza i odpowiada temu głosowi, że wie.

I to prawda. Wie, że umrze. Naprawdę wie. To wszystko jest jak cholerna kolejka górską, myśli sobie. Wszyscy są zapięci i siedzą w wagonikach. Nie da się wysiąść za wcześnie. Potem w górę, w dół, bokiem, długie zjazdy i proste. Krzyki. Gęsia skórka. Strach. Ostateczność, kiedy zestaw zwalnia, żeby się zatrzymać. Przeznaczenie opracowało wszystkie atrakcje. Przeznaczenie we wszystkim maczało swoje paluchy.

Jednak może jest coś, czego przeznaczenie nie może dotknąć? Może nie jest jeszcze postanowione, co masz myśleć o niektórych rzeczach albo, co ważniejsze, co czuć. Może przeznaczenie nie może tak łatwo kontrolować tego, jak szukasz spokoju. Miriam ma nadzieję, że to możliwe. Bo potrzebuje spokoju.

Louis umrze za dwa tygodnie, w latarni morskiej.

Tego zmienić nie może. Tam będzie musiał wysiąść z kolejki górskiej, w której już siedzi.

Może, myśli Miriam, może ona tam też wysiądzie. Bo prawda jest taka, że nie ma pojęcia, co przeznaczenie przygotowało dla niej. Nie ma dostępu do tej wizji. Może dotykać innych i widzieć ich koniec, ale nie może zrobić tego dla siebie – jej śmierć pozostaje dla niej tajemnicą. I nie dowie się, jak odejdzie, dopóki się to nie stanie. Dotychczas chciała, żeby spotkała ją gwałtowna, brutalna śmierć. Jednak teraz, czując dotyk Louisa, myśli, że chyba jednak wolałaby coś innego. Ma nadzieję, że tak będzie.

– Muszę poprosić cię o przysługę – mówi.

– Za mocno?

– Nie, jest super. Niedługo jedziesz dalej, prawda?

– Zgadza się. Ciągłe w drodze.

– Weź mnie ze sobą.

Odsuwa się od niej zaskoczony.

– Naprawdę chcesz pojechać ze mną?

Potakuje.

– Lubię cię. Chcę rzucić wszystko i odejść z tobą. Poza tym mogę być w niebezpieczeństwie. Przez byłego. I brata. Kto wie? Ty jesteś bezpieczeństwem. Lubię być bezpieczna.

Louis uśmiecha się, kiedy ona kłamie.

– Ruszamy jutro z samego rana – mówi.

Miriam całuje go w podbródek. Boli ją od tego cała twarz. Ale wytrzyma ten ból.

CZĘŚĆ TRZECIA

ŚMIERĆ RANDY'EGO HAWKINSA

Nikt tak naprawdę nie wie, kim jest Randy Hawkins, a to dlatego, że Randy Hawkins jest nikim.

To na pewno niezbyt przystojny i niezbyt atrakcyjny mężczyzna: ma świński nos, kręcone rude włosy i nosi dżinsową kurtkę o kroju modnym ze dwie dekady temu. Ma jeszcze buty na nogach, ale gdyby komuś dane było zobaczyć jego stopy, zauważyłby, że stylem nawiązują do nosa właściciela – wyglądają jak świńskie raciczki.

Jego praca to też nic szczególnego. W tej chwili jest zatrudniony w supermarkecie Giant, na stoisku z mięsem. To akurat całkiem przyzwoite zajęcie. Poprzednio pracował na kilku z rzędu stacjach benzynowych jako chłopiec od tankowania. Kiedyś myślał, że będzie mógł grać na bębnach w kapelach rockowych, koniec końców uznał jednak, że fajnie mieć perkusję, ale niekoniecznie na niej grać.

Może to się przekłada na jego podejście do życia? Jest łagodny, mimo swoich zwyczajów. Spokojny. Kiedy myśli o sobie, uważa się za wyjątkowo interesującego człowieka, jednak większość ludzi, którzy mają z nim styczność, traktuje go jak skończonego nudziarza.

Gdyby był gofrem, na pewno byłby gofrem bez bitej śmietany, cukru i innych dodatków. Zwykłym, czystym gofrem.

Co w takim razie czyni Randy'ego Hawkinsa wyjątkowym? Na tyle wyjątkowym, że ktoś postanowił powiesić go za dłonie, w chłodni z mięsem, zaraz obok zamrożonych półtuszy wołowych?

Dwie rzeczy.

Pierwsza: to jeden z jego zwyczajów, o których przed chwilą była mowa.

A druga, to ktoś, kogo zna.

Bo to jest tak: Randy bierze speed. Zazwyczaj po to, żeby nie czuć senności i móc dłużej siedzieć przed telewizorem i oglądać kreskówki i głupie filmy. Ktoś mógłby powiedzieć, że Randy boi się śmierci, a sen to dla niego stan bardzo podobny do bycia martwym – co więcej, sen to marnowanie życia, a to znaczy, że każda minuta snu przybliża go do końca. W rzeczywistości Randy nie jest w ogóle świadom swojego strachu. Z drugiej strony, kto się nie boi wielkiego finału?

Problem polega jednak na tym, że jego uzależnienie od metamfetaminy – może podświadomie wybrane po to, żeby odsunąć egzekucję – sprowadzi na niego śmierć znacznie szybciej, niż się spodziewa. Bo dealer Randy'ego zaczął podnosić ceny. Koszt działki kryształków rósł i rósł. Randy nie jest typem człowieka, który robiłby o cokolwiek awanturę i tym bardziej można było założyć, że nie ruszy w miasto aktywnie szukać nowego dostawcy...

...ale co, jeśli to nowy dealer sam by go znalazł?

Tak właśnie się stało. Niespodziewanie pojawia się ktoś zupełnie nowy. Podchodzi, mówi, że ma towar. I że chce go sprzedać za cenę, której nawet nie można nazwać obniżoną. Za towar chce mniej, niż Randy płaci wodociągom za odbiór ścieków. Ten nowy jest bardzo miły; uśmiecha się jak prezenter telewizyjny. Nawet dla Randy'ego gość jest zbyt przyjazny.

Zbyt gładki. Zupełnie, jakby sprzedawca sam korzystał ze swojego towaru. Ale co tam. Randy lubi nowe ceny.

Randy przestaje odwiedzać dotychczasowego dealera i zaprzyjaźnia się z nowym.

I na tym kończy się wyjątkowość Randy'ego.

Tak w każdym razie uważają ludzie, którzy go dopadli.

Drzwi do chłodni skrzypią niemiłosiernie, a potem stają otworem. Randy jest zaskoczony. Sapie, aż z nosa wychodzi mu zielony bąbel – oczywiście z czerwoną, krwawą domieszką. Niewiele brakuje, a miałyby też pełne spodnie.

Do środka wchodzi dwójka, która go męczyła: niska, przysadzista kobieta – Randy nic nie może poradzić na to, że uważa ją za dość atrakcyjną – i wysoki mężczyzna. Tym razem nie są sami. Przyprawdzili trzecią osobę.

Trzecią osobą jest mężczyzna o szerokich barkach, ale wyjątkowo szczupły – aż nazbyt szczupły, jak manekin do wieszania garnituru. Jeszcze dziwniej wygląda przez to, że jest całkowicie pozbawiony włosów. Też jak manekin, albo szkielet. Łysa czaszka połyskuje delikatnie. Nie ma brwi. Nie ma nawet rzęs! Każdy kawałek skóry – o bardzo niezdrowym odcieniu – jest gładki i błyszczący, jakby pokryty olejem.

– Randy Hawkins – mówi nieznajomy, ale z akcentem, który zdradza, że nie pochodzi z tych okolic, szczególnie jeśli pod pojęciem „tych okolic” rozumie się cały kontynent północnoamerykański. Możliwe, że jest Niemcem albo Polakiem. Albo pochodzi z któregoś z tych zimnych krajów Europy Północnej. Randy Hawkins nie zna określenia eurośmieć, ale gdyby je znał, z całą pewnością by go użył. Mężczyzna wskazuje palcem na Randy'ego i pyta:

– To on?

Randy chce coś powiedzieć, ale nie może, bo przeszkadza mu wepchnięta w usta, przesiąknięta krwią własna skarpetka, zabezpieczona dodatkowo taśmą izolacyjną, tak na wszelki wypadek, żeby nie wypadła.

Harriet potakuje.

– Trochę nad nim popracowałam.

Ingersoll kiwa głową, jakby się przyglądał obrazowi. Przesuwa długimi palcami po szczęce więźnia, muska zaschniętą na niej krew, a potem dotyka czoła, gdzie widać kilka poziomych kresek, nie narysowanych, tylko wyciętych nożem, jedna przy drugiej.

Podnosi głowę Randy'ego. Dostrzega przeżutą skórę na jego karku.

– Hm, to wygląda interesująco – stwierdza szczupły mężczyzna. Pociera palcami po poszarpanej, uszkodzonej skórze. – Jakaś nowa technika?

– Wykorzystałam nowe narzędzie – wyjaśnia Harriet. – Byłam w markecie budowlanym i w dziale kuchennym wybrałam kilka ciekawych fantów. To akurat zrobiłam tarką do sera. Interesujące efekty można też osiągnąć praską do czosnku. Złamałam mu tak kilka palców.

– Innowacyjne. I takie... gastronomiczne.

– Dziękuję.

Ingersoll odwraca głowę i przygląda się uważnie Frankiemu.

– A jaki był twój wkład?

– Kupiłem pączki.

Ingersoll robi nieprzyjemną minę.

– No tak.

Frankie widział to już wcześniej.

– Jest gotów. Będzie mówił – informuje Harriet. – Wiedziałam, że będziesz chciał być przy tym osobiście.

– Zgadza się. Najwyższy czas, żebym sam się zaangażował. Sprawy zaszły już za daleko.

Ingersoll wyjmuje z kieszeni niewielki worek i przykłada obok stóp Randy’ego. Przyciska twarz do wiszącej obok zmrożonej tuszy i czuje, jak ogarnia go fala chłodu. Potem otwiera worek i wysypuje jego zawartość na podłogę.

Na beton wypadają małe kości – większość wielkości kości do gry, niektóre jak długie zęby. To wszystko kości z dłoni: kości nadgarstka, przypominające tłuczeń na podjeździe, kości śródrečia jak klocki Lincoln Logs, paliczki jak smakołyki dla psów albo kawałki stelaża parasola. Wszystkie gładkie, białe, czyste.

Ingersoll nie dotyka ich. Jego palce unoszą się nad kośćmi, jakby podążając za tekstem zapisanym w elementarzu albo w Biblii. Kiwa przy tym głową i mruży niezrozumiale. Jest zadowolony. Dla większości ludzi to niezrozumiale, ale dla niego wszystko jest jasne i czytelne. Przesłanie wiadomości rzuca się w oczy jak kłębiaste białe litery zapisane przez wynajęte samoloty.

– Wspaniale – mówi, najwyraźniej zadowolony. Jednym ruchem zbiera kości do worka i całuje go z takim uczuciem, jak inni całują swoje matki.

Podnosi się i spogląda w oczy Randy’ego, czerwone i przerażone.

– Przestałeś kupować nasz towar – mówi Ingersoll. Oblizuje wargi i potrząsa głową. – Wielka szkoda. Myślałem dotychczas, że oferujemy świetny produkt za przystępną cenę. Ale jest dla ciebie jeszcze szansa. Możesz się wybronić. Powiesz mi na ucho, kto jest twoim nowym sprzedawcą. Jeśli zadowolili mnie twoja odpowiedź, jeśli dostanę informację,

której szukam, oszczędzę ci życie, a odbiorę jedynie jedną z twoich dłoni.
Rozumiemy się?

Przeciągły jęk zza przesiąkniętej krwią skarpetki. Randy potakuje.

Ingersoll uśmiecha się, łapie delikatnie skarpetkę palcem wskazującym i kciukiem, wyciąga ją i przysuwa ucho do jego ust.

– Mów – rozkazuje, a Randy niczego nie ukrywa.

Na zewnątrz chłodni Ingersoll wyciera się ręcznikiem.

Biały materiał podany mu przez Harriet szybko zmienia kolor na czerwony.

Potem Ingersoll przekazuje jej plastikową torebkę. W środku znajdują się dwie dłonie, obcięte na wysokości nadgarstków.

– Wygotuj je – poleca. – Trzymaj tak długo na ogniu, aż mięso zmięknie i oddzieli się od kości. Jak *ossobuco*. Kiedy mięso odejdzie i zostaną ci same kości. Wybiel i oczyść w dymie z szaławii. A potem mi je przynieś. Sprawdzę, czy któraś – jeśli w ogóle – jest przeznaczona do mojego mieszkania.

Harriet potakuje i odbiera torebkę. Frankie ma minę, jakby napił się żółci.

– Ty – Ingersoll celuje palcem w jego mostek. Palec Ingersolla jest cienki i delikatny jak noga patyczaka, a jednak Frankie ma wrażenie, że zaraz może go przebić na wylot. – Pozbądź się ciała.

Frankie potakuje i przełyka głośno kluchę, która mogła być początkiem wymiotów.

– Wiemy już, gdzie mieszka Ashley Gaynes – mówi Ingersoll.

Ale wie też, że Ashley Gaynes to nagroda pocieszenia, niewarta zbytnej uwagi. Teraz gra toczy się o dziewczynę. To jej chce. Sięga do

kieszeni i delikatnie przesuwa palcami po drucie łączącym kartki pamiętnika Miriam.

Ma kilka pytań, które koniecznie musi jej zadać.

WYWIAD

Mija dłuższa chwila, zanim Miriam jest gotowa, by mówić dalej. Paul milczy. Waha się i myśli, czy jakimś nieostrożnym ruchem nie zniszczy wszystkiego. Nie chce zerwać delikatnej nitki, na której wisi miecz kołyszący się nad szyją dziewczyny.

– Zaszłam w ciążę – mówi w końcu Miriam.

Paul mruga zaskoczony.

– Kto?

– Z kim. Nie kto, ale z kim zaszłam w ciążę. Uczysz się w college’u, powinieneś wiedzieć takie rzeczy. Z Benem.

– Z Benem? – chłopak jest zdezorientowany.

– Zgadza się. Z Benem. No wiesz przecież, mówiłam ci o nim, prawda? Ten, który się zastrzelił. Ten, z którym uprawiałam seks. Wybacz, ale czy ja mówiłam do ciebie, czy dopiero tu przyszedłeś? Wiem, że czasem trochę płaczę, ale żeby aż tak?

– Nie, to nie to, wybacz... Myślałem tylko, że on nie żyje... więc jak mógłby...

Miriam prycha. W tej chwili jest w trzech czwartych pijana.

– O rany, nie mówię przecież o seksie z zombie; Ben nie wyszedł z grobu, żeby wypełnić moje żywe ciało swoim zombiastym nasieniem. Uprawialiśmy wtedy seks, tylko raz, ale widać to wystarczyło, bo skutkiem była moja ciąża. To się nazywa kolej rzeczy, wiesz, przyroda, cykl życia, Paul.

– No tak, racja. Przepraszam. Już wszystko rozumiem.

– Nie przepraszaj, nie masz za co. Wróciłam tamtej nocy do domu w eskorcie policji, a moja mama już wiedziała, co się wydarzyło. Kolejne tygodnie po tamtym wieczorze i po samobójstwie Bena spędzałam jak w klasztorze, zamknięta w pokoju, z Biblią w dłoniach. Do dzisiaj jestem zaskoczona, że nie przykleiła mi jej do skóry. Znalazła wszystkie komiksy, które trzymałam w tajnej skrytce pod podłogą. Znalazła płyty CD i wszystko zabrała. Gdyby mogła, w imię Pana, zaszyłaby mi pochwę.

– Kiedy się zorientowałaś?

Miriam mruży oczy i myśli.

– Poranne nudności zaczęły się... bo ja wiem... niecałe dwa miesiące po tym, jak doszło między nami do zbliżenia. Chyba tak. Obudziłam się rankiem i zwróciłam kolację z poprzedniego dnia. Zjadłam śniadanie i też je zwróciłam. Wiedziałam wtedy, co to, bo panicznie się tego bałam. Moja matka jest wielką fanką konsekwencji i ciągle podkreśla, że złe uczynki spotkają się z zasłużoną karą. Wiesz, z niedobrego owocu musi wyrosnąć trujące drzewo. Jesz za dużo? Super, dostaniesz raka żołądka. Co to? Nie możesz przestać ruchać panienek? Ups, syfilis już czeka, żeby zniszczyć ci wacka. Powodzenia!

– Dość dziwaczne podejście, jakby wierzyła w karmę.

– Aha. Gdybyś jej to powiedział, podciąłaby sobie gardło. – Miriam udaje, że przeciąga ostrzem noża po szyi. – Zabić heretyczkę!

– No dobrze, a jak zareagowała na twoją ciążę?

– Ukrywałam ten fakt tak długo, jak się tylko dało. Z początku tłumaczyłam, że po prostu tyję, ale łatwo było mnie przejrzeć, bo prawie nic nie jadłam. Ledwie wystarczało na jedną osobę, a ja przecież musiałam wykarmić dwie. Brzuch mi rósł, a reszta chudła. Koniec końców,

wyglądałam jak jedno z tych biednych głodujących dzieci z Afryki, które pokazują w telewizji, z muchami i wzdętymi brzuskami.

– Czyli dowiedziała się.

– Dowiedziała.

– I... i co? Co zrobiła? Wyrzuciła cię z domu? Z tego co mówisz, nie była najprzyjemniejszą matką.

Miriam nabrała głęboko powietrza.

– Nie. Zrobiła coś... coś zupełnie odwrotnego. Zmieniła się. Nie, żeby zaraz zrobiła się słodką, kochającą mamusią, ale naprawdę się zmieniła. Stała się bardziej opiekuńcza. Przestała mnie wyzywać i winić za wszystko. Zdarzało jej się wejść do mnie do pokoju, sprawdzić, jak się czuję i czy czegoś nie potrzebuję... Chryste, nawet przygotowywała mi jedzenie, które lubię. To było dziwne. Teraz sobie myślę, że zrozumiała, że jak raz otworzyło się puszkę Pandory, nie właduje się do niej robaków z powrotem. Przez cały czas robiła wszystko, żeby uchronić mnie przed popełnieniem pomyłki, a ja zachowałam się po swojemu i i tak ją popełniłam. Poza tym możliwe, że naprawdę chciała mieć wnuki. Czasem sobie myślę, że może powtórzyłam scenariusz, wedle którego ja się znalazłam na świecie. Może zachowałam się tak, jak ona kiedyś, a ona próbowała mnie przed tym uchronić. Ale i tak nigdy się nie dowiem.

– Tylko... – Paul patrzy na nią. – Tylko że ty przecież nie masz dziecka.

– Żartujesz? Pewnie, że mam. Od początku naszej rozmowy stoi za twoim krzesłem. Nie widzisz go?

Paul natychmiast się rozejrzał.

– O rany, Paul, aleś ty łatwowierny. – Miriam kręci głową. – Nie, nie mam dziecka.

– Co się stało? Jak straciłaś... – Piiip, piiip, piiip. Dzwoni zegarek Paula. Podnosi rękę i spogląda na nadgarstek. Miriam widzi, że nosi staromodny zegarek z kalkulatorem.

– Nie sądziłam, że ktokolwiek jeszcze takich używa – mówi.

– Jak go wybierałem, to uważałem, że to ma w sobie coś ironicznego – wyjaśnia chłopak. – Szybko się okazało, że jest bardzo wygodny. Po co ci palmtop, skoro możesz używać genialnego zegarka z kalkulatorem? No i nie bez znaczenia była jego cena. Pięć dolców. Tyle co nic.

– Oszczędny i praktyczny gość z kultowym zegarkiem z kalkulatorem. Nieźle. A co to za alarm? Randka z jakąś laską?

– Tak – mruczy zamyślony, a potem gwałtownie potrząsa głową. – Hm, to znaczy nie, to nie jest żadna randka. Muszę się pojawić u mamy na obiedzie i wyjaśnić po raz setny, dlaczego wybrałem college bliżej domu taty niż jej, mimo że różnica wynosi raptem z dziesięć mil.

– Zapowiada się niezła zabawa. – Miriam uśmiecha się.

– Niezupełnie. Pociągniemy to jutro do końca?

– Jutro – kłamie dziewczyna. – Ten sam czas, to samo miejsce.

Paul wyłącza dyktafon i chowa go do kieszeni. Potem macha jej niezgrabnie na pożegnanie i zostawia ją samą.

Miriam czeka. Ale niedługo. Może pół minuty.

Rusza za nim.

WRÓŻKA

Cały pulpet znika w jej ustach.

– Wciąż nie mogę wyjść z podziwu – mówi Louis, przyglądając jej się z miną, jakby przyłapał boa dusiciela na połykaniu kota sąsiadów.

– Dlaczego? – pyta Miriam z policzkami wypchanymi jak u chomika.

– Patrzę, jak jesz. Wiem, widzę to codziennie, ale za każdym razem to niesamowite przeżycie.

– Mm – mruczy zadowolona, przełykając pogryzioną kulę mięsa. – Chyba nie ma nic złego w tym, że dziewczyna lubi wtrząchnąć uczciwą porcję spaghetti, co?

Louis mruga.

– Chyba że jest dopiero dziesiąta rano.

– Nie moja wina, że tutaj przez cały dzień serwują obiady.

– Jak to możliwe, że jesteś taka szczupła?

Miriam uśmiecha się, sięga przez stół i kładzie dłoń na jego dłoni.

– Szukasz porad, jak zachować urodę?

Nie cofa dłoni, ale nie czuje się swobodnie. Od czasu tamtej nocy w motelu zachowuje się trochę niepewnie. Szuka potwierdzenia. Chce jej. Ale jednocześnie czegoś się boi. A może, zastanawia się Miriam, to ona się boi? Louis to wyczuwa i mamy problem.

Jeszcze do niczego między nimi nie doszło. Nie było zbliżenia. Nie było szybkiego misjonarza. Nie było wspinaczki na Kilimandżaro. Miriam nie wie, dlaczego. Poprzednio niewiele brakowało, a zajeździłaby go na śmierć. Co się dzieje, że teraz taka cisza? Dla niej to przecież normalka. Zawsze tak robi.

Louis jest inny. Chociaż może to ona jest inna. Za każdym razem, kiedy przychodzi jej to do głowy, odpycha tę myśl jak najdalej od siebie. Boi się, że sprawdzanie i eksperymentowanie wszystko zniszczy. Jakby cokolwiek mogło się jeszcze udać.

– Mam metabolizm królika na koce – wyjaśnia. – Zawsze tak było. Mogę jeść, cokolwiek zechcę i o każdej porze, a moje ciało spali wszystko jak papier.

– Niektóre kobiety zabiłyby cię z zazdrości.

– Niektóre kobiety są głupie jak osiołki.

Louis zanosi się śmiechem.

– Skoro tak.

To właśnie jeden z tych momentów, które sprawiają jej przyjemność, chwila, którą warto zatrzymać i zapamiętać. Większość mężczyzn, których napotkała w życiu – niech to diabli, chyba każdy jeden, którego droga przecięła się z jej drogą – wzięłby te słowa za przygrywkę do błyskotliwej wymiany zdań i sam odparowałby czymś równie dowcipnym. To wywołałoby prawdziwą partię złośliwego badmintona, gdzie popisy elokwencji i niesmaczne żarty byłyby odbijane w nieskończoność, jakby jedno drugiemu chciało trafić w oko. Louis natomiast wszystko przyjmuje. Absorbuje. Uśmiecha się. Śmieje. Nie karmi jej energii. Emanuje jakimś uspokajającym *tai-chi*, jakimś zen neutralizującym jej agresywnego ducha

rywalizacji, dzięki czemu ten duch nie zmienia się w paskudną bestię, lecz rozpływa w chmurze dymu.

Miriam powstrzymuje się, żeby nie beknąć, i przyciska pięść do ust. Odsuwa od siebie talerz i uśmiecha się szeroko.

– Dobra, wielkoludzie, dokąd zmierzamy? I gdzie właściwie jesteśmy? Jakoś nie uważałam na to, co się dzieje, i straciłam orientację.

Są już w drodze od ponad tygodnia. Od ośmiu dni. Przewozili ładunek – naczepę puszek z farbą – z Karoliny Północnej do Maryland, drogie meble – z Maryland do Delaware, a teraz zmierzają z Delaware, znowu z farbami, do... no właśnie, do jakiejś miejscowości w Ohio? Tak, to musi być Ohio. Wszędzie płasko. Pusto. Drzewa. Droga. Nuda.

– Blanchester, Ohio – potwierdza Louis, sięga do kieszeni i wyjmuje mapę, a potem rozkłada ją na stole. Wskazuje na jakiś punkt na niej. – Czterdzieści, może pięćdziesiąt mil od Cincinatti.

– Blaaaaanchester – mówi Miriam, przeciągając pierwszą samogłoskę jak zombie z ustami zaklejonymi świeżym mózgiem. – Chester Molester, prosto z Blaaaaanchester.

– Jesteś bardzo... hmm... specyficzna.

– I lepiej się do tego przyzwyczaj, wielkoludzie. Taka już jestem, mówię prawdę.

Pochyliła się nad stołem i całuje go. Nie uprawiali jeszcze seksu – nie – ale całują się. Ona całuje jego. Zupełnie nie w jej stylu. Zazwyczaj nie całuje mężczyzn, których spotyka na drodze. Mężczyźni mają paskudny zwyczaj wpychania swoich oślizgłych jak wąż ozorów prosto w jej usta, a ona myśli wtedy tylko o tym, żeby odgryźć to ohydztwo zaraz u nasady.

– Twoja prawda jest całkiem słodka.

– Mam pięć z dwoma plusami z ludzkiej anatomii i wychowania seksualnego.

Kiedy się od niego odsuwa, wygląda przez okno. Po drugiej stronie ulicy stoi zaparkowany pickup. Niewinna półciężarówka, nic podejrzanego, nie włącza żadnych alarmów. Ale po chwili kierowca uruchamia silnik i odjeżdża.

A co jest za samochodem? Miriam widzi przez okno włączony neon.

Wróżka. Medium. Czytanie z dłoni. Tarot.

Louis wyjmując z kieszeni kilka banknotów i rzuca je na stół razem z sowitym napiwkiem – ale Miriam nie odrywa oczu od punktu za szybą. Już od dawna o tym myślała, ale nigdy nie miała dość odwagi, żeby spróbować.

– Poczekaj na mnie – mówi i wstaje.

– Idziesz do łazienki?

Potrząsa głową.

– Nie. Do wróżki, tam, naprzeciwno. Zawsze chciałam zobaczyć, jak to jest.

– Poczekaj, pójdziemy razem.

– Nie. Zostań tutaj. To przecież... prywatna sprawa.

Widzi jego uważny wzrok. Myśli i chce zrozumieć. Od początku stara się ułożyć ją jak puzzle i cokolwiek dostrzeć, jak ktoś, kto bez końca wpatruje się w barwne obrazki, by w końcu zobaczyć ukryty w nich kształt. I jak zawsze, poddaje się. Żadnych wyłaniających się z burzy kolorów delfinów, łodzi czy innych kształtów. Może po prostu jeszcze nie.

– W porządku – mówi, a w jego ręce pojawia się koperta z pieniędzmi. Ashley miał rację, Louis trzyma w ciężarówce kilkanaście takich kopert. Śmieje się, że to oszczędności życia. Wyjmuje z niej trzy dwudziestki i podaje jej. – To chociaż pozwól za to zapłacić.

Miriam nie ma złudzeń. Te pieniądze palą ją żywym ogniem, jakby były skąpane w jego krwi. Spogląda na nie i przez chwilę zamiast twarzy Andrew Jacksona widzi oblicze Louisa, z wyłupanymi oczyma i powiekami zaklejonymi czarnymi iksami taśmy izolacyjnej.

Nic nie mówi.

Uśmiecha się słabo.

Wychodzi.

Miriam wie, czego się spodziewać, ale to nie to. Spodziewa się newage'owskiej kolorystyki i pseudookultystycznych utensyliów, kryształowych kul, fioletowych frędzelków, dzwonków, ferii jaskrawych barw kaleczących oczy i grubego kota na poduszce. Kiedy wchodzi do środka, wita ją światło jarzeniówki i pomieszczenie przypominające sklep z rękodziełem. Na brązowych półkach leżą bandany, czapki dla dzieci i zwoje włóczki. I nie ma kota. Jest za to grubaśny bigiel. Pies leży pod stołem i chrapie. Wygląda, jakby miał wzdęcie.

Kobieta przy stole nie jest cygańską naciągaczką. Bardziej przypomina osobę zaufania publicznego. Cholera, jak szefowa przykościelnego kiermaszu wypieków. Błękitny sweterek zapinany z przodu. Lekko rude włosy. Okulary zsunięte na czubek nosa.

– Ale będzie ściema – woła Miriam od progu.

Kobieta podnosi głowę i spogląda na nią chłodno.

– Mogę pani jakoś pomóc?

– Myślałam... myślałam, że to gabinet wróżki-medium. Przepraszam, pomyliłam wejścia. – Odwraca się, żeby wyjść.

– Dobrze pani trafiła. Jestem Nancy – mówi kobieta.

– Pani Nancy, dziergające medium?

– Robię na drutach i szydełkuję, zgadza się. Kobieta musi zarabiać na różne sposoby.

Miriam wzrusza ramionami.

– Święte słowa, siostrze. Mogę usiąść?

– Proszę bardzo. Niech pani siada.

Miriam nie każe sobie dwa razy powtarzać. Kładzie dłoń na stole i zaczyna stukać palcami.

– Dobra, co teraz? Co robimy? I ile wybulę za tę ściemę?

– Opłata to czterdzieści dolarów, ale zapewniam panią, że to nie jest ściema, jak pani to nazwała. – Kobieta mówi trochę urażonym tonem. Pali albo paliła, myśli Miriam, i to sprawia, że ma wielką ochotę na papierosa – od kiedy podróżuje z Louisem, przerwy między papierosami robią się coraz dłuższe.

– Weź, kobieto, nie pierdol. Ściema i tyle.

– Proszę nie używać takiego języka.

Miriam słyszy w jej słowach głos swojej matki. Potakuje.

– Przepraszam.

– To, co robię, to prawda. Otacza nas wymiar duchowy. On istnieje.

– Wiem, że istnieje.

– Doprawdy?

– Też mam takie zdolności. Powinnam chyba uprzedzić, co?

Kobieta cmoka językiem.

– Gdyby naprawdę miała pani takie zdolności, wiedziałaby pani, że to nie działa w ten sposób i nigdy nie jest proste.

– Świetna zagrywka. Świetna. Niech będzie, oto czterdzieści dolców.

Miriam kładzie na stole dwa banknoty.

– Jeśli jest pani naprawdę taka dobra w te klocki, kupię potem jakąś czapkę albo pokrowiec na popielniczkę.

Nancy podnosi pieniądze i z lekkim zaskoczeniem chowa je w swetrze, pod obfitym kołnierzem, a dokładniej rzecz biorąc w ukrytym pod nim dekolcie.

– Czego sobie pani życzy w takim razie? Tarot? Czytanie z dłoni? Zazwyczaj czytam przyszłość z fusów po herbacie.

– Ja czytam tylko w denkach kieliszków do szotów. A z wymienionej listy wolałabym niczego nie wybierać.

Nancy jest zaskoczona.

– O rany, też wiem, jak to działa. – Miriam wzrusza ramionami. – Mówiłam przecież. Nancy, przecież nie potrzebuje pani tych rekwizytów, prawda? To, co pani wyczyta, to pewnie nie jest ściema, ale za to te dodatki jak karty czy czytanie, to rekwizyty teatralne. Kolorowe karty? Przyszłość zapisana wewnątrz mojej pięknej dłoni? Przecież wszystko, czego pani potrzeba, to muśnięcie nagiej skóry. Jeden krótki dotyk. Mam rację?

Miriam nie wie, czy trafiła. Działa całkowicie po omacku, bo nigdy jeszcze nie spotkała nikogo, kto by utrzymywał, że jest prawdziwym medium. Ale wie, jak działa jej dar, i wysnuwa z tego wniosek, że przeznaczenie ma swoje zasady, które dla wszystkich muszą być podobne – wymaga od swoich podwładnych określonych zachowań. A to oznacza, że pani Nancy musi przestrzegać tych samych reguł.

Słysząc przeciąganie się psa pod stołem. Potem zwierzak puszcza gazy.

– Zgadza się – mówi w końcu Nancy. I uśmiecha z przymusem. Otwiera dłoń i stuka w nią palcem drugiej. – Połóż tu rękę.

– Tylko musi być pani ze mną szczerą. Chcę wiedzieć o wszystkim, co pani zobaczy.

- Będę, złotko. Przysięgam.
- I bez pierdol... ekhm, bez ściemniania.
- Niech pani po prostu poda mi dłoń.

Miriam wyciąga rękę.

Nancy ma ciepłą skórę. Miriam czuje za to chłód.

Siedzą przez kilka chwil nieruchomo. Panuje cisza. Nagle Miriam uświadamia sobie, że nie widzi śmierci Nancy. Był dotyk, a nie ma wizji. Nie widzi jej końca. Nie widzi śmierci. Zupełnie, jakby ta kobieta była wolnym duchem, całkowicie niezależnym od przeznaczenia, czasu i...

Dłoń Nancy zamyka się nagle jak wnyki wokół dłoni Miriam.

- Ups, hej... – zaczyna Miriam.

Uścisk robi się coraz mocniejszy. Kark kobiety napina się, aż widać na nim żyły i mięśnie. Miriam stara się wyrwać dłoń, ale nie potrafi. Nancy gwałtownie podnosi powieki. Białka jej oczu są oplecione pajęczyną popękanych naczyń krwionośnych. Zaciska zęby z taką siłą, że Miriam boi się, żeby nie popękały.

Jeszcze raz usiłuje wyrwać dłoń, ale nie może – ma wrażenie, jakby była uwięziona w imadle. A dłoń Nancy robi się coraz cieplejsza i gorętsza, jakby kobieta miała zaraz spłonąć.

Z nosa Nancy zaczyna kapać krew. Krople spadają na skórę Miriam. Dziewczyna ma nadzieję, że krew zadziała jak smar i ułatwi jej oswobodzenie się z uścisku. Niestety.

Nancy zaczyna jęczeć. Nagle prostuje głowę.

Pies pod stołem jęczy razem z nią.

– Chryste – mruczy Miriam. Jest szczerze przerażona. Czy to wszystko przez nią? Czy to możliwe, żeby Nancy przez przypadek akurat teraz pękł

tętniak aorty? Wolną dłonią łapie za stół i pcha z całej siły. Krawędź stolika uderza Nancy w brzuch. Kobieta stęka.

Potem rozwiera palce i puszcza Miriam. Dziewczyna wyrywa rękę. Skóra na niej jest czerwona i niemal widać pojawiające się guzy.

Nancy źle wygląda. Pot ścieka jej po twarzy. Oblizuje usta i sięga po chusteczkę, żeby zetrzeć krew. Ma całkowicie czerwone oczy.

Miriam pyta słabym głosem:

– Pani Nancy? Wszystko w porządku?

– Czym ty jesteś? – syczy kobieta.

– Słucham? Nie rozumiem?

– Masz w sobie coś martwego. Coś czarnego, głębokiego i drżącego, co krzyczy jak dziecko, które straciło matkę. Jesteś posłańcem śmierci. Jej prawą ręką. Jesteś jej mechanizmem. Słyszę obracające się koła zębate, słyszę ich cykanie. – Nancy wsuwa rękę pod sweter i wyciąga dwa banknoty. Mnie je w dłoni i rzuca w kierunku dziewczyny. – Weź to. Nie chcę twoich zakrwawionych pieniędzy. Śmierć idzie twoimi śladami, a ty masz w sercu i głowie jakiegoś potwora – tam coś jest! Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Wynoś się stąd.

– Zaraz – zaczyna Miriam błagalnym tonem. – Nie! Proszę poczekać! Proszę pomóc mi zrozumieć, jak to zatrzymać! Jak się uwolnić i...

– Wynoś się! – krzyczy Nancy. Bigiel zaczyna ujadać pod stołem.

Miriam wstaje i wycofuje się w kierunku drzwi.

– Proszę...

– Odejdź.

Napiera ramieniem na szybę i wycofuje się na dwór. Kręci jej się w głowie.

Miriam spędza piętnaście minut w przejściu obok pralni chemicznej, kilkanaście kroków od gabinetu wróżki. Cała się trzęsie. Myśli.

Potem bierze się w garść i wraca do restauracji.

– I co, przepowiedziała ci przyszłość? – pyta Louis.

Miriam zmusza się do uśmiechu.

– Ściema i wyłudzenie pieniędzy. Nie powiedziała mi niczego, czego sama bym wcześniej nie wiedziała. To jak, ruszamy?

ŚLEPA ULICZKA

Smród jest dla Harriet zaskoczeniem. To zapach świeżo skoszonej trawy. Równie dobrze mogła to być woń rozkładającego się ciała, wciśniętych w studzienkę odpływową zwłok, które przez kilka dni przez nikogo nieruszane stają się domem dla bakterii i grzybów. Dla niej skoszony trawnik cuchnie rozkładem. To zapach stagnacji. Odruchowo napina mięśnie.

Z tylnego siedzenia chevroleta escalade, bo obecność szefa nakazuje zmianę prostego oldsmobila na coś szlachetniejszego, to oczywiste, Ingersoll widzi, jak spinają jej się plecy.

– Harriet, to takie okolice jak twoje – mówi.

– Zgadza się – potwierdza kobieta. Ma przed sobą świat pozbawiony emocji i życia.

Dookoła klockowate, identyczne podmiejskie domy. Lampki solarne, clematis na skrzynkach pocztowych, pastelowe sidingi, białe rynny.

Ma ochotę podkładać ogień pod każdy kolejny dom. Chce widzieć, jak wszystkie płoną i zmieniają się w popiół.

– Chyba skręć tutaj – mówi Frankie, a potem tego nie robi. – Kurwa, to nie tu. Nie. O, to tu. Dobrze, jesteśmy. Kurwa, nienawidzę tych alejek.

Wszystkie identyczne. Trawniczki, srawniczki. Wytnij, wklej, kurwa, brak polotu.

Harriet widzi, że spogląda na nią przed, w czasie i po skręcie.

– On nie wie – mówi Ingersoll.

– On kto? – pyta Frankie. – On ja?

Harriet poprawia się na fotelu. Jest nieswoja.

– Nie, nie wie.

– Od jak dawna pracujecie razem? – pyta Ingersoll.

Frankie musi policzyć w pamięci. Harriet nie.

– Dwa lata i trzy miesiące.

– Czego nie wiem? – powtarza Frankie.

– Niczego – odpowiada Harriet.

– Wszystkiego – wtóruje jej Ingersoll.

– Powiedzcie mi – mówi Frankie. – Chcę wiedzieć. Wy wiecie o mnie wszystko. Jestem dla was jak otwarta księga. Nie mam przed wami tajemnic.

– Powiesz mu? – pyta Ingersoll, kiedy samochód skręca w ślepią uliczkę, wzdłuż której wyrastają identyczne podmiejskie domy. Frankie spogląda na partnerkę.

Ona to czuje.

Dziwne, biorąc pod uwagę, że Harriet bardzo rzadko cokolwiek czuje. Czy sprawia jej to przyjemność tylko dlatego, że wywołuje w niej jakiś ruch? Czy torturowanie samej siebie jest równie przyjemne, jak zadawanie bólu innym?

Decyduje, że nie odpowie na pytanie Ingersolla.

– Jesteśmy na miejscu – mówi i wysiada z samochodu.

– Nie zabija ich? – pyta Ingersoll, przesuając palcami po kopertach w zabawnym stojaku na pocztę w przedpokoju.

– Nie – potwierdza Harriet. – Ashley Gaynes jest wyłudzcą i oszustem. W ten sposób okrada ludzi.

Frankie krzyczy coś z innego pomieszczenia. Z gabinetu.

– Nikogo tu nie ma. Zdążył zwać.

Ingersoll potakuje.

– Nie jestem zaskoczony. Ale na pewno zostawił jakiś ślad. Coś potwierdzającego, że tu był. A co ważniejsze, coś, co pomoże nam znaleźć dziewczynę. Znajdźcie to. A ja tu poczekam, aż będziecie to mieli.

Idzie do kuchni i siada przy śniadaniowym barku. Składa dłonie, prostuje się i w absolutnej ciszy czeka.

Harriet i Frankie wracają do poszukiwań.

Dom – ulica Sycamore tysiąc czterysta pięćdziesiąt w Doylestown, Pensylwania, na przedmieściach Filadelfii, należy do Dana i Muriel Stine.

Dan jest zapalonym wędkarzem, interesuje się rynkiem akcji i niezależnie od konserwatywnych przekonań cały czas darzy estymą wielkie zespoły rockowe z lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku: Poison, Mötley Crüe, Warrant czy Winger.

Muriel również gra na giełdzie, ale własnymi pieniędzmi i z własnego konta maklerskiego. Poza tym w domu nie ma o niej zbyt wielu informacji. Być może to przez rozwód, który miał miejsce pół roku wcześniej. Dan i Muriel mają córkę, ośmioletnią Rebeccę. W gabinecie Frankie znajduje papiery.

– Dan wciąż tu mieszka – mówi Harriet. – Muriel przeprowadziła się w lepszą okolicę.

– To miejsce naprawdę cię wkurza – zauważa Frankie.

- Wcale nie.
- Kłamiesz.
- Szukaj dalej. Ingersoll chce czegoś wartościowego. Informacji.

Modus operandi Ashleya Gaynesa nie polega na przejmowaniu domów oszustwem. Wypracował sobie metodę, dzięki której ludzie mówią mu, gdzie mieszkają. Spotyka ich na różnych konwencjach, w barach czy restauracjach. Pracują. Są daleko od swoich domów. Ashley jedzie na miejsce, włamuje się i mieszka tam do powrotu właścicieli. To jego trik. Z jednej strony to bajecznie proste. Z drugiej zbyt proste. Ashley prawdopodobnie uważa się za większego specjalistę, niż jest w rzeczywistości.

Harriet nie może znaleźć informacji, gdzie przebywa Dan, właściciel lokalnego sklepu sportowego. Może pojechał w odwiedziny do kochanki? Może sprawdza w fabrykach, jak są produkowane rzeczy, które sprzedaje? Harriet ma to gdzieś. Dom traktuje prawie jak miejsce zbrodni, ale nie szuka jego odcisków palców, tylko kogoś innego.

Harriet decyduje, że pora iść sprawdzić pokoje na piętrze.

W połowie drogi na górę zaczyna czuć.

Rozkład.

Tym razem prawdziwy rozkład. Zgnilizna. Nie w przerośni.

Woła Frankiego. Jak psy zaczynają węszyć.

Główna łazienka na drugim piętrze.

Kabina prysznicowa jest zamknięta. Kłapa na klozecie opuszczona. Na niej leży niewielka szklana rurka rozszerzająca się na jednym końcu. Jest opalona, jakby ktoś trzymał ją nad ogniem. W pomieszczeniu panuje smród nie do wytrzymania.

– Kurwa, nie żyje! – mamrocze Frankie, zasłaniając usta i nos rękawem. Harriet nie zwraca na to uwagi. Zapach jej nie przeszkadza. Jest inny niż zapach skoszonej trawy. Albo woń potpourri. Albo pieczonego indyka. – Skurwysyn zaczął brać własny towar i się przekreślił. Kurwa. Niech to diabli.

Pod prysznicem widać jakiś cień. Harriet zagląda do środka.

W brodziku leżą zwłoki. Na głowie plastikowa torba. Wewnątrz widać zaschniętą krew, głównie w okolicach potylicy.

Frankie mruga.

– Ktoś go załatwił.

– To nie on – poprawia go kobieta. – To Dan Stine.

– Skąd wiesz...?

– Wiem. I tyle. – Wstrzymuje oddech, a potem ściąga plastikową torbę z głowy denata. Ma strzaskaną potylicę. – Gaynes walnął go czymś. Rurą? Łomem? Może kijem do bejsbola. Nie widzę tutaj krwi, więc pewnie zrobił to na dole. Albo na dworze. A potem przytachał go tutaj, żeby dokończyć. Stąd plastikowa torba. Stine był ogłuszony, więc go udusił pod prysznicem. Albo przyniósł tu ciało, gdy było po wszystkim.

Podnosi się.

– Teraz Ashley Gaynes jest już mordercą.

– No dalej – mówi Frankie, stając w połowie schodów. – Powiedz mi. Chcę wiedzieć.

– Nie.

– Jesteśmy tu sami, odwalamy całą robotę. Ingersoll jest na dole. Nie wiem, co robi. Pewnie czeka na instrukcje od samego szatana.

– Ingersoll nie przyjmuje poleceń od nikogo – zaprzecza Harriet.

– Niech będzie. Mówię tylko, że możesz mi wyjaśnić w końcu, o co chodzi. Nie musisz tego robić w jego obecności. On tego chce. On chce zobaczyć, co się będzie działo. Lubi wszystkim kręcić, prowokować, przyglądać się efektom. Więc słucham, o co wam chodziło. Czekam. Tu i teraz. Nie musi mieć tej satysfakcji.

Harriet wpatruje się w niego nieruchomym wzrokiem.

– Nie zauważyłaś jeszcze, że Ingersoll wygląda jak modliszka? – pyta Frankie.

Harriet przeciska się obok niego i schodzi na parter.

– Ashley Gaynes poszedł po całości. – Kiedy Frankie schodzi do kuchni, Harriet tłumaczy Ingersollowi, czego dowiedzieli się na drugim piętrze.

– Czyli? – pyta Ingersoll, spokojnie bębniąc palcami po okładce jakiegoś magazynu wędkarskiego.

– Zaczął brać swój produkt, zgodnie z tym, co sugerował Hawkins. A poza tym przestał być zwykłym naciągaczem. Teraz morduje ludzi i przejmuje ich domy.

– Dość dramatyczna zmiana. I nieciekawa, w każdym razie w jego przypadku.

– Zgadza się.

– Ale to dobrze. Dobrze dla niego. Jakieś wieści o dziewczynie?

Harriet waha się przez chwilę, a potem potrząsa głową.

– Nie.

– Wiecie, dokąd mogą jechać?

– Nie.

– Zatem nie znaleźliście niczego wartościowego.

Frankie wzrusza ramionami. Harriet milczy.

Na twarzy Ingersolla pojawia się oszczędny uśmiech. Przez brak brwi bardzo trudno ocenić, czy chodzi o rozbawienie, czy sarkazm.

Ze stojaka wyjmuje jedną chusteczkę jednorazową i kładzie na okładce magazynu wędkarskiego, a potem delikatnie przesuwa po niej ołówkiem, trzymając go bardzo płasko. Jak dziecko pokazujące swoją pierwszą pracę na plastyce, unosi papier w górę i pokazuje Harriet i Frankiemu. Na zarysowanym polu widać nazwę firmy spedycyjnej i numer telefonu.

Harriet czyta na głos.

Trzysta dwadzieścia jeden Trucking, a potem numer.

– Nie rozumiem – mówi Frankie.

Ingersoll wstaje.

– Znalazłem jedyną przydatną nam informację, na jaką można było trafić w tym domu, nawet nie wstając od stołu.

– I dlatego jesteś szefem. – Frankie wzrusza ramionami. Harriet słyszy wściekłość w jego głosie.

Ingersoll podaje jej chusteczkę.

– Zadzwoń do nich. W ten sposób trafimy do niego, a potem, jak po nitce do kłębka, znajdziemy tę bardzo specjalną dziewczynę. Nie traćmy czasu, moi drodzy. Ruszajmy.

SEN

Siusia.

To nie jest niezwykle, bo chodzi na stronę mniej więcej co pół godziny, przez małe stópki, które skaczą po jej pęcherzu, jakby dzieciaczek tańczył jakiś irlandzki taniec. Lekarz powiedział, że nacisk zelżeje w drugim trymestrze, ale matka wyjaśniała, że to kłamstwo. A matka ma zawsze rację. Zatem to kłamstwo.

Miriam spogląda w górę. Ktoś wyrzezał dla niej wiadomość na ścianie. Dziwaczne, bo dziewczyny w tych okolicach zachowują się raczej dziewczęco i nikt nie chodzi i nie wycina niczego na ścianach toalety. Może czasem napiszą długopisem jakieś miłosne wyznanie, coś jak „kocham Mike’a”, ale to przecież można zmyć, a po nożu zostaje ślad.

Miriam czyta wiadomość do siebie.

Wesołych świąt, Miriam.

Uznaje, że to dziwaczne. Co prawda, rzeczywiście są święta, ale skąd kabina w toalecie może o tym wiedzieć? Niżej znajduje się kolejna wiadomość.

Ona idzie po ciebie.

Miriam o tym nie myśli.

Gdzieś w oddali słyszy: stuk, stuk, stuk. Stukot butów.

Chce urwać trochę papieru toaletowego, a w tutejszych łazienkach wkładają papier delikatny jak szept anioła, więc trzeba wziąć zawsze nieco

więcej, bo inaczej zmoczy się rękę, ale widzi, że w sąsiedniej kabynie ktoś się pojawił – ktoś, kogo jeszcze przed chwilą tam nie było.

Jedna stopa w brudnym adidasie. Przy drugiej nodze brakuje stopy. Z kikuta kapie krew.

– Wesołych świąt – słyszy głos Ashleya. – Nie tęskniłaś za mną?

Tak, Miriam wie, że w jakiś niedobry i niepojęty sposób tęskniła za nim. Potrząsa głową, żeby pozbyć się tego widoku. Nogi znikają, krew również, a ona wychodzi z kabiny i myje ręce.

Spogląda na swoje dłonie, nie na twarz, bo nie lubi tego, jak ciąża zmienia jej rysy, wzdyma policzki, wypycha brodę i całą resztę. Robi się pulchna jak te miękkie naklejki, które kolekcjonowała, kiedy miała dziewięć lat. Jednorożce, tęcze i takie tam.

Znów ten sam dźwięk. Stuk. Stuk. Stuk.

Skończyła myć ręce.

Podnosi wzrok.

Jest blada. Jej włosy, orzechowe – to jej naturalny kolor – związane w koński ogon.

Widzi jakiś ruch za plecami. Rozmazana chmura ciemnoniebieskiego ruchu, a potem błysk czerwieni.

– Zabiłaś mojego syna – słysząc słaby, przerażający szept.

Staje przed nią pani Hodge. Mokre od śniegu kalosze zostawiają ślady na podłodze łazienki. Niebieska kurtka zimowa, stara i brudna, krzywo leży na jej tłustym ciele. Włosy kobiety są ciemne, splątane i brudne, i wiszą jak dżungla dzikiego wina, zasłaniając częściowo jej twarz.

Kobieta trzyma w dłoniach czerwoną łopatę do odgarniania śniegu.

Miriam chwyta za brzeg porcelanowej umywalki.

Łopata uderza ją w plecy.

Stopy dziewczyny nie są w stanie utrzymać jej ciężaru i poddają się. Uderza podbródkiem w umywalkę, a kiedy ląduje twarzą na płytkach, przygryza język. Nie tylko czuje krew, ale dosłownie w niej tonie.

Sięga przed siebie i usiłuje uciekać, ale podłoga jest świeżo umyta i jej dłonie nie znajdują oparcia. Ślizgają się po płytkach i piszczą jak guma.

– Ty mała, śmierdząca zdziro – mówi kobieta. – Nie zasłużyłaś na to, co dostałaś od Bena.

Łopata opada na jej plecy i uderza prosto między łopatki. Potem w głowę i znów między łopatki. Kobieta nie przestaje jej bić, coraz mocniej i mocniej, aż w końcu Miriam czuje, że jakaś jej część w środku – jak szklany płatek śniegu ściśnięty zbyt mocno między palcami – pęka, rozpada się i rozsypuje. Robi jej się gorąco między nogami, a potem rusza rzeka wilgoci. Między kolejnymi razami sięga dłonią w dół, a kiedy na nią spogląda, jest cała czerwona. Zostawia krwawy ślad na białej podłodze łazienki, podciąga się i...

Ale to bez sensu, bo łopata nie przestaje jej przyszpilać do ziemi.

Miriam słyszy płacz dziecka. Rozchodzi się echem po całej łazience, ale dochodzi z korytarza. Nagle płacz cichnie, jakby dziecko zaczęło się krztusić, topić we własnych płynach, a potem zapada całkowita cisza i nastaje ciemność.

Wtedy Miriam słyszy szept Louisa tuż przy swoim uchu.

– Jeszcze tylko sześć dni. Potem umrę.

KONIEC DROGI

Niemily, nieprzyjemny szept świdruje jej w uszach, kiedy gwałtownie budzi się ze snu.

– Przepraszam – mamrocze.

Louis spogląda w jej kierunku, zjeżdża na boczny pas i mija bramkę poboru opłat.

– Przepraszasz za co?

Za to, że pozwalam ci umrzeć, myśli. Miriam ma splątane, mokre od potu włosy. I boli ją głowa.

– Nie, nic. Myślałam... Wydawało mi się, że chrapię.

– Nie chrapałaś.

– To super. Okej.

Trze oczy. Jest noc. Po przedniej szybie ścieka deszcz, ale przez żółtawe światło lamp wzdłuż drogi wygląda, jakby ktoś na nią nasikał.

– Gdzie jesteśmy? – pyta.

– W Pensylwanii. Jedziemy na parking dla ciężarówek, kierunek Coopersburg. Mam tam kumpla, który zna się na mechanice. Ma prawdziwy dar. Ilekroć jestem w tych okolicach, odstawiam mu wóz i zlecam wszystkie wymiany i naprawy.

Miriam uderza się dłońmi w oba policzki. Językiem dotyka podniebienia. Czuje suchość w ustach. Papieros. Kawa. Wóda. Cokolwiek. Jedna z tych rzeczy byłaby jej bardzo, ale to bardzo potrzebna.

– Pensylwania. Czy przypadkiem nie byliśmy dopiero co w Ohio?

– Byliśmy. A potem zasnął.

– Cholera. To kawał drogi, prawda?

Wzrusza ramionami.

– Nie taki kawał. Jakies osiem, dziewięć godzin. Taka praca. Trzeba jechać najdalej, jak się da, i najszybciej, jak się da. To są zasady gry. Płacą nam za przejechane mile.

– To dlatego większość ciężarówek jedzie, jakby uciekała przed policją.

– Zgadza się. Każdy stara się jakoś wyżywić rodzinę. Niektórzy sikają do butelek, żeby się tylko nie zatrzymywać. Niektórzy przeginają – milknie.

– Ja nie mam domu i nie mam rodziny do wyżywiania, więc mogę jechać sobie ze spokojem. Ale nawet w ten sposób zarabiam jakieś trzydzieści pięć centów za milę. Dzisiaj zrobiliśmy pięćset mil z okładem, a to praktycznie dwieście dolców. Rocznie wyciągam w ten sposób około sześćdziesięciu tysięcy. Nie mam przy tym kredytu hipotecznego ani zbyt wielu rachunków.

– Nie przeszkadza ci to? Takie życie? Jesteś... koczownikiem. Nie masz domu.

– Ty też nie.

– Wiem. I bardzo to lubię... czasami. Lubię to, że jestem śmieciem, który płynie w dół strumienia. Popłynę tam, gdzie poniesie mnie woda. Ale czasem szczerze tego nienawidzę. Nigdy się nie wiązę, z nikim ani z niczym. Nic mnie nigdzie nie trzyma. Nie mam korzeni.

– Ja czuję przywiązanie do ciebie – mówi mężczyzna.

– Czuję to samo do ciebie – odpowiada Miriam i nie może zrozumieć, jak to możliwe, by przywiązanie do Louisa czyniło go jednocześnie jeszcze bardziej odległym. Paradoks, głupota, ale tak właśnie jest. Są blisko, ale między nimi wyrasta wielka rozpadlina: otchłań na pograniczu życia i śmierci.

On musi czuć dokładnie to samo. Miriam zdaje sobie sprawę, bo mężczyzna milknie. I tak samo jak ona, niczego nie rozumie. Ale dziewczyna dochodzi do wniosku, że gdzieś wewnątrz zaczyna się domyślać. Tak samo jak pająk wyczuwa zbliżającą się burzę albo pszczoły trzęsienie ziemi.

Światła latarni wpadają do szoferki i oświetlają migotliwie wnętrze.

Miriam przerywa milczenie.

– Śpimy dzisiaj w aucie?

– Nie – odpowiada. – Przy parkingu jest motel i restauracja.

– Widzisz, takie mam życie. Motele. Restauracje. Droga.

– Takie samo jak moje.

Potem znów zapada cisza i słychać tylko silnik ciężarówki.

Stoły w restauracji są czyste, jajka są smaczne, a kawa nie wygląda i nie smakuje jak mocz z chorych nerek. Motel tuż obok jest schludny. Pokoje nie śmierdzą papierosami ani wymiocinami. Nie ma karaluchów kłębiących się w opętańczym tańcu w umywalce. Drzwi pokoi nie wychodzą prosto na parking. Budynek ma najprawdziwszy korytarz. Jak pieprzony Sheraton, myśli Miriam. Czy to granica, która odróżnia motel od hotelu? I czy to już jest prawdziwy hotel? Czy kiedykolwiek spała w prawdziwym hotelu?

Miriam wie, że powinna być szczęśliwa. To jest awans. Louis jest awansem.

Wybiega na dwór, pali, jest nieszczęśliwa.

– Nie wiem, co robisz – mówi do siebie.

To prawda. Nie ma zielonego pojęcia.

Dała się ponieść falom. Jak kawałek śmiecia w strumieniu. Bądź szczęśliwa. Znajdź zadowolenie. Niech się dzieje, co ma się dziać. Daj szczęście Louisowi. Nie przejmuj się jutrem. Dotychczas to działało. Było super.

– A wtedy, idiotko, musisz wszystko zepsuć i wybrać się w odwiedzinę do medium, a ta zaczyna krwawić jak zarzynane prosię i mówi ci, że jesteś ludzkim odpowiednikiem Enola Gay. Tymczasem Louis i tak umrze, już za pięć dni. Co zamierzasz zrobić w tej sprawie? Nic? Pozwolisz, żeby to się stało? Będziesz siedzieć i się przyglądać, paląc papierosy?

I jakby to one były wszystkiemu winne, zaczyna gnieść niedopałek i ciska nim...

Ashley uchyla się przed kawałkiem rozżarzonego tytoniu.

– Wciąż gadasz do siebie? – pyta.

Miriam ma wrażenie, że widzi ducha. Zmaterializował się obok, a wcześniej go nie było. Nie wie, czy chłopak jest w ogóle prawdziwy. Ma inny głos, trochę inaczej wygląda. Jest bardziej ponury. Drapie się, nie stoi prosto – jego pewność siebie poszła w rozsypkę, podobnie jak jego ciało.

Dziewczyna sięga do kieszeni spodni. Nie ma przy sobie noża. Oczywiście, bo nie może go mieć. Zostawiła go przecież w nodze tej kobiety, na której pastwę ją wydał.

– Ty pierdolony lachociągu. Ty cwelu w dupę walony.

– Tak się witasz ze starym znajomym? – chichocze. Ale nie brzmi zdrowo. Nie jest duchem.

– Stary przyjaciel. Niezłe. Naprawdę. Jeśli się zbliżysz, to cię ugryzę. Odgryzę ci palce. Albo nos. – Żeby podkreślić swoją determinację, kłapie zębami.

Ashley i tak podchodzi. Staje w plamie światła. Na gładkiej twarzy widać kilkudniowy zarost. Ma puste oczy, skołtunione tłuste włosy. To już nie ta starannie ułożona niedbała fryzura – jest zaniedbany.

– Potrzebuję twojej pomocy – mówi. Błaga. – Potrzebuję ciebie.

– Potrzebujesz kąpieli. Cuchniesz jak... – Pociąga nosem. – Kocie szczyny. Chryste, Ashley. Ty bierzesz. Ty naprawdę zacząłeś brać ten towar.

– Uciekam.

– To uciekaj dalej. I zostaw mnie w spokoju.

– Oni mnie gonią. Są tylko krok za mną. Muszę być cały czas czujny. Dlatego zacząłem. Ale potem przestanę.

Dziewczyna wybucha śmiechem.

– Potem przestanę. Mogę przestać w każdej chwili. Nie wiedziałem, że ma dopiero czternaście lat, proszę wysokiego sądu.

– Pieprz się, alkoholiczko. Ty jesteś uzależniona od nikotyny, więc odwal się ode mnie.

– Tylko że alkohol i papierosy są legalne. – I żeby zademonstrować, jak mało ją obchodzą jego słowa, wytrząsa z paczki papierosa i chwyta go ustami. – Poza tym pachnę dzięki nim barem, a nie przewróconym śmietnikiem.

– Moglibyśmy uciec. Moglibyśmy się razem ukryć. Wsiąść w samolot i polecieć dokądś. Dokądkolwiek.

– Masz walizkę?

Ashley rozgląda się nerwowo na boki.

– Schowałem ją. Mogę ją szybko mieć, jak będzie potrzebna.

– Żałosny idiota. Jak chciałbyś wnieść na pokład samolotu metalową walizkę wypełnioną metamfetaminą?

– To pojedziemy autobusem.

– O tak, na pewno. Uwielbiam autobusy – mówi Miriam. – Nie ma nic lepszego niż dwanaście godzin ściśnięcia w rozgrzanej trumnie ze zgrają niemytych schizofreników. Zajebisty pomysł. Musisz zrozumieć jedną rzecz: nigdzie się z tobą nie wybieram. Jesteś zdany tylko na siebie. Zostawiłeś mnie tam na pewną śmierć, z kobietą, która chciała mnie zastrzelić. Niewiele brakowało.

Szkoda, że jej się nie udało.

Wyjmuje niezapalonego papierosa z ust i wsuwa sobie za ucho. Odwraca się na pięcie i rusza do środka motelu.

– Czekaj – mówi Ashley i idzie za nią. Recepcjonista, łysy gość w okularach z zielonymi szklami, przygląda im się zaspanym wzrokiem. Miriam nie zamierza robić przedstawienia. Skręca w korytarz i mija maszynę do lodu.

Ashley ją wyprzedza.

Kładzie dłoń na jej ramieniu. Miriam poważnie rozważa, czy go nie ugryźć, ale nie wie, czego te łapska dotykały przez ostatni tydzień.

Odpycha go tylko na bok.

Znow ją łapie. Miriam chwyta go za koszulę i brutalnie pcha w tył.

– Powiem mu. – Ashley zatacza się.

Tym razem Miriam staje. Odwraca głowę i pyta:

– Powiesz co i komu?

– Powiem twojemu kochasiowi kierowcy. Powiem mu o wszystkim.

Idzie naprzód, byle jak najdalej od Ashleya. Wraca do ich pokoju. Zanim zdążyła pomyśleć, w dłoni ma klucz. Wie już, że to zły ruch. Nie ma dokąd pójść i co innego zrobić, a słaby głosik w jej wnętrzu powtarza, że chce tylko wrócić do Louisa, wtulić się w niego i poczuć bezpieczeństwo, bo on ją obroni przed skutkami jej błędów.

Otwiera drzwi i spokojnie wchodzi do środka.

Zamyka za sobą i przekręca zamek.

Siada na brzegu łóżka. Jest roztrzęsiona.

Louis już stoi. Patrzy na nią zatroskany.

– Co się stało? Ktoś cię zaczepiał w przejściu?

Miriam patrzy przed siebie. Przygryza usta. Chce coś powiedzieć, ale nie znajduje odpowiednich słów.

Wtedy rozlega się dudnienie do drzwi.

– Co to? – Louis unosi brwi. – Kto to?

– Nie otwieraj – prosi Miriam.

– Nie... co? Dlaczego? – Louis podchodzi do drzwi.

Miriam chwytając go za rękę.

– Nie rób tego. Proszę. Zignoruj to.

Wtedy zadaje to pytanie. Ono wiele znaczy. Wyjaśnia, co naprawdę o niej myśli, albo dokładniej, czego się obawia w związku z nią.

– Coś ty narobiła? – pyta.

– Ja... – zaczyna, ale słowa nie chcą się układać jak dotychczas.

Louis łapie za klamkę i otwiera.

Ashley wchodzi do środka, odsuwając Louisa na bok, jakby go tam nie było. Ma ramiona złożone na piersi. Rozgląda się nerwowo i staje naprzeciwko dziewczyny.

– Muszę wiedzieć, jak umrę. Powiedz mi, jak i kiedy. Oni mnie nie zabiją. Powiedz, że to nie oni. Wiem, że są już blisko. Możesz mi pomóc. Potrzebuję cię...

– Hej – warczy Louis. I wtedy rozpoznaje Ashleya. – Czy to twój brat?
Ashley wybucha śmiechem.

– Nie jestem jej bratem, staruszk.

– Słucham? Miriam?

– Nie patrz tak na nią. Patrz na mnie. Jesteśmy tutaj, żeby obrobić ci dupę z kasy.

Miriam milczy.

Louis marszczy brwi.

– Lepiej mów prawdę, synu.

– Wiemy, że masz gotówkę. Wszystkie wypłaty w kopertkach. Dawaj je albo...

– Albo co?

Ashley wyciąga broń – tak naprawdę to tylko palce ułożone w pistolet.

– Albo to, skurwysynu. No dalej, wyskakuj ze szmalu. – Odsuwa kciuk, jakby zamierzał strzelić.

Louis powala go jednym uderzeniem.

Jego pięść jest jak taran do burzenia budynków. Ashley przewraca się na łóżko. Chce się podnieść, kręci mu się w głowie – uderzenie wystarczyłoby, żeby pozbawić go przytomności na godzinę, ale ma we krwi tyle speedu, że nie panuje nad swoim ciałem. Jest kukielką, a narkotyk porusza żyłkami.

Louis chwytą Ashleya potężnymi rękoma i ciska nim o stolik nocny. Lampa spada na podłogę i rozbija się w drobny mak. Narożnik pokoju

pogrąża się w ciemności. Potem chwyta Ashleya za nogę i ciągnie niedelikatnie w stronę drzwi. Głowa ogłuszonego oszusta uderza w nogę łóżka, komodę z telewizorem i szafkę. I nawet o gumowy stoper.

Wyrzuca Ashleya z pokoju i zamyka drzwi.

W sercu Miriam kiełkuje nieśmiała nadzieja. I radość. Uratował ją. Zrobił to bez zadawania pytań i nie czekając, aż go poprosi. Zauważył niebezpieczeństwo i je wyeliminował. Czuje się bezpieczna. Jest chroniona.

Wstaje i obejmuje Louisa.

Ale on nie oddaje uścisku.

Delikatnie odsuwa ją od siebie.

– Czy to prawda? – pyta.

Jej serce zamiera.

– Louis...

– Powiedz mi tylko, czy to prawda. Czy to jest twój brat? Planowaliście mnie okraść?

– Nie, z początku nie. Potem... może... ale to już przeszłość, wszystko się zmieniło. Rzuciłam go, właśnie dlatego go rzuciłam. Musisz mi uwierzyć, nigdy nie chciałam...

Ale on się od niej odsuwa i zaczyna pakować swoje rzeczy.

– Dokąd idziesz?

– Byle dalej – odpowiada. – Jak najdalej od ciebie.

– Louis, proszę!

– Nie. Nie oddałem jeszcze ciężarówki do warsztatu. Miałem zrobić to jutro rano. Teraz cię zostawię. Pokój jest opłacony, możesz w nim spać, jeśli chcesz. Mnie to już nie obchodzi. Nienawidzę kłamców.

Chwyta go za nadgarstek, a on w odpowiedzi łapie jej dłoń drugą rękę. Jest delikatny, ale ona wie, że wystarczyłoby krótkie szarpnięcie, żeby połamać jej wszystkie kości.

– Masz rację. Jesteś trucizną. Usiłowałaś mnie ostrzec. Powinienem być cię posłuchać.

Potem nabiera głęboko powietrza i wypowiada słowo, które jest jak ostrze przesywające jej serce.

– Żegnaj.

Zarzuca torbę na ramię i wychodzi z pokoju. Robi krok nad nieruchomym ciałem Ashleya i w milczeniu zmierza do wyjścia. W końcu znika.

Miriam od bardzo dawna nie płakała, ale teraz płacze.

Szłocha. Bolą ją oczy. Bolą ją żebra. Płacze jak dziecko: zachłystuje się, szłocha, piszczy.

Mimo to słyszy, jak silnik ciężarówki budzi się do życia.

Warkot przechodzi w ryk, by w końcu ucichnąć.

Louis wyjeżdża ciężarówką na drogę.

Nie myśli o czarnym chevrolecie escalade, który go mija przy wjeździe na parking.

SZOKUJĄCE ZDARZENIA

Smutek Miriam potrzebuje niewiele czasu, by wykrystalizować się w ostrze gniewu. Jej łyzy zmieniają się w kwas. Jej zmarszczone brwi w taran. Jej drżące dłonie w ostrza pił, gotowe zagłębić się w ciała przeciwników.

Wstaje. Podchodzi do drzwi. Ashley siedzi pod ścianą jak kawałek śmiecia przywianego przez wiatr. Jest zaczerwieniony. Uśmiecha się głupkowato jak pijak. Jedną powiekę ma opuszczoną.

– To jak, możemy ruszać?

Miriam bierze zamach i kopie go w usta.

Głowa mężczyzny odskakuje do tyłu i uderza w ścianę. But wybija mu jeden z dolnych zębów, który wyskakuje z zakrwawionego dziąsła i turla się po dywanie. W końcu nieruchomieje.

Krew kapie Ashleyowi po brodzie.

– Au – mówi.

Kilka pokoi dalej otwierają się jakieś drzwi i na korytarz wygląda blady facet z policzkami obwisłymi jak u buldoga. Miriam mówi mu, że jeśli zaraz nie zniknie, urwie mu głowę i naszcza do środka.

Mężczyzna momentalnie znika z pola widzenia.

– Ten twój kierowca... zostawił cię, prawda?

Miriam milczy. Gotuje się jak w wulkan przed wybuchem.

Ashley wyciera usta.

– W takim razie mamy problem.

– Odwal się ode mnie.

– Przecież mnie kochasz – mówi, spluwając krwią.

– Marzyć każdy może.

– Potrzebujesz mnie.

– Może kiedyś tak było. Ale teraz? Nic a nic.

Ashley się uśmiecha. Ma czerwone zęby, jakby jadł truskawki.

– Pragniesz mnie.

– Współczuję ci. Nic więcej.

Miriam odcharkuje lepłą flegmę i już chce splunąć mu nią w usta, kiedy...

Kiedy...

Widzi ich na końcu korytarza. Są jak dwa cienie. Dwa duchy.

Frankie ma na sobie czarny garnitur. Harriet zamiast golfu włożyła ciemnoczerwoną bluzę. Jak Święty Mikołaj, mimo że jest przecież czerwiec.

Oboje mają broń.

Miriam ich widzi, Ashley nie, jeszcze nie. Ale jego oczy podążają za przerażonym spojrzeniem dziewczyny i w końcu...

– Zabiją nas – mówi spanikowanym, zachrypniętym szeptem.

Miriam nie jest przygotowana. Dotychczas zawsze robiła szybki rekonesans w miejscach, w których się zatrzymywała. Znała wszystkie drogi ucieczki. Znała rozkład pomieszczeń. Bezpieczne zaułki i niebezpieczne pułapki. Bycie z Louistem stępiło jej czujność. Rozleniwiło ją. Kiedy była dzieckiem, matka prowadziła ją przez sklepy za rękę, tak

mocno ją ściskając, że prawie łamała jej kości. W końcu nauczyła się, że nie warto walczyć, bo matka, uspokojona jej powolnością, w końcu rozluźni uchwyt – a wtedy ups! Miriam będzie mogła wyrwać się jej niespodziewanie i pogalopować w kierunku półek ze słodyczami czy płatkami śniadaniowymi. Teraz sama popełniła ten błąd. Dała się zwieść spokojowi.

W tej chwili ma tylko jedną możliwość: skorzystać z wyjścia ewakuacyjnego po prawej stronie, na samym końcu korytarza. Kiedy będą szli w ich kierunku, ona zdąży do niego dopaść i uciec na zewnątrz.

Wszystko rozgrywa się jakby w zwolnionym tempie, jakby miała na nogach i ramionach ciężkie łańcuchy, przygniatające ją do ziemi i utrudniające poruszanie się.

Rzuca się przed siebie...

Ashley stara się zerwać z ziemi, ale jest słaby, pobity i...

Miriam już biegnie. Dwójka zabójców bez chwili wahania rusza za nią, unoszą ręce, celują...

Są osiem metrów za nią i coraz bliżej...

Ashley nie może wstać. Stoi na czworakach i kołysze się jak przerażone, zamęczone zwierzę, które wie, co je czeka. Krzyczy...

Pięć metrów, może mniej. Trudno określić; wszystko nie tak...

Miriam czuje, jak coś przelatuje koło jej ucha; szarpie głową i widzi, jak dwie metalowe sondy, ciągnąc za sobą zwój cieniutkiego drutu, odbijają się od złotego kinkietu na ścianie. Nie wie, co to jest, dopóki...

Ashley zaczyna wrzeszczeć, a po chwili jego wrzask przechodzi w wycie, jakby przez zaciśnięte zęby; jego ciało tężeje, sztywnieje, wytrzeszcza oczy...

Paralizator, myśli dziewczyna. Nie mają pistoletów, tylko paralizatory. Chybili. Celowali do mnie.

W końcu wpada ramieniem na drzwi ewakuacyjne i otwiera je, napierając całym ciałem. Nie włącza się alarm. W takich sytuacjach nigdy się nie włączają, nigdy i nigdzie, niezależnie, co właściciele wypisują na tabliczkach przy drzwiach. W miejscach takich jak to, alarmy nigdy nie są podłączone. Wdycha wieczorne, chłodne powietrze. Przed sobą widzi ulicę...

Wtem ręka stercząca z białego rękawa uderza ją w tchawicę. Nogi się pod nią uginają. Mocno uderza plecami o drzwi. Zatrząskuje je swoim ciężarem.

Podnosi głowę i rozgląda się, łapiąc z trudem powietrze.

– Ty... – charczy.

Mężczyzna wygląda na zaskoczonego. W kącikach jego ust pojawia się delikatny uśmiech.

– Jeszcze nie mieliśmy przyjemności – odpowiada.

Ktoś – Frankie, może Harriet, może oboje – dopada wyjścia ewakuacyjnego, ale niezależnie, które z nich jest pierwsze, nie spodziewa się, że Miriam będzie się opierała i pilnowała, by ich nie otworzyli. A w każdym razie nie za pierwszym razem. Dziewczyna czuje się jak ptak złapany w sieć, który gorączkowo bije skrzydełkami, choć nie może się uwolnić. Wie, że musi uciec, musi się uwolnić, bo inaczej... Zgoda, Miriam nie ma pojęcia, co jej zrobią, ale wie, że to nie będzie nic dobrego.

Odrywa się od drzwi i odsuwa na bok, akurat w chwili, kiedy Frankie z impetem skacze na nie od wewnątrz, myśląc, że musi włożyć dużo siły w przełamanie jej oporu. Wypada na dwór jak kaskada mioteł i szczotek z przeładowanego schowka.

Frankie zatacza się i staje między dziewczyną a wysokim, łysym mężczyzną.

Miriam pcha go prosto w objęcia Łysego Sukinsyna. Frankie wpada na niego, przewracają się, a cichy głosik w jej głowie szaleje z radości, że skurwysyn pobrudził sobie bielutki garnitur.

Jak zwierzę uciekające myśliwym Miriam gna w stronę ulicy.

To międzystanowa. Po dwa pasy w każdą stronę.

Droga żyje pędzącym metalem i zapalonymi światłami. Kawalkada samochodów gna sto dwadzieścia kilometrów na godzinę.

Miriam nie myśli. Po prostu biegnie. Prosto między auta.

Dopada środkowego pasa, zanim zdąży pomyśleć, co robi. Za sobą słyszy trąbienie, coraz głośniejsze, a potem coraz cichsze, jak efekt Dopplera. Hamulce, pisk opon.

Jest już po drugiej stronie. Mija ją jakiś samochód, niemal uderzając lusterkiem w jej wyciągniętą dłoń. Zaraz potem zaczyna się obracać, słysząc uderzenie metalu o metal, pękającego szkła, wybuchających poduszek powietrznych i wyrzucanego w powietrze żwiru. Krzyki. Słyszy, jak ktoś z jej pasa krzyczy „cholera jasna”, kiedy widzi, co się dzieje. Miriam już wie, że spowodowała wypadek samochodowy, może nawet poważny, ale nie ogląda się, bo oglądanie się oznacza zwalnianie, a zwalnianie oznacza śmierć.

Jesteś złym człowiekiem, myśli.

Właśnie spowodowałaś wypadek samochodowy.

Co gorsza, jakaś część ciebie cieszy się z tego, bo wypadek odciągnie ich uwagę, spowolni ich, zatrzyma na chwilę.

Jesteś pasożytem. Nawet jeśli tego nie chcesz, to jesteś nim.

Mogłaś kogoś skrzywdzić. Powinnaś była stanąć i pomóc...

Ale natychmiast odzywa się drugi głos, który jej przypomina: tak już jest, takie życie. Taki los, nic nie zrobisz. Idź. Nie zatrzymuj się.

W końcu dopada pobocza po drugiej stronie autostrady. W głowie słyszy dziki okrzyk: bezpieczeństwo! Za nią trąbienie. Bez końca. Wyobraża sobie rozbity samochód, z nieruchomym ciałem w środku. Głowa kierowcy oparta na kierownicy. Ma nadzieję, że to nie tak. Że to zwarcie.

Ale głos w jej głowie się myli. Miriam wie, że nie jest bezpieczna. To tylko iluzja.

Biegnie dalej.

Widzi przed sobą pasaż magazynów. Kontenery, jeden obok drugiego, różne firmy.

Czynne przez całą dobę, ale jest też brama z kłódką i wszystko jest zamknięte szczelniej niż pośladki ministranta, a całość otacza płot z drutem kolczastym. Ale to zaleta, a nie wada. Skacze. Wpada na płot.

Zaczyna się wspinać.

Drut kolczasty jest stary. Nie był malowany ani zabezpieczany. Nikt go nie naciągał. Ugina się pod jej dłońmi. Wciąż ostry, wciąż ma kolce i drze nimi jej spodnie i drapie skórę pod spodem. Przypomina sobie, że już dawno nie miała zastrzyku przeciwko tężcowi i byłoby to dość idiotyczne, gdyby uciekła przed zabójcami, a dopadłby ją szczękościsk i ślinotok. Głupia śmierć. Ale jest już po drugiej stronie. Pada na ziemię.

Ból uderzenia przeszywa jej golenie i kolana. Jest niedobrze. Może sobie coś złamałam? Jednak nie może się zatrzymać. To, że biegnie, i to mimo bólu, oznacza, że jest cała, prawda? Diagnozę postawiła dziewczyna niebędąca lekarzem...

Magazyny są skąpane w świetle sodowych lamp, ale tu i ówdzie widać plamy cienia.

Miriam wpada między magazyny. Siedem rzędów. Pięć lokali.

Owiewa ją smród psującego się jedzenia, ale to bez znaczenia. Wciska się za kosz na śmieci, zwija w kłębek, stara się być jak najmniejsza.

Czeka.

To był on.

Łysy skurczybyk, ten od noża do filetowania ryb. Ten, który wyłupił Louisowi oczy i który dźgnął go potem w mózg i zabił.

Jeszcze jeden dowód – kolejny! – potwierdzający, że to ona będzie przyczyną jego śmierci. Łańcuch przyczyn i zdarzeń, znów wszystko od początku, okrutny i bolesny film, tysiące pytań: co by było, gdyby...? Gdyby tylko nie wsiadła do tej ciężarówki, gdyby nie związała się z Ashleyem, gdyby nie wróciła do Louisa...

Niezależnie od tego, część puzzli nie pasuje do reszty. Miriam ich nie rozumie. Pewnie jeszcze nie. Louis odjechał. Oni są tutaj. On gdzie indziej. Jaki miałoby do niego interes? Wyrównanie rachunków?

Nie, to na razie jest bez sensu.

Jedno, czego jest pewna, to to, że przeznaczenie nigdy nie odkrywa wszystkich kart od razu. Zawsze czeka na ostatni możliwy moment, żeby pokazać, czym dysponuje.

Piłka wciąż jeszcze jest w grze.

Ktoś ją zauważył.

Jedyną bronią, jaką dysponuje, jest złamany kij, który znalazła na ziemi za plecami. Siedzi w kucki i myśli: nie wezmą mnie bez walki. Drewnianym kikutem może wyłupać komuś oko. Oko za oko. Coś jak

zemsta za czyn, który jeszcze nie został popełniony. Uderzenie wyprzedzające. Dintojra podróżnika w czasie, odbiór rzeczy, którą ktoś dopiero ma pożyczyć.

– Dobrze się pani czuje? – pyta ktoś zatroskanym głosem.

To mężczyzna. Ale nie Frankie. I nie Łysy Skurwiel.

Ma trzydzieści kilka lat. Jasną brodę. Okulary. Włosy lepią mu się do spoconego czoła, w ręku trzyma czapkę z daszkiem. Patrzy na nią, przechylając się nad koszem na śmieci.

– Proszę pani?

Miriam wstaje. Straciła poczucie czasu, nie wie, od jak dawna się tu chowa. Pół godziny? Godzinę? Dłużej? Słysząc było syreny radiowozów i karettek, potem wszystko ucichło. Dookoła panowała cisza, rozpraszana jedynie przez kilka samochodów, które przyjeżdżały po coś do magazynów, a potem odjeżdżały. Każdy powodował szybsze bicie serca i wstrzymywanie oddechu.

Oczy mężczyzny rozszerzają się z zaskoczenia.

– Pani krwawi! – mówi.

Miriam nie wie, co odpowiedzieć. Nie wychodzi z wąskiego przejścia między dwoma boksami magazynowymi. Wyjście na otwartą przestrzeń mogłoby oznaczać śmierć. Ale to nie śmierci Miriam boi się najbardziej, tylko tego, co wydarzy się przed nią.

– Tak – odpowiada. Głupio. Ale nic innego nie przychodzi jej do głowy.

– Czy to z wypadku? Brała pani w nim udział?

– Tak – kłamie. Z drugiej strony to nie jest kłamstwo. Była tam, kiedy samochody zaczęły na siebie wpadać.

– Czy potrzebuje pani pomocy?

Na to pytanie odpowiada też pytaniem.

– Ma pan samochód?

– Tak. Przyjechałem odstawić do magazynu kilka rzeczy, zanim przeprowadzimy się do nowego domu i... przepraszam, to pewnie pani nic nie obchodzi. Zaraz za rogiem zaparkowałem mojego forestera.

– Podwiezie mnie pan?

Mężczyzna się waha. Nie jest pewien, ale ma do tego prawo. Miriam wie, że jej historia może wyglądać podejrzanie. Nie ma szkła we włosach. Skaleczenia na nogach na pewno nie powstały na skutek wypadku samochodowego. Jeszcze nie zaczął zadawać sobie właściwych pytań, ale niedługo na pewno się zorientuje. Miriam ma tylko nadzieję, że ten czas przyjdzie, kiedy będą już w jego samochodzie, w drodze jak najdalej stąd. Wyjdiesz z tego – jeszcze jeden, dwa małe kroczki... już tak blisko...

– Zgoda – mówi w końcu. – Oczywiście. Proszę za mną. Przy okazji, jestem Jeff...

Miriam rusza, żeby wyjść z ukrycia.

Jeff spogląda w lewo.

Jego ciało odskakuje na bok w akompaniamencie deszczu kropelek krwi i huku wystrzału.

Miriam kopie pojemnik na śmieci i schyla się, żeby uciec w drugą stronę, wcisnąć w przejście między boksami i wyjść po drugiej stronie.

Nie udaje jej się.

Zamiast widoku przejścia, staje twarzą w twarz z Łysym Sukinsynem. Mężczyzna kiwa głową.

– Jak łatwo zwieść twoją czujność, kiedy jesteś rozproszona.

Potem robi krok w tył, przyciska jej do brzucha paralizator i uruchamia go. Każda komórka jej ciała błyszczy jak lampki na choince. Gorąco i

zimno. Kąsające mrówki. Fajerwerki. Kości bolą, jakby zaraz miały popękać. Wszystko jest białe, jasne i przerażające.

WYWIAD

Ciało Paula leży zwinięte u podnóża schodów. Głowę ma przekrzywioną pod dziwnym kątem, w ten sposób, że dolna szczęka jest za ramieniem i na dodatek obrócona o dziewięćdziesiąt stopni. Oczy ma otwarte i szkliste. Usta zamknięte. Mina, jakby myślał. Jego torba znajduje się kilka metrów dalej. Telefon komórkowy poleciał jeszcze kilka kroków od niej.

Miriam schodzi w jego kierunku.

Przed minutą widziała, jak wychodzi z magazynu.

Chemiczny smród unoszący się w Filadelfii – dusząca woń perfum zrobionych z kwasu unosi się ze studzienek kanalizacyjnych i burzowych i spływa z deszczem. Przypomina mieszaninę gazów gnilnych i nawozów sztucznych – pali ją w nosie i szczypią oczy. Miriam czuje się rozdarta. Bardzo chce wierzyć, że to wszystko przez nieznośny smród miasta.

Zaraz po wyjściu Paul przeszedł przez ulicę.

Sprawdził godzinę na zegarku z kalkulatorem, z czasów, które bezpowrotnie minęły.

Nie wpadł pod samochód. Nie zabrał go zawał ani atak serca.

Wskoczył na krawężnik po drugiej stronie. Wtedy zadzwonił jego telefon.

Miał przed sobą betonowe schody. Odebrał połączenie i powiedział: „Cześć, mamó”. Może ten telefon wystarczająco go rozproszył, a może to

coś innego, ale źle stanął na pierwszym stopniu: pod złym kątem, bardziej piętą niż palcami i zaczął spadać.

Pewnie nic by mu się nie stało, ale czasem ciało i mózg nie zgadzają się ze sobą. Ciało spadłoby w naturalny sposób, tłumiąc uderzenie. Ale mózg zaczął panikować. Zaczął walczyć. Odruchowa reakcja. To właśnie spotkało Paula. Chciał się uratować. Steżał. Napiął się. Zesztywniał.

Ale to mu nie pomogło.

Jego ciało spadło na sam dół. Skręcił kark. Złamał kręgosłup. Miriam później gdzieś przeczyta, że to się nazywa autodekapitacją. Nie cierpiał.

Miriam nie musiała być przy nim, żeby to widzieć. Zobaczyła wszystko już przy ich pierwszym spotkaniu. Po prostu nadeszła jego godzina.

Rusza schodami w dół. Zatrzymuje się przy jego ciele.

Mogłaś go ocalić, odzywa się głos w jej głowie i jak na komendę dziewczyna dostrzega cień przesuwający się nad jej głową. To balon, myśli. Czerwony urodzinowy balonik. Kiedy podnosi głowę, widzi, że to nie balonik; to tylko chmura na chwilę zasłoniła słońce.

– Wybacz, Paul. Nie miałabym nic przeciwko temu, żebyś powiedział o mnie światu. I tak nikt by ci nie uwierzył. Nikt nie wierzy. Ale to nie było ci pisane i tyle.

Miriam przegląda jego rzeczy. Zabiera ze sobą dyktafon. Potem przegląda portfel, jak sęp odrywający kawały mięsa od kości. Paul jest bogatym dzieciakiem, to oczywiste. Ma przy sobie kilkaset dolarów, kilka kart podarunkowych do różnych sklepów i karty kredytowe.

Zwinnymi palcami rozpina pasek cudnego zegarka z kalkulatorem i zakłada na swój nadgarstek. Zapina tak mocno, żeby ucisk przypominał jej, skąd go ma.

Siedzi jeszcze jakiś czas na stopniach. Coś jej wpada do oka, musi wytrzeć łzę. Pyłek albo ziarenko piasku. Albo to przez ten smród miasta.

KIEROWCA Z TYLNEGO SIEDZENIA

– Jestem biznesmenem.

Te słowa budzą Miriam.

Głos należy do Łysego Sukinsyna.

I nie są skierowane do niej. Mężczyzna mówi do Ashleya.

Siedzą w samochodzie. Nie, nie zwykłym samochodzie. To duży SUV. Kremowa skórzana tapicerka. Przepych. Ekran DVD w zagłówkach, a na przedniej konsoli gniazda USB, duży kolorowy GPS i kamera cofania.

Miriam jest na dodatkowej kanapie, w trzecim rzędzie siedzeń. Nie wie, co zasłania jej usta, ale nie byłaby zaskoczona, gdyby miała je zaklejone czarną taśmą izolacyjną.

Ma związane ręce. Nogi też. Czuje się odurzona. Świat się kołysze. To nie może być tylko po porażeniu taserem. Powoli wracają urywki wspomnień: trzymają ją jakieś dłonie, ukłucie, strzykawka, ciepło i ciemność. Na zewnątrz sosny. Ciemna zieleń na tle szarego nieba. Ich kontury rozmywają się, kiedy je mijają. Nie wie, jaki narkotyk jej podali, ale cały czas ma go we krwi.

Ashley siedzi na siedzeniu przed nią, twarzą do kierunku jazdy.

Obok niego siedzi Łysy.

Daleko z przodu Miriam widzi Harriet. Prowadzi samochód. Frankie zajmuje miejsce obok niej i czyści broń. Zapach oleju rusznikarskiego – ciężki, bogaty, mechaniczny – wypełnia wnętrze wozu.

– Biznes – kontynuuje Łysy – jest jak biologia. Ma swoje hierarchie i taksonomie. Ma swój układ i zasady. To natura i funkcjonuje jak natura.

Ashley ma zaklejone taśmą usta. Miriam nie widzi jego nóg, jednak sposób, w jaki się porusza i szarpie, oznacza, że są związane. Ręce ma splecione na plecach, tak samo jak ona.

– Kiedy mówimy o przyrodzie, mamy o niej dość konkretne wyobrażenie. Jesteśmy przekonani, że w naturze panuje równowaga. Że jest w jakiś sposób sprawiedliwa. Tylko że natura nie jest sprawiedliwa. Nie ma w niej równowagi. Natura preferuje to, co my nazywamy złem. Okrucieństwo jest nagradzane. Widzicie? Harriet wie.

Harriet zaczyna mówić. Jest podekscytowana. Z jej głosu zniknęła monotonia. W miejsce pozbawionego emocji głuchego brzęczenia pojawił się krwiożerczy, melodyjny tenor przechodzący miejscami w pisk. Podoba jej się to, co mówi.

– Matki pingwinów kochają swoje małe. Wilki to honorowe zwierzęta. Szympansy są szlachetne i mądre. Wszystko to kłamstwa: kłamstwa, żeby nas uspokoić. Człowiek chce, żeby natura była szlachetna, bo to zmusza go do bycia szlachetnym. Człowiek wie, że przewyższa zwierzęta, więc skoro zwierzęta mogą być szlachetne, to i on musi okazywać szlachetność. Jednak taka moralność i honorowość w rzeczywistości nie istnieje – tłumaczy Harriet. Jej słowa ociekają soczystym zadowoleniem. – Zwierzęta są podłe i okrutne. Koty gwałcą się nawzajem. Mrówki robią niewolników z owadów i z innych mrówek. Szympansy toczą prawdziwe wojny gangów, mordują się bezsensownie, sikają i srają na ciała wrogów, porywają dzieci swoich

genetycznych przeciwników i roztrzaskują je o skały. Porywają samice i zmuszają je do rozrodu. Czasem pożerają pokonanych.

Harriet spogląda przez ramię. W jej oczach płonie obłąd.

– Natura jest brutalna i groteskowa. To jej jedyna właściwość. To ona ją kształtuje. Jesteśmy zwierzętami i jako część natury również musimy być brutalni i groteskowi.

Miriam ma wrażenie, że ramionami Harriet wstrząsa paroksyzm zadowolenia.

Kobieta skupia się na prowadzeniu.

Łysy klaszcze cicho. Miriam tylko warczy, bo usta ma zaklejone taśmą.

Łysy Sukinsyn odwraca się do niej i przykłada do ust długi palec.

– Ciii. Potem będzie twoja kolej. Teraz muszę porozmawiać z twoim przyjacielem. – Wraca do Ashleya, bladego i spoconego. Wygląda jak butelka mleka, na której skropliła się wilgoć. Wpatruje się w coś, czego Miriam nie może dostrzec ze swojego miejsca. – Panie Gaynes, oto jak będzie wyglądała teraz nasza współpraca. Mam do pana dwa pytania. Jeśli uzyskam na nie szczerze i błyskawiczne odpowiedzi, nie zabiję pana.

Łysy bawi się czymś, czego Miriam cały czas nie może dostrzec. Słyszy za to ciche dzwonienie czegoś metalowego i skrzypnięcie zawiasów.

Mężczyzna coś unosi.

I teraz w końcu wie, co to.

Dwunastocalowa piłka do metalu. Zupełnie nowa. Ma jeszcze naklejkę z ceną.

Łysy stuka w ostrze paznokciem.

– Jak już mówiłem, jestem biznesmenem. Żeby osiągnąć sukces, trzeba posuwać się do okrucieństwa, więc musisz mi wybaczyć. Moje pierwsze pytanie dotyczy dziewczyny. – Łysy odwraca się i spogląda na Miriam.

Miriam nie wie, co myśli. Może to dlatego, że on nie może odczytać jej myśli? Na twarzy łysego mężczyzny rysuje się zaskoczenie. – Czy to prawda? Czy ona naprawdę to umie?

Ashley jęczy coś przez taśmę.

– Racja – mówi Łysy i chichocze. Potem jednym ruchem zdejmuje mu lepki knebel.

– Tak, to prawda – zdradza ją Ashley. Łapczywie łapie powietrze ustami otoczonymi czerwonym śladem po taśmie. – Wydaje mi się, że nie kłamie. Ona w każdym razie wierzy, że tak jest.

Miriam się szarpie. Chciałaby kopnąć go w twarz. Przegryźć się przez swój knebel i krzyczeć, żeby się zamknął, że to na nic, żeby nie sprzedawał jej tym gnojkom. Gdyby miała choćby cień szansy, by odgryźć mu język, nie zawahałaby się. Wykopałaby go na ulicę. Zrobiłaby wszystko. Cokolwiek.

Łysy zadaje kolejne pytanie.

– Dobrze. Przejdźmy do mojej własności. Mojej walizki. Moich narkotyków – przerywa i nabiera powietrza. – Gdzie one są? Co zrobiłeś z moim towarem?

Ashley nie ma żadnych hamulców. Mówi wszystko.

Miriam go słucha i czuje lodowate dreszcze.

– Jest w ciężarówce – wyjaśnia chłopak. – U tego kierowcy. Louisa. Tam ją schowałem.

Obok Miriam siada Louis, Louis-duch, z iksami z taśmy na oczach. Uśmiecha się, przygryza dolną wargę jak dziewczynka, która zaraz ma dostać kucyka.

W głowie Miriam od jakiegoś czasu grzechotały luźne kawałki puzzli. Teraz wszystkie układają się w całość.

Miriam czuje ciepło na policzkach. Uświadamia sobie, że płacze.

Łysy oddycha z ulgą.

– Ależ to proste – mówi i uśmiecha się. – Zawsze spodziewam się, że będzie trudniej. Czasem to się sprawdza. Nie tym razem. Dziękuję za współpracę.

Ashley ciężko oddycha, śmieje się słabo, kiwa głową. Potem przychodzi zrozumienie. Przeskakuje oczyma tam i z powrotem i zaczyna się jękać.

– Nie... nie... nie... proszę! Nie!

Tak to teraz wygląda: Łysy skacze na Ashleya, przywiera plecami do jego piersi i przyciska do oparcia kanapy. Wbija mu łokieć pod szczękę i zamyka ją, uciszając jego protesty. Łysy nie cofa ramienia, które jest tym samym, co krzesło wepchnięte pod klamkę.

Wolną dłonią Łysy chwyta nogę swojego więźnia i podnosi ją w ten sposób, że jego stopa opiera się na zagłówku kierowcy. Harriet prowadzi dalej, jakby jej to nie przeszkadzało.

Łysy odsuwa nogawkę.

Ashley rzuca się, szarpie, krzyczy, ale Łysy jest pieprzonym zawodowcem. Utrzymuje się na nieudolnym wyłudzaczku jak kowboj na rozwścieszonym byku.

– Powiedziałem ci! – Z zakrwawionych ust Ashleya wydobywa się przerażony pisk. Słowa są niezrozumiałe i bulgoczące. Krople krwi zmieszanej ze śliną lądują na łysej potylicy Łysego. – Powiedziałem wszystko, o co zapytałeś!

– A ja powiedziałem tobie – Łysy cedzi przez zaciśnięte zęby – że natura jest okrutna. Szympansy, delfiny, wilki. Krew, kły i pazury! One

rozumieją nieuchronność zemsty. Ja też. To jest zemsta. Zepsułeś mi interes...

Łysy przyciska piłę do kostki Ashleya.

– Ja zniszczę ciebie.

Łysy zaczyna ciąć. Porusza piłą tam i z powrotem.

Ashley wydaje dźwięki, których Miriam nigdy wcześniej nie słyszała: zwierzęcy, intensywny pisk, jak lament umierającego ssaka.

Harriet nie przejmuje się krwią tryskającą na jej ramię.

Frankie blednie i odwraca głowę.

– To wypożyczony wóz – stara się przypomnieć w przerwach między wrzaskami.

Piła wędruje w górę i w dół. Metal głodnymi zębami wgryza się w ciało.

Miriam widzi, co się dzieje, ale tego nie pojmuje. Rozmazany ruch. Plamy krwi. Duch Louisa obok niej, gwizdże sobie pod nosem tę samą melodyjkę, jakby chciał powiedzieć, że od początku wiedział, jak to się skończy.

Zrób coś! – krzyczy głos w jej głowie.

Jest sparaliżowana. Jej ciało nie chce się ruszyć, jakby straciła połączenie między nim a mózgiem.

Piła zgrzyta. Ostrze dotarło do kości. Powieki Ashleya drżą, jakby tracił przytomność.

Dobrze, myśli jakaś jej część. Pieprzyć tchórza. To wszystko jego wina. To wszystko twoja wina, przypomina jej inny głos, podejrzenie podobny do głosu Louisa. Dociera do niej, że kiedy Łysy skończy z Ashleym, przyjdzie kolej na nią. Co jej odetnie? Których części ciała ją pozbawi?

Które kończyny jest gotowa poświęcić? Po jej policzkach toczą się gorące, wielkie łzy. Mózg zaczyna wariować.

Zrób coś!

Zrób coś!

I robi coś.

Zapiera się brodą o krawędź oparcia przed sobą i podnosi się na niej. Związanymi stopami odpycha się od podłogi i pcha jak najdalej. Przepycha się na siedzenie obok Łysego i Ashleya. Niewiele brakuje, a ześlizgnęłyby się z zakrwawionej skórzanej tapicerki, ale jakoś udaje jej się wylądować plecami na siedzeniu, z nogami uniesionymi w górę.

Łysy przygląda jej się z obojętnym zainteresowaniem.

– Twarda jesteś – mówi. – To mi się podoba.

Dziewczyna celuje związanymi nogami w jego głowę. Ale długi czas bezruchu i więzy pozbawiły jej precyzji i zmieniły w grubą, nieporadną dżdżownicę.

Trafia Łysego w pierś.

Piła wypada mu z dłoni, lecz jest już po ostatnim, wieńczącym cięciu. Stopa Ashleya wisi na wąskim pasku zakrwawionej skóry, który wygląda jak kawałek plastra.

Miriam uderza ponownie. Obie związane stopy trafiają Łysego w to samo miejsce.

Nagle za nimi otwierają się drzwi. Może Ashley celowo pociągnął za klamkę, może zrobił to przez przypadek; Miriam nie ma pojęcia. Może ktoś źle je zamknął. Nic jej to nie obchodzi.

Obchodzi ją za to fakt, że Ashley wysuwa się z samochodu. Jego ciało jest tylko roztrzęsionym kształtem, cieniem, a potem znika za drzwiami. Zostali sami. Miejsce, w którym jeszcze przed chwilą się znajdował, jest

puste. Za drzwiami widać kolejne sosny. Ciemne, zielone, na tle stalowego nieba.

Łysy ma solidnie zdezorientowaną minę. Odchyła się, chwyta rączki nad głową i zaciska na nich długie, kościste, niemal kobieco wyglądające palce.

W drugiej dłoni trzyma odciętą stopę Ashleya.

Przygląda jej się w sposób, w jaki nauczyciel oglądałby pracę ucznia.

Miriam wie, że ma tylko kilka sekund, żeby coś zrobić.

Stara się odepchnąć nogami. Jeśli przesunie się po siedzeniu i dotrze do drugich drzwi, jeśli przywrze do nich plecami i jeśli związanymi dłońmi uda jej się chwycić klamkę, pociągnąć ją i otworzyć, może też uda jej się uciec. Ale krew – jest wszędzie. Jest jej zbyt wiele. Krew jest śliska. Sprawia, że ucieczka jest prawie niemożliwa. Ma wrażenie, że brodzi po kolana w gęstym cemencie. Chrząkając, odpycha się ponownie, a potem znowu. I jeszcze raz. Prostuje nogi, walczy o jakiś punkt podparcia...

W końcu jej się udaje. Plecami dotyka drzwi. Palce błędzą po omacku, w poszukiwaniu klamki.

– Nie – mówi Łysy, jakby mógł wydawać polecenia rzeczywistości.

– Piieeeeeooo ieeee – wrzeszczy dziewczyna, walcząc z taśmą na ustach.

W tym samym momencie trafia na klamkę.

– Zablokuj drzwi! – wrzeszczy Łysy, ale jest już za późno.

Drzwi się otwierają, a Miriam leci w tył.

Wie, że zaraz będzie bardzo nieciekawie. Uderzenie o asfalt? Przy stu na godzinę? Skończy jak robak przyciśnięty do szlifierki. Twarde kamyki spiłują jej pół głowy. Prawdopodobnie właśnie popełnia samobójstwo.

Nie czuje się dobrze z tą myślą.

Jednak nie uderza czaszką o uciekający spod kół asfalt.

Na jej łydkach zaciskają się dwie dłonie. Łysy. Jej głowa kołysze się na zewnątrz samochodu, włosy dotykają nawierzchni. Wycie wiatru wypełnia jej uszy. Czuje zapach morza, spaliny, sosny i chemiczny posmak, jaki ma powietrze w New Jersey. Czuje i słyszy wolność. Jest już blisko.

Wtedy ten wolny świat znika, jakby ktoś włączył cofanie filmu.

Łysy wciąga ją z powrotem do samochodu. Widzi jego twarz bezpośrednio nad swoją.

Chce uderzyć go czołem w nos, lecz ma wrażenie, że Łysy zna jej myśli, bo sięga zakrwawioną dłonią do jej czoła i przyciska jej głowę do siedzenia.

Drugą dłonią wyjmuje strzykawkę.

Miriam walczy. Z czubka igły wytacza się kropla przejrzystego płynu. Porwana pędem wpadającego przez wciąż otwarte drzwi powietrza urywa się z kawałka ostrego metalu i znika gdzieś z tyłu.

– Niedługo porozmawiamy – mówi Łysy.

I wbija igłę w jej szyję.

– Nneeee. – Dziewczyna walczy z taśmą na ustach.

Świat zaczyna się trząść i rozpada się na kawałki. Okruchy rzeczywistości odpływają w ciemność.

JAŁOWOŚĆ

Świat faluje. Wszystko jest świeże jak mokra farba na płótnie, a kolory ściekają wielobarwną plamą.

Miriam czuje czyjeś dłonie pod pachami. Jej stopy wloką się po piasku. Jest popołudnie, widzi przebijającą się przez chmury czerwień zachodu słońca. Słyszy komary. Jasne sosny rzucają długie cienie. Zdają się mieć palce, którymi usiłują oderwać jej ciało od kości.

Przed nią idzie Łysy. Jego biały garnitur jest spryskany krwią.

Krwia Ashleya.

Stopa Ashleya spoczywa w przejrzystej torebce strunowej, którą sukinsyn trzyma w dłoni. Idzie i kołysze nią.

Czas nie biegnie jednostajnie. Teraz płynie wolniej.

Są gdzieś. Nigdzie. Dużo drzew. Na mchu leży odwrócona wanna. Jej spód pokryty jest czymś czarnym niczym pleśnią.

Na ciężkim łańcuchu kołysze się opona. Na oponie siedzi wielki czarny kruk. Potrząsa skrzydłami, jakby dobrze się bawił.

Stawia stopę na muszelkę. Jest krucha. Pęka pod jej ciężarem.

Miriam chce coś powiedzieć. Usta ma zaklejone taśmą. Z jej gardła wydobywa się płaczliwe jęczenie. Oddycha przez nos: powolny, suchy gwizd.

Przed sobą widzi niewielki domek. Biały siding, na dole porośnięty mchem.

Na szczęście to nie kolejny motel, myśli.

Potem traci przytomność.

Trzask.

Miriam gwałtownie otwiera oczy. Świat ze świstem wiruje dookoła – w uszach szumi krew. Przyływ porywa ją w kierunku pełnej świadomości.

Miriam wisi pod prysznicem. Na ścianach widzi wyblakłe płytki w kolorze morskiej piany.

Ręce ma związane nad głową i przymocowane do rury z deszczownicą.

Nogi ma również związane. Ledwie dotyka nimi brodzika. Musi stać na palcach. Nie może się podeprzeć. Jest jak robak nabity na haczyk wędkarza.

W drzwiach stoi Frankie. Jest zbyt wysoki, musi przekrzywiać głowę.

Łysy siedzi na klozecie. Zaschnięte smugi krwi – jak rozmazana maskara na twarzy zapłakanej dziewczyny – znaczą jego policzki. Na kolanach trzyma jej pamiętnik. Delikatnie go zamyka.

Harriet potrząsa przed jej twarzą taśmą, którą przed chwilą oderwała z jej ust, a potem cofa się. Dziwaczna drwina.

– Przeczytałem to wszystko – wyjaśnia Łysy, stukając pamiętnikiem w kolana.

– Pieprz się – mamrocze Miriam.

Łysy potrząsa głową, a Harriet zabiera się za zakładanie czarnych rękawiczek.

– Taka trywialna odpowiedź. Pieprzyć to, pieprzyć siamto, pieprzyć mnie, pieprzyć ciebie. Głupia mała dziewczynka. Harriet, zauważyłem cię siniaka pod jej okiem. Czy wskrzesisz go z martwych?

Harriet zbliża się do brzegu brodzika i trafia Miriam pięścią w twarz. Głowa dziewczyny odskakuje.

– Świetnie, o to chodziło – mówi Łysy. – To ci będzie przypominało o grzeczności i manierach w tak doborowym towarzystwie. No dobrze, skoro mowa o martwych. Z tego, co się zorientowałem, potrafisz nawiązać z nimi pewną specyficzną więź, prawda?

– Nie z martwymi – charczy dziewczyna. – Z umierającymi.

– Tak, zgadza się. Wszyscy umieramy, prawda?

– Umieramy.

– Dziękuję. Widzisz? To jest właśnie grzeczność, na którą liczyłem. Wspaniale. – Łysy trzyma pamiętnik i wymachując nim, mówi dalej. – Uznałem, że to, co piszesz, to prawda. Nie sądzę, żebyś sobie to wszystko zmyśliła, niezależnie jak dalece jesteś zaburzona. Czy mogę opowiedzieć ci o swojej babce?

– Śmiało. Nigdzie się nie wybieram.

Łysy uśmiecha się. W jego oczach pojawia się błysk zadowolenia, kiedy przypomina sobie o swojej rodzinie.

WIEDŹMA

Moja babka, Milba, była wiedźmą.

Już jako mała dziewczynka, zbierając jagody na bagnach, widziała wiele rzeczy. Jej wizje nie przychodziły same z siebie, lecz z jej daru do studiowania otaczającego ją świata. Dotykała różnych przedmiotów, dotykała natury, dotykała bagna i wszystkie te rzeczy pokazywały jej, co ma się wydarzyć.

Jeśli znajdowała kości węża, potrafiła ich użyć. Potrząsała nimi w swoich drobnych paluszkach i przyglądała się, jak przepływa przez nie woda bagna. Dzięki temu wiedziała, co może się stać jej ojcu jeszcze tego samego dnia, kiedy będzie szedł na rynek, albo że jej siostra wbije sobie zadrę pod paznokieć.

Potrafiła czytać wiedzę z jagód, które rozgniatała między palcami. Czerwona maź mówiła jej, jaka będzie pogoda. Wystarczyło, by przesunęła dłonią po korze drzewa i już wiedziała, jakie ptaki zamieszkują jego gałęzie. Skręcając kark małemu króliczkowi, dowiadywała się, gdzie jest nora pozostałych.

Później, kiedy ja byłem dzieckiem i przyjeżdżaliśmy na wieś, moja babcia siadała na schodkach swojej chatki i ostrzyła noże. Przysuwała do oczu ziarna groszku i fasoli, czytając, co mają jej do powiedzenia. Na starość babcia była drobną, zmęczoną kobietą. Wyglądała jak zgięty patyk. Miała wygięte artretyzmem palce i nos jak haczyk. Sąsiedzi nie rozumieli, co mamrotała, więc zaczęli nazywać ją wiedźmą.

Nazywali wiedźmą, żeby obrazić. Nie wiedzieli, że babcia wciąż miewała wizje. Nie wiedzieli, czego te wizje dotyczą.

Wkrótce przekonali się, jaką wiedzę posiadała.

Przyszedł kolejny dzień szkoły, kiedy znów znęcano się nade mną. Jako dziecko byłem chudy i chorowity. Na dodatek sprawę pogarszał fakt, że od urodzenia nie miałem ani jednego włoska na całym ciele. Wtedy jeszcze słabo mówiłem po angielsku i nie wszyscy mnie rozumieli. To też nie ułatwiało mi życia.

Chłopiec, który się na mnie wziął, miał na imię Aaron i był Żydem. Tłusty, wielki i silny z burzą kręconych włosów na głowie. Twierdził, że mnie nienawidzi, bo jestem Niemcem. Powtarzał, że jestem „pierdolonym nazistą”, chociaż przecież nie byłem nawet Niemcem. Jestem Holendrem, wyjaśniałem mu. Holendrem.

Nie słuchał. Z początku męczył mnie tak, jak dzieci mają w zwyczaju. Przyciskał do ziemi i bił, dopóki nie poleciała krew z nosa i nie byłem cały w sińcach.

Z czasem robił się coraz gorszy.

Przypalał mi ramiona zapalkami. Wciskał różne śmieci do uszu – małe kamyki, patyczki, mrówki – aż w końcu zacząłem cierpieć na zapalenia i infekcje. A on robił się coraz bardziej bezwzględny i wymyślał kolejne tortury – nacinał nożem skórę po wewnętrznej stronie ud i dźgał w tyłek.

W końcu poszedłem poskarżyć się babci. Chciałem, żeby powiedziała, kiedy to się skończy. Poprosiłem ją, żeby mi pokazała. Wiedziałem, kim była i co potrafiła, ale zawsze przerażała mnie na tyle, że bałem się ją poprosić o cokolwiek. Tym razem byłem zdesperowany.

Babcia obiecała, że mi pomoże. Posadziła obok siebie i powiedziała: „Nie bój się tego, co zobaczę, bo to, co widzę, jest częścią natury. Taka

właśnie jest natura. Czytam tylko jej znaki. Używam jej części jak kości czy liści na wietrze. One mi mówią, co się stanie. Świat utrzymuje swoją specyficzną równowagę, a to, co widzę, jest równie magiczne, jak to, co widzisz ty, spoglądając na skrzynki pocztowe wzdłuż drogi czy idących ludzi. Ja po prostu potrafię dostrzec tę równowagę”.

Babcia miała cały słoik zębów zwierząt. Kolekcjonowane przez wiele lat. Wysypała je wszystkie przede mną. Zdarła strupek z miejsca, w którym Aaron poparzył mnie zapałką, zebrała trochę krwi i spryskała nią rozsypane zęby.

Babcia powiedziała, że moje cierpienia szybko się skończą. Bardzo szybko. Następnej nocy.

Byłem strasznie podekscytowany.

– Aż tak szybko? – zapytałem.

Odpowiedziała, że tak, tak szybko. Zobaczyła to. Aarona miał spotkać koniec.

– Umrze? – zapytałem.

Potaknęła. Nie czułem z tego powodu smutku. Nie miałem wyrzutów sumienia. Czułem się szczęśliwy.

Następnej nocy leżałem w łóżku i nie mogłem zasnąć, jak dziecko czekające na Świętego Mikołaja. Nie mogłem zmrużyć oka. Byłem zbyt podniecony i trochę przerażony.

Usłyszałem zgrzyt. Dobiegał z dworu. Jak metal trący o kamień.

To była babcia. Wzięła jeden ze swoich kuchennych noży, naostrzyła go i poszła prosto do domu Aarona – nie miała daleko. Mieszkał z rodziną niecałą milę od nas. Zadźgała go, kiedy spał. Pchnęła go sto razy.

Kiedy wróciła, powiedziała, co zrobiła, i dała mi nóż.

– Czasem sami musimy zdecydować, co chcemy zobaczyć – wyjaśniła.

A potem wyszła na dwór czekać.

Przyszli po nią nad ranem. Nie ukrywała tego, co zrobiła – miała ubranie całe utyłane krwią mojego oprawcy. Nie wiem, czego od niej chcieli, kiedy przyszli; nie wiem, czy chcieli ją zabić, ale było już za późno.

Zmarła tam, gdzie siedziała.

Na schodkach, pochylona, jak wierzba płacząca. Nieżywa.

Nie płakałem za Aaronem.

Płakałem za nią.

ŁYSY SUKINSYN UMIERA

– Urzekła mnie twoja historia – mówi Miriam. – Naprawdę, bardzo mi się podoba, bo w żaden sposób nie potwierdza zdolności twojej babki. Najpierw mówi, że coś się wydarzy, a potem idzie zamordować małe dziecko, żeby to była prawda. Niesamowite. No, w końcu rozumiem, dlaczego wierzysz w magię.

Łysy przestaje się uśmiechać. W jego głosie pojawia się ostra nuta.

– Uważaj na język, bo ci go odgryzę. Babcia słyszała naturę. Uratowała mi życie, kiedy jeszcze byłem zbyt słaby, żeby zrobić to samemu.

Miriam milczy. Czuje pulsujący ból wokół oka, gdzie trafiła ją pięść Harriet.

Niska, przysadzista kobieta chodzi tam i z powrotem wzdłuż wanny. Zaciska pięści.

– Nauczyła mnie również, że wszechświat ma swoje zasady. Zasady, które są ukryte dla ludzi, chyba że ktoś bardzo chce je dostrzec. Ale do tego trzeba poświęcenia i pracy.

Łysy wyciąga z zanadrza mieszek i potrząsa nim. W środku coś grzechoce, podobnie jak kostki do gry.

– Zbieram kości. Z nich czytam.

Miriam zanosi się kaszlem.

– Wspaniale. Też masz swoje voodoo.

Przez chwilę Łysy Sukinsyn nic nie mówi, tylko patrzy na nią. W końcu potakuje.

– Zgadza się.

Miriam nie jest przekonana. Uważa, że kłamie. Możliwe, że sam w to uwierzył, a może tylko chce przekonać innych, że to prawda.

– Tak czy inaczej – kontynuuje Łysy – twoje umiejętności są daleko precyzyjniejsze niż moje. Jesteś na równi z moją babką. Zrobiłaś na mnie wrażenie. Więcej, wzruszyłaś mnie.

– Jakże się cieszę, że mi się udało.

– Zawsze szukam najlepszych do mojej organizacji.

– A co to za organizacja?

– Akwizycja i dystrybucja.

– Prochy, spluwy, prochy, żywy towar, prochy.

W jego oczach pojawił się błysk.

– Przykro mi, nie mogę ci pomóc – mówi Miriam.

– Możesz. Masz wizje. Poza tym nie jesteś moralną osobą.

– Czuję się urażona – odpowiada. I to prawda. Mówi to z ironią, ale naprawdę ją zranił. Oto zły człowiek zaliczył ją do swojego gatunku, uznał, że są podobni. – Jestem złą dziewczynką, ale nie złym człowiekiem.

– A co to za różnica?

Oczy Miriam to dwie dziury po nożu, z których wartkim strumieniem tryska czysta nienawiść.

– Tak właśnie myślałem. – Łysy kiwa głową i gładzi palcami jej pamiętnik. – W takim razie od teraz pracujesz dla mnie. Witaj w zespole. Organizacja doceni twoje wyjątkowe umiejętności.

– Nie rozmawialiśmy jeszcze o wynagrodzeniu.

Łysy chichocze.

– Doprawdy?

– Nie potrzebuję ubezpieczenia zdrowotnego, bo i tak zbyt dużo piję i jeszcze więcej palę. Prawdę mówiąc, mam przeraźliwą ochotę na dymka. Zatem w rewanżu za oszczędność twoich pieniędzy, bo, jak mówiłam, nie potrzebuję ubezpieczenia zdrowotnego, a pamiętaj, że to krwiopijcy, ci ubezpieczyciele, proponuję, żebyś pozwolił mojemu przyjacielowi odjechać. Louisowi. Zostaw go w spokoju.

– A co z moją walizką?

– Zdobę ją dla ciebie. Pozwól mi się z nim spotkać. Wtedy ci ją oddam.

– Składasz mi propozycję? Negocjujesz?

– Zgadza się. Będę dla ciebie pracowała, jeśli nic mu nie zrobisz.

Widzi, że Łysy się zastanawia. Jej oferta jest niczym cień, który przesuwa się po jego twarzy. Marszczy brodę. Gładzi dłońmi łąsą głowę. I wtedy Miriam już wie: on tylko udaje. Robi dla niej przedstawienie. Drażni się z nią.

– Hm – mówi, jakby poważnie rozważał jej propozycję. – Nie.

– W porządku. Ale nie licz, że będę dla ciebie pracowała.

– Zrozum, że nie jesteś w pozycji, która pozwalałaby na prowadzenie negocjacji. Najśłabszy, najbardziej chorowity wilk w watasze nie negocjuje z samcem alfa o większy udział w zdobyczach. Tak się nie robi. Nie miałabyś dla mnie szacunku, gdybym przystał na twoje życzenia. Wyczuwam w tobie postawę, hm, jak by to powiedzieć: „daj komuś palec, a weźmie całą rękę”. Zgadłem? Dam ci drobiazg i już się od ciebie nie opędzę. Nie jestem twoim ojcem.

– Nic dziwnego. Twoje chore nasienie zwykłego eurośmiecia nie zapłodniłoby nawet samicy osła. Choć jestem pewna, że nieraz próbowałeś takiego bara-bara, łysy osłojebco!

– Poza tym – Łysy ignoruje jej słowa – wyraźnie widać, że zależy ci na tym gościu z ciężarówki. Muszę pozbawić cię wszystkiego, na czym ci zależy, żeby być wszystkim, co ci zostało.

Wstaje, odkłada pamiętnik na klapę toalety i podchodzi do prysznica.

Stawia jedną stopę na brzegu brodzika. Przesuwa dłońią nad jej biodrami, jednak ich nie dotyka. Potem wędruje nimi w górę, nad jej brzuchem i piersiami.

– Ja jestem wszystkim, na czym ma ci zależeć. Masz pożądać mojej aprobaty. Mojego uśmiechu. Tak jak oni.

Harriet i Frankie – oni, o których mówił – spoglądają szybko na siebie. Frankie nie czuje się swobodnie, za to puste oczy Harriet wybuchają na ułamek sekundy radosnym błyskiem.

– Twoje pierwsze zadanie. – Jego palce, przypominające naostrzone kawałki kości, krążą nad jej obojczykami i szyją. Miriam przez chwilę wyobraża sobie, że jakoś uwalnia się z więzów, jak narzeczona wielkiego Hulka, wyrywa ze ściany deszczownię prysznica i wbija ją w głowę Łysego. Po samą końcówkę. – Powiesz mi, jak umrę.

Odcharkuje kulkę flegmy i spluwa mu w oko. Trafiony zatopiony.

– Nie.

Wyciera się wierzchem dłoni.

– Wiem, że wystarczy, że kogoś dotkniesz – mówi.

Potem silnymi palcami chwyta jej brodę...

W powietrzu unosi się głucho dudnienie muzyki wydobywające się z nocnego klubu; alejka jest skąpana w mroku rozświetlonym jedynie słabym neonem przy głównej ulicy. Łysy wychodzi z tego cienia. Jest sam. Nie ma z nim Frankiego ani Harriet.

Ma na sobie pastelworóżowy garnitur, czarne buty i lustrzane ciemne okulary, mimo że jest już po północy.

Jego twarz przecinają głębsze bruzdy. Nawet skóra na głowie jest jakby luźniejsza – bo to jest siedem, prawie osiem lat później.

Jego czarne buty stukają na metalowych stopniach prowadzących do tylnego wejścia nocnego klubu.

Łysy rozgląda się dyskretnie: wielki czarny skurwysyn o skórze ciemnej jak szkło wulkaniczne wynurza się bezszelestnie zza śmietnika. Ma na sobie czarną kamizelkę. Rozpięta ukazuje jego błyszczące potem ciało, pokryte kępkami czarnych włosów.

Drzwi na końcu schodów uchylają się odrobinę i nieruchomieją.

Wielki mężczyzna porusza się bezszelestnie. Jest już na schodach. Jedna wielka stopa za drugą. Pędzi w stronę Łysego.

Łysy udaje, że go nie widzi.

Kiedy nieznajomy bierze zamach, Łysy jest gotów.

W dłoni wielkiego mężczyzny znikąd pojawia się zakrzywione ostrze noża kukri. Spada na Łysego, taki przynajmniej był plan. Jednak nóż przecina powietrze, bo Łysy odskakuje i przywiera do barierki.

Błysk metalu. Łysy unosi dłoń, dłoń malarza.

Trzyma w niej prostą brzytwę. Błyskawicznie kreśli wielkie X na odsłoniętej piersi napastnika.

Ale wielkolud nie zwraca na to uwagi. Uderza łokciem w nadgarstek Łysego. Jego broń wylatuje w powietrze i, dzwoniąc o metalowe schody,

upada na ziemię.

Drzwi na górze otwierają się szerzej. Muzyka robi się głośniejsza.

Szczupłymi dłońmi o długich palcach Łysy chwyta wielkiego napastnika za głowę. Robi to w taki sposób, w jaki łapie się zbyt dużego hamburgera. I rzeczywiście, zabiera się do jedzenia. Odgryza mu nos. Policzek. Szczękę. Szarpie jego głową na boki. Krew tryska na ścianę i schody.

Wielki czarny mężczyzna krzyczy.

Wtedy rozlegają się dwa wystrzały.

Ktoś pojawia się na górze schodów. Patykowaty narkoman w wełnianej czapce opuszczonej nisko na oczy i policzkach w krwawych egzemach po długim zażywaniu metamfetaminy.

W dłoni trzyma trzydziestkę ósemkę z krótką lufą. Na plecach Łysego zakwitają dwie krwawe róże. Mężczyzna puszcza potężnego napastnika z nożem. Poraniony sukinsyn trzyma się za przerobioną na tatar twarz i pada na ziemię. Zanim upadł, Łysy bez najmniejszego wysiłku odbiera mu kukri.

Łysy odwraca się do narkomana. Unosi ostrze.

Uśmiecha się, ale jest wzburzony. Usta ma otoczone szkarłatną krwawą szminką.

Łysy rzuca się na narkomana.

Zakrzywione ostrze trafia chłopaka w głowę i zagłębia się do połowy.

Pistolet wypala.

Mózg Łysego wylatuje w powietrze, jakby ktoś wylewał miednicę brudnej wody po praniu.

Krew momentalnie zalewa mu twarz. Rozgląda się. Siada na schodach. Narkoman leży obok. Czerwona ciecz kapie mu z nosa na usta. Zlizuje ją i sprawia wrażenie, jakby lubił jej smak. Jakby poważnie zastanawiał się nad tym czy zostać kanibalem. Potem przewraca się na bok. Jest martwy.

...i ściska tak mocno policzki, że Miriam je przygryza.

Trzyma ją tak przez chwilę i świdruje wzrokiem.

– Widziałaś – szepce. – Widziałaś, jak umieram.

Miriam potakuje, na tyle, na ile pozwalają jej jego palce.

Łysy promienieje. Puszczą dziewczynę. Jest ciekaw. Jest podekscytowany.

– Mów. Powiedz mi.

Miriam uśmiecha się smutno.

– Zabiję cię – kłamie. – Ja. Zastrzelę. Pierdolnę w łeb ze spluwy.

Łysy przygląda jej się uważnie. Dziewczyna widzi jego spanikowane oczy. Możesz sprawić, że mam wizję, myśli, ale nie możesz mnie zmusić, żebym powiedziała ci prawdę.

– Kłamie – mówi Harriet. – Widzę to.

Łysy odsuwa się od niej.

– Powiesz mi – mówi, wciąż nieprzekonany. – Powiesz mi, żebym mógł się przygotować. Pokonać przeznaczenie. Wykiwam je. Pokonam śmierć, z twoją pomocą lub bez.

– To tak nie działa. – Miriam potrząsa głową. W ustach czuje miedziany smak krwi. – Nie pokonasz systemu. System zawsze zwycięża.

– Ja jestem wyjątkowy.

Dzwoni telefon Łysego. Podnosi go, spogląda na wyświetlacz i pstryka palcami na Frankiego.

– Pomóż naszej nowej pracownicy odpocząć.

Łysy odbiera połączenie, a Frankie schyla głowę i wchodzi do łazienki. W dłoni trzyma strzykawkę.

Miriam walczy i szarpie się. Ma nadzieję, że w końcu odpadnie głowica prysznicowa, do której jest przywiązana.

Frankie wbija igłę w jej kark.

– Tak? – mówi Łysy do słuchawki.

Świat rozciąga się w nieskończoność i traci ostre kontury. Zlewa się w niewyraźne plamy.

– Wiesz, gdzie? Masz zamiary? – słyszy pytanie Łysego, ale tak, jakby była pod wodą. Jego słowa docierają do niej bardzo powoli. Ciągają się jak miód, melasa, jak smoła. – Wiesz, gdzie dopadniemy tę ciężarówkę?

Louis, myśli jeszcze.

Po raz kolejny pochłania ją mrok. Gasną światła.

SEN

Matka Miriam siedzi przy stoliku, ale jej nie widzi. Pewnie nie może jej zauważyć. To strasznie frustrujące. Dziewczyna nie widziała jej od ośmiu lat, a to teraz, to się nie liczy, bo to przecież sen. I wie, że to sen.

Matka jest wynędzniała. Skurczyła się i wyschła jak suszona morela. Nie jest jeszcze stara, o nie, ale wygląda na więcej lat, niż ma. Czas – ten złudny, senny czas, czas w chorej głowie Miriam – pozostawił swój ślad.

– Już prawie koniec – słyszy za sobą głos Louisa.

Taśma na jego oczach wybrzusza się i pulsuje masą kłębiących się pod nią karaluchów.

– Aha – mówi Miriam.

– To ile nam jeszcze zostało? – pyta Louis, spoglądając na nadgarstek, jakby sprawdzał godzinę, choć nie nosi zegarka. – Dwadzieścia cztery godziny. Albo coś w okolicach.

Matka otwiera Biblię, studiuje kolejne strony.

– Jeśli jednak ma to być ofiara wynikająca ze ślubu – mówi matka – albo ofiara dobrowolna, to mięso żertwy powinno się jeść tego samego dnia, a resztę z niego powinno się zjeść następnego dnia. Jeśli jednak część z tego mięsa pozostanie jeszcze na trzeci dzień, to będzie spalona w ogniu.

Miriam potakuje. Jest spokojna, zamyślona.

– Dwadzieścia cztery godziny? Zabawne, że ty to wiesz, bo skoro ty wiesz, to znaczy, że ja to wiem, a... a ja tego nie wiedziałam. Ostatni raz

widziałam, która jest godzina... sama nie wiem... pewnie w czasie jazdy samochodem.

– Może to jakaś podświadoma część twojego mózgu. Podstępny i potężny skurczybyk z tej podświadomości.

– Pewnie masz rację.

– A może jestem po prostu potężniejszy. I nie jestem częścią ciebie. Może jestem samą Śmiercią. Może jestem Abaddonem, Panem Otchłani albo Śiwą, Niszczycielem Światów. A może jestem nicią życia, przeciętą bezdusznymi, okrutnymi nożycami w dłoniach Atropos, jestem zwiniętą przędzą losu, splątana na podłodze, u twoich stóp.

– Wspaniale. Dzięki za robienie mi wody z mózgu i to wewnątrz mojego własnego snu.

Matka Miriam zaczyna mówić.

– Wszystkie bowiem gatunki zwierząt i ptaków, gadów i stworzeń morskich można ujarzmić i rzeczywiście ujarzmiła je natura ludzka. Języka natomiast nikt z ludzi nie potrafi okiełznać, to zło niestateczne, pełne zabójczego jadu.

– Zamknij się, mamó – mówi Louis, a Miriam wyjaśnia:

– Ona chce mi powiedzieć, że mam niewyparzony język.

– To ty chcesz sobie powiedzieć, że masz niewyparzony język.

– Niech będzie.

– Co teraz? – pyta mężczyzna.

– Nic. Chyba nic. Ostatnim razem, kiedy byłam przytomna, wisiałam przywiązana do prysznicza w jakiejś rozpadającej się chałupie, na totalnym zadupiu. Pewnie gdzieś w New Jersey. W takich warunkach trudno snuć jakieś plany na przyszłość.

– Czyli nie chcesz już mnie ratować?

– O rany, a jakie mam możliwości?

– Dawajcie, a będzie wam dane – przerywa jej matka.

– Mamo, nie wtrącaj się.

Kobieta kontynuuje.

– Bo takim sądem, jakim sądzicie, i was osądzą; i taką miarą, jaką wy mierzycie, wam odmierzą.

– Mamo, przecież z kimś rozmawiam! – warczy dziewczyna. Ma nadzieję, że uda jej się wyrzucić ze swojego snu matkę, która wpadła w amok cytowania Biblii. Kobieta nie zwraca na nią uwagi. Jest jak kamień w cewce moczowej, jak by się człowiek nie napiął, nigdzie go nie ruszy.

– Dobra, jak już mówiłam, nie mam możliwości działania. Już nie będę się siliła, żeby być wybawcą. I tak nic nie zmienię.

– Brzmisz co nieco fatalistycznie.

– Fatalistycznie. Fatalnie. O cholera, nigdy nie zwróciłam na to uwagi. Pieprzone gierki językowe. Fatalistyczny i fatalny. Taki jest los. A ja głupia nigdy tego nie zauważyłam. Widzisz to teraz? Nasze losy są z góry przesądzone, jak zjazd na sankach w kierunku przepaści. Każdy musi kiedyś umrzeć, więc jaki jest sens, żeby próbować to zmienić? Wszyscy spadniemy w przepaść, i tyle. Koniec gry. Ja po prostu widzę, kiedy ludzie tam spadają. Widzę, jak do tego dochodzi. Ale gównu mogę zrobić, żeby temu zapobiec, łapiesz to w końcu? To tak, jakbym chciała zatrzymać rozpedzony pociąg, kładąc na szynach pieniądze.

– Ale to działa.

– Gównu działa. Mam przesrane, co znaczy, że ty też masz równo przesrane. Koniec, kropka.

– Wydłubie mi oko. Nożem.

Serce Miriam zmienia się w bryłę lodu.

- Wiem.
- Zawołam cię, zanim umrę. Czy to nie dziwne?
- Nie – kłamie.
- Umrę.
- Jak każdy.
- Umrę w okropny, bolesny sposób. Będą mnie torturować.
- Taki los.
- Przez ciebie. Ale możesz to zmienić. Musisz to zmienić.
- Przeznaczenia nie da się zmienić.

Matka odwraca się w jej stronę.

Spogląda Miriam prosto w oczy. Mimo że nie rusza się z miejsca, ma dostatecznie długie ramiona, by sięgnąć przez cały pokój i przyciągnąć córkę do siebie. Świat się unosi, rwie, przecieka do niego obce światło, a obraz się rozmazuje.

Matka mówi:

– Twe oko nie będzie miało litości. Życie za życie, oko za oko, ząb za ząb, ręka za rękę, noga za nogę.

Miriam zaczyna się jąkać.

– Nie rozumiem...

Wtedy sen brutalnie się kończy.

CZYŻ TORTURY NIE SĄ WSPANIAŁE?

Właściwie to pięść brutalnie kończy sen.

Pięść Harriet. Cios trafia Miriam prosto w splot słoneczny. Powietrze ucieka jej z płuc. Zgięłaby się w pół, gdyby tylko mogła, ale nie może, więc tylko kaszle, jakby próbowała wypluć z siebie kłębiącą się masę z czeluści klatki piersiowej.

– To jak, już nie śpimy? – pyta Harriet.

Miriam mruga, żeby pozbyć się mgły spowodowanej przez świnstwo, które wstrzyknął jej Frankie. W końcu widzi, że Harriet ma na dłoniach czarne rękawiczki. Żeby nie zobaczyła, jaka śmierć ją spotka? Czy ona ma naprawdę takiego fioła na punkcie kontroli?

– W sensie... – chciała dodać słowo „technicznym”, ale brakuje jej powietrza. Dyszy tylko i jęczy, usiłując wypełnić pustą pierś życiodajnym tlenem.

– Splot słoneczny to doskonałe miejsce do zadania ciosu – wyjaśnia jej Harriet. – Najlepiej, jeśli przeciwnik nie jest odpowiednio wytrenowany. Splot słoneczny to miejsce, w którym spotykają się nerwy. Osoby trenujące sporty walki potrafią odpowiednio wzmocnić mięśnie w tym miejscu, tworząc coś w rodzaju zbroi. Jednak w każdym innym przypadku to wręcz doskonałe miejsce do zadania ciosu.

Miriam z trudem łapie powietrze. Powoli zaczyna przychodzić do siebie.

– Dzięki za szybkie korepetycje z MMA, Tito Ortiz.

– Nie mam pojęcia, kto to.

Miriam oblizuje spierzchnięte, spękane usta.

– Jakoś nie jestem zaskoczona. No dobra, dzięki za pobudkę, bo akurat miałam dość nieprzyjemny sen. Robiło się naprawdę nieciekawie. Chryste, zaczynam się bać swojej głowy i tego, co się w niej dzieje. Ale okej, czemu zawdzięczam przyjemność?

Harriet błyskawicznie układa palce na kształt maczety i uderza Miriam w szyję.

Dziewczyna znów zaczyna się krztusić i panicznie usiłuje nabrać powietrza. Twarz robi się czerwona. Oczy niemal zapadają się w głąb czaszki, do mózgu. Chociaż równie dobrze mogą zaraz wystrzelić z oczodołów i spaść gdzieś na podłogę.

– Wyrostek sutkowaty – wyjaśnia jej Harriet. – Chroni tchawicę. Uderzenie wywołuje u przeciwnika odruch wymiotny. To momentalnie wstrzymuje walkę. Wszelkie odruchy gardłowe wywołują natychmiastowe uczucie strachu i panikę, dając ogromną przewagę atakującemu.

Kiedy Miriam odzyskuje oddech i pokonuje odruch, by zwymiotować kwas żołądkowy, a potem cały żołądek, pyta:

– Dlaczego... – kaszel – po co te gierki?

– Bo chcę, żebyś miała świadomość, co robię.

– Powtórzę. Dlaczego?

– Chcę wykształcić w tobie odruch. Masz się mnie bać. Po jakimś czasie sama moja obecność stanie się dla ciebie torturą. Jeśli człowiek dostatecznie długo męczy psa, pies zacznie się bać wszystkich ludzi. Pies

staje się słaby. Zwierzę staje się tchórzliwe. Boi się strachu. W każdej chwili jest gotowe, by podkurczyć ogon i zlać się pod siebie.

Niewiele brakuje, by Miriam wybuchnęła śmiechem.

– Możesz mi wierzyć albo nie, ale słowo honoru, że już się ciebie boję. Boję się twojego braku uczuć. Jeśli mam być zupełnie szczerą, to też panicznie się boję twojej fryzury. Wygląda, jakby ktoś przycinał ci włosy toporkiem. Chryste, trochę lakieru i mogłabyś komuś podciąć gardło grzywką.

Harriet trzykrotnie uderza ją pięścią w pachę.

Ciało dziewczyny skręca się z bólu. Krzyczy.

– Pacha. Jeszcze jedno miejsce, w którym zbiegają się nerwy.

– Czego chcesz?! – wrzeszczy Miriam. – Chcesz o coś zapytać? Śmiało! Pytaj, wszystko ci powiem. Tylko błagam, przestań już!

– Błaganie. Tego chyba jeszcze nie znałaś, co?

Miriam prawie płacze.

– Bardzo cenię sobie elastyczność. Wiesz, jak rekin. Płyniesz naprzód albo giniesz. Więc po prostu zadaj pytanie, a ja ci odpowiem. Jestem jak otwarta księga.

– Niczego nie chcę wiedzieć.

– Nie chcesz się dowiedzieć, jak umrze Łysy?

Harriet potrząsa głową.

– To po jaką cholere mi to robisz?

Harriet uśmiecha się. Przerazający widok. Ma małe zęby, drobne białe kamyczki w pyszczku ratlerka.

– Bo to naprawdę lubię.

Cholera. Ona cię zabije!

Musi szybko wymyślić jakiś sposób, żeby się z tego wyrwać. Musi ją uprzedzić. Pokonać.

Wpada na pomysł.

– Łysy chce, żebyś mnie torturowała? To on ci kazał? Dziwne. Po co miałabyś męczyć swoją nową koleżankę z pracy, zmieniając ją skutecznie w krwawy kawałek nieprzydatnego kotleta?

– On o tym nie wie. I pewnie nie chce wiedzieć. To moja inicjatywa. – Jej oczy błyszczą. – Czasem kobiety potrzebują trochę czasu dla siebie, ot, co.

– A ten lalusz nie mógł się tobą zająć?

Harriet opiera stopę na brzegu brodzika.

– Ty i ja – mówi. – Jesteśmy bardzo podobne.

– O tak, też tak myślę – Miriam potakuje. W popieprzonym świecie równoległym, dodaje w myślach.

– Obie jesteśmy twarde. Obie zrobimy wszystko, co trzeba, by przetrwać do następnego dnia. Ale najważniejsze, że obie lubimy to, co robimy. Ty jesteś potworem, ja jestem potworem. I to nam się podoba. Mnie bycie potworem podoba się znacznie bardziej niż tobie, ale to zrozumiałe. Ty wciąż udajesz, że masz problem z akceptacją. Mała panikara, szukająca własnej tożsamości. Teatrzyk dla ubogich. Ja mam to już za sobą.

– Nic cię już nie zastanawia ani nie budzi wyrzutów sumienia?

– Nie, nic mnie już nie rusza. Mam to już za sobą.

– Jak sobie poradziłaś?

– Ingersoll pokazał mi drogę.

– Łysy? Jaką drogę? To musi być interesujące.

Harriet opowiada.

HISTORIA HARRIET

Pokroiłam męża i przepuściłam kawałki przez młynek do odpadów.

MAŁA, ALE NIE SŁODKA

Miriam czeka na dalszy ciąg.

Harriet nie rusza się. Zaciska szczęki i pięści.

Skądś dobiega cykanie świerszczy. Słysząc szelest traw. Między Miriam a Harriet rozciąga się bezbrzeżna pustynia, po której hula wiatr.

To dobra taktyka na przetrzymanie. Musi ciągnąć to dalej.

– No i? To wszystko? – pyta z niedowierzaniem.

Harriet robi zaskoczoną minę.

– Jak to, „to wszystko”?

– Przecież to nie jest historia. Zdradziłaś zakończenie, ale nic nie opowiedziałaś.

– Mnie tam pasuje.

– Pomyśl tylko – mówi Miriam. – Historia to coś więcej. Nie jest przecież tak, że pewnego dnia, ni z tego, ni z owego, tniesz męża na kawałki i wrzucasz go do... co to było? Młynek na odpady? Serio?

– Serio – wyjaśnia kobieta. – Nie kości. Ale cała reszta przechodzi.

– Męża. Zmieliłaś męża.

– Tak jest. Męża.

Ponownie zapada milczenie. W domu panuje cisza. Słysząc tylko skrzypienie, jakieś popiskiwanie, trzaski. Ciche, jakby łyżeczka przełamująca skarmelizowany cukier na *crème brûlée*.

– Ja... mam wrażenie, że to nie jest całość. Że tam jest jeszcze coś. Interesującego.

Harriet wchodzi do brodzika i uderza ją łokciem w twarz. W szczękę, dokładniej rzecz biorąc. Miriam widzi błysk, po którym pojawia się wir wciągający ją w przestrzeń kosmiczną. Jakby na galopującym koniu przybywała po nią czarna dziura. Znowu czuje smak krwi. Jej język odruchowo wędruje po linii zębów, szukając pustego miejsca.

Miriam odwraca głowę i wypluwa szkarłatną kluczę, która teraz spływa po wypłowiałych płytkach. Z początku myślała o napluciu Harriet w oko, ale w tej chwili byłoby to całkowicie pozbawione sensu. Może później.

– Ooookejjj – mówi, czując, jak puchną jej wargi. – Czyli przychodzi dzień, kiedy postanawiasz pociąć męża i zmielić go w młynku na odpady.

– Zasłużył sobie, jeśli o to pytasz.

– Nie, nie o to. Jednak to chyba kłóci się z tym, co powiedziałaś wcześniej, że za tym mieleniem nie kryje się żadna historia. – Miriam mruga. – Chyba z buzi kapie mi krew.

– Kapie.

– Dzięki. Dobrze wiedzieć.

Dzwoni telefon Harriet. Otwiera klapkę i spogląda na ekran. Twarz kobiety nie wyraża żadnych emocji, jednak przez chwilę widać, że nie wie, co dalej.

Potem, po dłuższej chwili, Harriet wzrusza ramionami i opowiada swoją historię. Tym razem w całości.

HISTORIA HARRIET, TYM RAZEM Z UCZUCIEM I CAŁYMI ZDANIAMI

Nigdy nie rozumiałam Waltera.

Wyszłam za niego, bo tak się należy. Moja matka tak zrobiła. Moja babka. Wszystkie dziewczyny w mojej okolicy powychodziły za mąż. Znalazły sobie mężów i wspierały ich, kiedy było źle i trudno. Tam, gdzie mieszkałam, żony były dla mężów niczym kule dla kalek. Chodziki dla starców. Odkurzacze z piersiami.

Mój mąż nigdy nie wykazywał się dbałością o wygląd czy dobre manieri, i nie rozumiał, co to konsekwencje.

Kiedy sztorm dociera do wybrzeża, zostawia na nim masę śmieci. Stare deski, kubeczki papierowe – generalnie wszystko, co unosi się na falach. Jednak tylko śmieci. Odpadki.

Taki właśnie był Walter. Był menadżerem sprzedaży w fabryce barwników, przede wszystkim dla przemysłu kosmetycznego. Gdy wracał do domu z pracy, to, co robił, polegało na burzeniu porządku, który ja wprowadzałam.

Tak właśnie go zapamiętałam. Walter zostawiał za sobą ślady.

Zawsze miał buty ubrudzone pigmentami z fabryki, więc na dywanie zostawiał niebieskie plamy.

Skopywał buty ze stóp i zostawiał je tam, gdzie upadły. Zazwyczaj pod stolikiem przy kanapie.

Brudne odciski dłoni na koszuli. Na zasłonach. Na oparciu krzesła.

Krawat na kłamce albo na krawędzi łożka.

Wysoka szklanka z odciskami palców na brzegu szafki nocnej.

Jego dotyk był jak rak. Wystarczyło, że zbliżył dłoń do czegoś dobrego – do porządku, czystości, do staranności – by obrócić to w perzynę, skalać, zniszczyć i splugawić.

Nasze pożycie cielesne było podobne. Wdrapywał się na mnie, charczał i rzucał się. Zawsze z tym idiotycznym plaskaniem skóry o skórę, jakby chór żab siedział obok i nam klaskał.

Jego ręce zawsze były wilgotne od potu. Jego włosy również. Czułam, że w tym tonę. Przez cały dzień zajadał się długimi kanapkami wypchanymi różnymi dodatkami. Sosy oliwne, ocet, cebula, czosnek. Wszystko dało się wyczuć w jego pocie. Kiedy mnie dotykał, zostawiał na mnie swój zapach. Czułam się brudna. Zbrukana. Molestowana.

Walter był niezdara.

Po trzech latach małżeństwa uznał, że czas mieć dzieci. Powiedział mi o tym zaraz po obiedzie. Nigdy nie jedliśmy razem. On siadał przy stoliku kawowym, ja zostawałam w innym pomieszczeniu lub przy barku śniadaniowym, czekając, aż skończy, żebym mogła pójść i po nim posprzątać, zanim wdepcze i wgniecie wszystko w dywan, bo wtedy plam się już nie spierze.

Tamtego dnia przygotowałam rigatoni w sosie pomidorowym, na alkoholu. Pamiętam to bardzo dokładnie. Jeden makaron zeskoczył mu z talerza – Walter był strasznym fajtlapą, jeśli chodzi o jedzenie – i leżał na dywanie. Był jak robak, który chce się w nim zakopać. Stopiony parmezan ostygł i przykleił się do materiału. Sos też wsiąkał. Pomyślałam, że nie zmyję plamy bez odkurzacza parowego. To nie był pierwszy raz.

Wtedy to powiedział.

Wstał, położył dłoń na moich plecach, kiedy się schyliłam, żeby podnieść zrzucony przez niego makaron, i powiedział to bardzo oficjalnym tonem.

– Zróbmy dziecko.

Dwa słowa. Każde jak plama brudu. Każde jak makaron w sosie przyklejony do dywanu.

Wstałam i po raz pierwszy się zbuntowałam.

– Będziemy mieć dzieci, kiedy sam przestaniesz się zachowywać jak małe, brudne dziecko – powiedziałam.

Dałam mu szansę. Walter mógł jeszcze wszystkiego uniknąć. Mógł ocalić życie. Mógł powiedzieć coś miłego. Ale nic takiego nie powiedział.

Zamiast tego, otworzył usta i warknął:

– Uważaj, jak się do mnie odzywasz!

I zrobił... i zrobił coś niemądrego. Złapał mnie za nadgarstek – nadgarstek dłoni, której palce wciąż trzymały idiotyczny makaron z dywanu – i ścisnął go. Ścisnął go tak mocno, że sprawił mi ból. Chciał, żeby mnie bolało. Widziałam to w jego oczach.

Szarpnęłam się i uwolniłam rękę.

– Postanowione – orzekł.

Wróciłam do kuchni.

Podeszłam do blatu, na którym stał blender. Mieliśmy taki stary, ciężki blender firmy Oster, dwubiegowy, z metalową podstawą i dzbankiem z masywnego szkła.

Złapałam dzbanek za ucho i wróciłam do salonu.

Walter rozwalił się w swoim fotelu. Kiedy stanęłam obok, podniósł głowę i spojrzał na mnie.

– Po co to przyniosłaś? – zapytał.

A ja rozbiłam dzbanek na jego głowie.

Nie ogłuszyłam go, ale i tak wystarczyło, żeby mocno go zranić. Opadł na ten swój fotel, krwawiąc, i nie mógł się podnieść, chociaż bardzo się starał.

Zaciągnęłam go do kuchni.

Przygotowałam sobie stojak z kuchennymi nożami, tłuczek do mięsa i tasak.

Pocięłam go na kawałki. Zaczęłam od kończyn, w kierunku tułowia, więc przez większą część mojej pracy był żywy. Opuszki. Palce. Filety z łydek. Uda. Bicepsy. Prawie sto kilo mięsa. I wiadra krwi, wsiąkającej w fugi między płytkami, którymi wyłożona była podłoga.

Załadowałam jego kości do worka na śmieci. A mięso przepuściłam przez młynek w zlewie.

Ten młynek był bardzo dobry. Wytrzymały. Zaciął się dopiero na samym końcu, kiedy w wirnik wkręciła się skóra z włosami. W sumie to ja go zepsułam. Tak długo go włączałam, aż ze zlewu uniósł się dym.

Nie wiedziałam, co powinnam zrobić następnie, więc zadzwoniłam na policję i czekałam.

Aresztowali mnie. Nie stawiałam oporu.

Nie wyznaczono kaucji. Mieszkańcy okolic byli zszokowani tym, co się u nas wydarzyło. To była spokojna dzielnica zamieszкана przez klasę średnią. Jeśli wcześniej się cokolwiek tam działo, to jakaś przemoc domowa lub dzieciaki uruchamiające dla zabawy alarmy samochodowe.

Żona krojąca swojego męża na kawałki to jednak coś wyjątkowego.

Przez chwilę było o tym głośno w mediach ogólnokrajowych. Taki krótki błysk – krótki, ale ważny.

Dzięki temu Ingersoll dowiedział się o mnie i to go zainteresowało.

Przewozili mnie z więzienia do sądu, na rozprawę. Nie byłam pod jakimś szczególnym nadzorem. Byłam trzydziestokilkuletnią panią domu, która bez szemrania wykonywała wszystkie polecenia.

Nie spodziewali się, że w bok naszej furgonetki wjedzie rozpędzona ciężarówka.

Nie spodziewali się, że ktoś zaatakuje, żeby mnie uwolnić i uprowadzić.

Ale tak właśnie się stało. Ingersoll uznał moją historię za obiecującą i założył, że mam w sobie coś wyjątkowo przydatnego – coś, co mógłby z pożytkiem wykorzystać.

Miał rację. Przez większą część ostatniej dekady szkolił mnie. Wychowywał. Pielęgnował moje okrucieństwo tak, jak się kształtuje drzewko bonsai. Znacznie ważniejsze jest to, co uczynisz, niż to, co zostawiasz. Masz moje słowo, że tak jest.

I w ten oto sposób jestem tutaj. Zawdzięczam mu absolutnie wszystko. I dlatego to, co zrobię dzisiaj, co zrobię z tobą, sprawia mi niewyobrażalny ból. Ostatnia rzecz, jakiej pragnę, to zawieść Ingersolla.

Ale tak właśnie mnie wychował.

Nie lubię współzawodnictwa. Zbyt wiele gęb do wykarmienia, a za mało jedzenia. Rozumiesz już?

SAMOBÓJSTWO JEST BEZBOLESNE

Krew w żyłach Miriam zamieniła się w lodową kaszkę. Przesuwała się powoli i opornie, wywołując gęsią skórę na całym ciele.

– Tak, teraz już tak – mówi szeptem.

– W tej organizacji nie ma po prostu miejsca na nas dwie.

Miriam odwraca głowę i wyciera zakrwawioną i zapluta brodę o wyciągnięte boleśnie w górę ramię.

– Ta książka. – Harriet unosi jej pamiętnik z klapy sedesu. – Przeczytałam ją całą. Wszystkie twoje wpisy. Pochodzimy z podobnego miejsca, ty i ja. Przedmieścia niewielkiego miasta. Surowi rodzice. Tęsknota, by być kimś więcej, niż życie dla nas przewidziało. Wystarczyła odrobina wysiłku, a pokochałabyś to wszystko, co potrafisz widzieć i co robisz.

– Nie jestem okrutna. Nie jestem taka jak ty.

Harriet stuka kostkami w okładkę brulionu.

– Owszem, zauważyłam jedną poważną różnicę – zgadza się z Miriam.

– Ciebie nie uratowałyby nawet siła Ingersolla i moje doświadczenie życiowe. Wpadłaś w korkociąg, który sama sobie przygotowałaś.

– Korkociąg?

– Tak jest. Wiem, jak czytać to, co zapisywałeś i co chciałeś widzieć, między wierszami. – W oczach Harriet pojawia się życie. Jest podekscytowana, ale w inny sposób, niż kiedy krzywdziła Miriam. To, co robi teraz, też sprawia ból, ale ból znacznie mocniejszy.

– A co takiego tam zapisałam?

– Planujesz popełnić samobójstwo.

Miriam milczy. Słysząc jedynie jej oddech – zmęczony, gwizdzący przez zaschnięte dziurki od nosa, wciągany przez zakrwawione usta.

– Nigdy nic takiego tam nie napisałam – mówi w końcu.

– Jakoś mnie nie przekonałaś.

– Ale to prawda. Nigdy nic takiego nie zapisałam. Nie mam pojęcia, skąd taki pomysł.

– Zasygnalizowałaś to tak jednoznacznie, jak się tylko dało bez wyrażenia tego dosłownie. W każdej notce zaznaczasz, ile stron zostało do końca. Miejscami nawet sugerujesz, że to odliczanie do czegoś. Że potem może być już po wszystkim. Że to będzie koniec. Łącząc to z faktem, że żywisz do siebie straszną nienawiść, że nienawidzisz swoich wizji, jest tylko jeden wniosek, jaki można z tego wyciągnąć. Czy mam rację?

– Pieprzysz jak potłuczona.

– Doprawdy? Bo wydaje mi się, że samobójstwo ma być ostatnią próbą odzyskania kontroli? Bardzo wiele mówisz o przeznaczeniu. A mimo to sama nie masz pojęcia, jak umrzesz. Zgadza się?

Harriet szczyrzy zęby w szerokim uśmiechu.

– Samobójstwo będzie wzięciem odpowiedzialności, samodzielnym podjęciem decyzji. To twój sposób, żeby uratować chłopca z balonikiem.

Po zakrwawionych i posiniaczonych policzkach Miriam ściekają dwie duże łzy.

– Wszystko w porządku – zapewnia ją Harriet. – Rozumiem cię.

To prawda, myśli Miriam. Od początku miała taki plan. Ostatnia kartka pamiętnika to jasny i prosty cel. Za każdym razem, kiedy widzi czyjąś śmierć – a potem okrada ciała, jak sroka-złodziejka czy głodny robak – robi wpis do pamiętnika: jedna strona mniej. Jeden krok bliżej do końca. Wciąż nie ma pojęcia, jak to się stanie. Kiedy przyjdzie jej czas, zrobi to za pomocą tego, co znajdzie pod ręką. Świat oferuje swoim mieszkańcom nieskończoną różnorodność sposobów, by umrzeć: nóż, broń palna, pigułki, ogień, samochód, skok z urwiska, zamrożone jezioro, kopnięcie szefa jakiegoś gangu w jaja. Mogłaby wziąć garść ziemi z pobocza drogi i zjeść. Mogłaby ukraść pistolet policjantowi i pobiec z nim na plac zabaw. Łatwo jest umrzeć.

Nie ma w głowie jakiegoś określonego sposobu, jak to zakończyć, bo uważa, że tak jest sprytniej. Czuje, że może zaskoczyć przeznaczenie, które śledzi ją krok w krok. Z tego samego powodu nigdy nie zdradza się ze swoim pomysłem i nigdy nie wspomniała o nim w pamiętniku. Skoro nigdy nie mówi o tym głośno i nie pisze, przeznaczenie nie ma możliwości, żeby się dowiedzieć.

Idiotyczne, myśli sobie. Ale jakaś jej część jest pełna podziwu.

Harriet otwiera klapkę telefonu i kciukiem wciska jakiś przycisk kilka razy z rzędu.

Po chwili podsuwa słuchawkę Miriam, żeby mogła zobaczyć ekran.

Przedstawia niewyraźne zdjęcie tyłu przyczepy ciężarówki.

Dziewczyna już wie, jeszcze zanim Harriet zdążyła cokolwiek powiedzieć.

– Znaleźli twojego przyjaciela. W tej chwili za nim jadą. Niedługo będzie po wszystkim.

Oczy. Mózg. Zardzewiały nóż. Latarnia morska.

Miriam mruga, żeby nie płakać, ale pieprzone łzy nie słuchają poleceń.

Harriet unosi pamiętnik.

– Cztery kartki do końca.

Potem wrywa jedną po drugiej.

Każda jest jak pchnięcie nożem w serce Miriam. Każdy odgłos rozdzieranego papieru – a Harriet przeciąga ruch, jakby rozkoszowała się tą muzyką – to głęboka rana.

Przysadzista kobieta wyrzuca przez ramię wyrwane, poszarpane i pomięte kartki.

Dociera do ostatniej.

– Kochany pamiętniku – mówi, udając, że czyta prawdziwe słowa zapisane przez właścicielkę brulionu. – To mój ostatni wpis. Mojego chłopaka, kierowcę ciężarówki, spotkała powolna, brutalna śmierć z rąk mojego nowego pracodawcy. Życie jest naprawdę trudne, a przeznaczenie bla, bla, bla.

Mówiąc to, wrywa ostatnią kartkę.

To głupie, ale Miriam nie może znieść tego widoku.

Słyszy darcie, ale nie patrzy. Potem rozlega się ciche trzepotanie, kiedy Harriet wyrzuca kartkę w powietrze. A na sam koniec rozlega się głuchy stukot. Okaleczony brulion opada na podłogę.

Kiedy otwiera oczy, Harriet stoi tuż przy niej, a w dłoniach trzyma pistolet i nóż automatyczny.

– Co robisz? – pyta Miriam.

– Czas to zakończyć.

Jednym płynnym ruchem Harriet unosi ramię i przecina plastikową zaciskową opaskę, którą przywiązała dziewczynę do prysznicza. Miriam nie jest na to przygotowana. Cały czas stała na palcach, nienaturalnie uniesiona. Jej wciąż związane nogi nie są w stanie utrzymać równowagi. Pada do przodu. Bola ją mięśnie, rozciągnięte, pozbawione dopływu krwi i zastępe. Nie ma dość siły, by dostatecznie szybko wykonać ruch, który uchroniłby ją przed upadkiem...

Głową uderza o bok baterii prysznicowej, a potem stacza się na dno brodzika, piersiami w dół. Obraz przed oczyma rozmazuje się i wszystko zaczyna znikać w ciemnościach. Czuje, że znów ma nogi w powietrzu, ale sama ich przecież nie podniosła. Coś za nie ciągnie, a potem opadają swobodnie i uderzają w brodzik. Harriet przecięła opaskę, którą miała na kostkach.

– Ja... – zaczyna niewyraźnie Miriam. – Ja nic nie rozumiem.

Gdzieś blisko jej ucha odzywa się głos Harriet.

– Powiedziałam ci już, że nadszedł czas z tym skończyć.

Kolba pistoletu opada na jej obojczyk. Ból dosłownie eksploduje. Harriet obraca swojego więźnia i zaczyna bić na oślep ciężką bronią. Kobieta trzyma w dłoni lufę, a rękojeść unosi się i opada, jakby chciała wbić po kolei kilka setek gwoździ. Rękojeść broni trafia Miriam w żebra, brzuch, kark, nerki, wszędzie. Jej ciało zmienia się w kłębek okropnego bólu.

Ma ponownie krew na dłoniach. Robi to, zanim zdąży pomyśleć...

Uderza Harriet w prawe ucho.

Kobieta odskakuje od brodzika, przyciskając dłonie do prawej strony głowy. Miriam usiłuje wyczołgać się przez porcelanowy rant, ale nie daje

rady wyjść normalnie i, ślizgając się po wypłowiałych płytkach, upada bezradnie na ziemię. Ramieniem uderza w podłogę.

– Może nie wyjaśniłyśmy tego sobie dostatecznie jasno – warczy Harriet. – Powiedziałam, że czas to skończyć!

Chwyta Miriam za włosy i z rozmachem uderza jej głową o brzeg brodzika.

Dziewczyna ma wrażenie, że świat brzmi, jakby zmienił się w wielki dzwon. Jest tak źle, że niemal przestała czuć ból. Teraz jest już tylko tępe dudnienie, jakby była workiem piasku, który ktoś okłada solidną gałęzią. Jakaś jej część myśli, że ból już minął, w końcu odszedł, lecz szybko się okazuje, że to całkowicie błędne założenie.

Zanim się zorientowała, co się dzieje, Harriet podnosi ją z brodzika i stawia na roztrzęsionych, niepewnych nogach, a ona dziwi się, jak to możliwe, że widzi siebie naprzeciwko niej. Czy to już agonalne widziadła? Moja dusza wędruje już poza ciałem? Wpatruje się we własne oczy i mruga ze zdziwienia.

Potem pędzi na spotkanie swojego ciała, jakby może chciała złożyć na własnych ustach pijacki, mokry pocałunek, obrośnięty śliną zmieszaną z krwią...

Boli ją głowa. Ktoś potraktował ją właśnie jak jabłko i uderzył, żeby rozpołować. Wtedy zaczyna rozumieć, co się stało. Harriet postawiła mnie przed lustrem, a potem uderzyła moją głową w szklaną tafelę.

I zgodnie z tym, co wymyśliła, widzi swoją twarz rozpadającą się na tysiące maleńkich okruchów. Okruchy spadają na ziemię, na twarzy czuje gorącą krew.

Harriet – teraz zadziwiająco delikatna – sadza ją na podłodze, twarzą do góry.

– Proszę bardzo – mówi. – Jaka grzeczna mała dziewczynka.

Miriam chce coś powiedzieć, ale jedyne, co wychodzi jej z ust, to krwawa piana i ślina. Ma sklezione wargi. Dźwięki docierają do niej z opóźnieniem i nie są wyraźne. Dudnią. Ma wrażenie, że słucha ich, siedząc w pustej beczce. Każde uderzenie serca jest jak walenie w metalową beczkę ciężkim młotkiem. Miriam jest już tylko zmasakrowanym kawałkiem mięsa. Czuje się jak tatar.

Usiłuje się podnieść, ale ręce nie są w stanie unieść jej ciężaru. Rozjeżdżają się na płytkach, a palce skrobią chłodną ceramikę jak wijące się robaki.

Głowa osuwa się na bok, policzek opiera o ziemię. Ruch, na który nie miała żadnego wpływu.

Podłoga jest chłodna i Miriam chce już tutaj zostać, leżeć z zamkniętymi oczyma i w embrionalnej pozie czekać, aż minie wieczność. Może tutaj umrę, myśli sobie. Widzi, że niedaleko leżą kartki wydarte z jej pamiętnika. Może to koniec.

Może tak właśnie miało być.

Nagle coś ciężkiego przygniata jej pierś.

Zamroczone usiłuje unieść głowę. Widzi nad sobą Harriet. Kobieta się uśmiecha.

Na piersi dziewczyny leży pistolet. Przy każdym uderzeniu serca broń drży.

– Pomyśl, po co ta broń u ciebie – mówi Harriet. Jej głos dociera do umęczonej dziewczyny z bardzo daleka. Zupełnie, jakby kobieta była w akwarium, pod wodą. – Pamiętnik się skończył. Twój chłopak będzie martwy jeszcze przed zmrokiem. Ty jesteś cała obolała. Możesz sprawić, że ból się skończy.

Spraw, żeby się skończył.

Echo powtarza słowa Harriet.

Kobieta uśmiecha się i wychodzi z pomieszczenia, a potem delikatnie zamyka za sobą drzwi.

Pistolet na piersi Miriam jest jak kotwica jachtu.

Jej dłoń – obolała, pozbawiona czucia, niezdarna – wędruje mozolnie w górę, muska kolbę i lufę. Chce zacisnąć palec na spuście, lecz ma na to zbyt mało siły. Musiałaby się naprawdę wysilić, a teraz nie jest w stanie. Opiera więc palec na osłonie spustu, jak dźdźownica rozciągnięta na asfalcie.

Już po wszystkim, myśli.

Louis lada chwila pożegna się życiem. Nie wie, która jest godzina, ale czuje – w dzikim waleniu serca – że jego czas już jest bliski.

W pamiętniku nie ma wolnych stron.

Została wtajemniczona w tak wiele śmierci!

Dlaczego więc nie wie nic o własnej?

Na tym polega jej siła. Bo tę decyzję może odebrać przeznaczeniu. Może wziąć swoje życie w swoje ręce i szarpnięciem wyrwać je z uścisku losu.

W końcu jej palec obejmuje spust.

Dociera do niej głos matki ze snu; unosi się jak odległa pieśń niesiona delikatnym powiewem wiatru.

Twe oko nie będzie miało litości. Życie za życie, oko za oko, ząb za ząb, ręka za rękę, noga za nogę.

Unosi broń.

Harriet słucha, przyciskając ciekawsko ucho do drzwi.

Słyszy głupiutką dziewczynę, jak czołga się po łazience, powoli i nieudolnie. Słyszy szurnięcie ramienia o drzwi. Jęk. Delikatny szcęk mechanizmu pistoletu w słabej, trzęsącej się dłoni.

Na jej ustach pojawia się uśmiech.

To naprawdę będzie ukoronowaniem jej umiejętności.

Już wcześniej raniła ludzi, ale nie tak jak ją.

Czuje się z tym trochę źle. Bardzo ją to irytuje. Okej, zgoda. Miała dla tej dziewczyny trochę współczucia, ale żeby zaraz poczucie winy? Wyrzutów sumienia nie czuła przecież od... O rany, kiedy po raz ostatni czuła wyrzuty sumienia? Czy w ogóle kiedykolwiek je czuła?

Nagle zaczyna ją piec żołądek. Wina. Poczucie winy. Nie jest do niego przyzwyczajona. Nie rozumie go.

Jej rozmyślenia i wyrzuty sumienia rozwiewają się jak dym, kiedy dociera do niej szcęk odciąganej kurka.

Dzielna dziewczyna, myśli sobie. Wszystko się zgadza. Łatwiej odciągnąć kurek i pociągnąć za spust, niż pociągnięciem za spust odciągnąć kurek i strzelić. Miriam musi być w końcu na granicy. Nic dziwnego, że nie ma dość sił.

Ledwie będzie mogła go unieść. Właściwie to przesunąć, obrócić w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, aż lufa znajdzie się pod brodą. Wtedy...

Jakby na komendę pistolet wypala.

Harriet uśmiecha się szeroko.

Kiedy pistolet strzela, trzęsą się drzwi. Pewnie dziewczyna kopie je w agonii. Za chwilę rozluźni się mieśnię zwieracza i w powietrzu rozejdzie się paskudna woń opróżnionych jelit. Zapach, który jest przyjemny jedynie dzięki temu, z czym się jej kojarzy.

Kobieta odsuwa się od drzwi i czuje ostry ból w głowie.

Zatacza się, niewiele brakuje, a przewróciłaby się, kiedy sięga w kierunku klamki.

Chce głośno zapytać, dlaczego ma mokre ramię.

Ale nie może ułożyć słów. Nie chcą jej słuchać. Usta nie reagują na polecenia z mózgu.

Harriet czuje zapach spalonych włosów.

Pośrodku drzwi widzi mały otwór. Z dziurki o średnicy ołówka unosi się cienka stróżka dymu.

Teraz sięga w kierunku ucha, cofa dłoń i widzi, że jest cała mokra i czerwona od krwi.

Mówi coś – coś, co w zamierzeniu miało być plugawym przekleństwem, wulgarnym określeniem głupiej dziewczyny w łazience, która właśnie trafiła ją w głupią głowę – ale nie, jej mózg pracuje już w sposób, który uniemożliwia wypowiedzenie tego głośno.

Jedynie, co wydobywa się z jej ust, to nonsensowny okrzyk:

– Dywan makaron.

Potem pada na ziemię.

WYBIERAM ŻYCIE

Dla Miriam w wyborze życia nie ma nic wspanialszego niż szeroki wachlarz możliwości, które dzięki dalszemu świadomemu istnieniu mogła wybrać. I wcale nie chodzi o wizję małych dzieci na huśtawce w ogrodzie, psa i mgły nad oczka wodnego o poranku.

Nie. Bo, jak to zazwyczaj w jej przypadku, decyzja, by żyć, bierze swoje źródło niemal całkowicie w złości i przekorze – po raz kolejny skłaniając ją do zmiany planów.

A naprawdę chciała się zabić.

To wszystko miało sens. Harriet mówiła prawdę.

Jej życie było do dupy. Była dziwką przeznaczenia. Była muchą żerującą na gównie, pleśnią pokrywającą zdrowego banana.

Najwyższy czas, by postanowiła pożegnać się z życiem.

Leżąc na chłodnych, zakrwawionych płytkach, Miriam czuła ciężar pistoletu na piersi. Drobnymi ruchami – ruchami, które kosztowały ją stanowczo zbyt wiele wysiłku – obróciła go w ten sposób, że lufa spoglądała na jej podbródek.

Odciągnęła kurek, żeby wystarczyło już tylko muśnięcie spustu, dotyk, szept. Żeby mieć pewność, przycisnęła lufę brodą do piersi.

I wtedy zobaczyła...

Dwa cienie w szparze pod drzwiami.

Dwa cienie, oznaczające stopy Harriet.

Podśłuchuje po drugiej stronie, pomyślała.

I strasznie ją to wkurzyło.

To był jej czas. Jej śmierć. Harriet nadała jej poetyckości, a teraz ta cipa stała pod drzwiami i czekała jak dziecko wkładające dłoń śpiącego kolegi do kubka z ciepłą wodą.

Uniosła broń. Miała wrażenie, że jej mięśnie zaraz popękają, oderwą się od kości i jak pęknięta guma trafią w popękane lustro.

Nie celowała i nie starała się wyobrazić sobie, gdzie stała mała, przysadzista kobieta. Zadziałała odruchowo. Natura.

Strzeliła.

Kilka sekund później rozległ się głuchy łomot, padły słowa: dywan makaron, i nastąpiła cisza.

Miriam przechodzi nad ciałem. Chwilę zajmuje jej wyjście z łazienki, bo czuje się jak rozbity tłuczkiem kotlet. Patrzy na siebie w lustrze. Jej opuchnięta od uderzeń twarz przypomina poszewkę na poduszkę wypchaną piłkami do tenisa, a jasna karnacja stanowi przerażający kontrast dla ciemnych plam zaschniętej krwi.

Wygląda jak miejsce zbrodni.

Ale żyję, myśli, stojąc nad ciałem Harriet i spoglądając pod nogi.

Krępa kobieta leży z otwartymi ustami, a jej mózg i krew wsiąkają w dywan. Pod jej głową zrobiła się już spora plama.

Miriam patrzy na rękawiczki na jej dłoniach.

– Proszę, i na co ci to było? Obie i tak już wiemy, jak kopniesz w kalendarz – mówi dziewczyna. Jej słowa brzmią trochę, jakby w ustach

miała garść kamieni wymieszanych z karmelem. Chce się zaśmiać, lecz to zbyt boli. Znosi się kaszlem. Boi się, że jej klatka piersiowa może tego nie wytrzymać i wyjdzie dołem albo górą. Każdy centymetr kwadratowy ciała sprawia jej przerażający ból.

Odchodzi od Harriet. Podświadomie spodziewa się, że kobieta zaraz zerwie się z ziemi i zacznie gryźć ją w ścięgno Achillesa, jednak podwładna Ingersolla nie doświadcza cudownego wskrzeszenia.

Teraz Louis.

Miriam nie wierzy, żeby mogła go ocalić. Ale wie, że będzie na miejscu, kiedy to się stanie. Widziała to w swojej wizji.

Pytanie tylko, gdzie?

Nie. Zaraz. Przede wszystkim powinna ustalić kiedy.

Pochyliła się – z bólem – i w tylnej kieszeni spodni znajduje telefon komórkowy Harriet.

Jest wpół do piątej po południu.

Louis umrze za trzy godziny.

Z telefonem w dłoni Miriam dociera do kuchni urządzonej jeszcze w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku, zgodnie z ówczesnym stylem, i przez kuchenne drzwi wychodzi na zewnątrz. Na dworze widzi szare niebo i las sosen – wszystkie ponure, wszystkie nadające się na wigilijną choinkę.

Żwirowy podjazd zatacza szerokie koło wokół domu, wytyczając przesiekę wśród sosen.

Niedaleko, na przechylonym płocie siedzi kruk. Siedzi i patrzy.

– Nie mam pojęcia, gdzie jestem – wyjaśnia ptakowi. – Kruk rozłożył oleście czarne skrzydła. – O rany, dzięki za pomoc.

W porządku, myśli. Kombinuj. Sosnowe lasy New Jersey. Czyli? Cholera, to przecież tylko z milion mil kwadratowych sosnowych lasów i wydm. Louis ma umrzeć w latarni morskiej. New Jersey nie może mieć ich zbyt wiele – może ze dwadzieścia, trzydzieści sztuk. Łatwizna. Dam sobie radę, nawet jeśli przez najbliższe trzy godziny miałabym sprawdzać jedną po drugiej. Najpierw tylko muszę dotrzeć do cywilizacji. Która jest najprawdopodobniej „zaraz za rogiem”. Czyli kawał drogi stąd.

Prawie niewykonalne zadanie.

Nie! Nie może być niewykonalne! – myśli. Jestem tutaj. A jednak jakoś będę na miejscu. Nie da się zmienić przeznaczenia, a ono chce, żebym brała dupę w troki i ruszała do latarni morskiej. Myśl, dziewczyno!

Ale nie może myśleć. Jej mózg jest jakby po zderzeniu ze ścianą. Znalazła się w ślepych zaułku i zamiast zawrócić, raz za razem uderza w zamykający ją mur. Może to ból ogranicza jej możliwości umysłowe? Może szok i straszne przeżycia? Może przez to myślenie dzisiaj nie należy do jej mocnych stron?

Rozgląda się w poszukiwaniu jakiegoś znaku. Jeśli przeznaczenie chce, żeby pojawiła się na miejscu śmierci Louisa, musi teraz załatwić jej jakiś transport.

W tej samej chwili zaczyna dzwonić telefon, który wciąż trzyma w dłoni.

I jeszcze wibruje. Nagły sygnał tak ją zaskoczył, że niewiele brakowało, a wyrzuciłaby aparat jak najdalej, między drzewa, jakby to nie był telefon, tylko granat bez zawlecзки.

Na szczęście potrafi się powstrzymać. Spogląda na wyświetlacz.

Frankie.

Serce wali jej jak oszalałe.

Odbiera połączenie.

– Co jest? – pyta, usiłując upodobnić głos do matowego tonu Harriet. Jej opuchnięte gardło i obolałe usta zdają się pomagać.

– Jak dziewczyna? – pyta mężczyzna. Ma strasznie słaby zasięg, ale jednak mimo wszystko słyszy jego słowa.

– Bez problemów – odpowiada Miriam. A potem postanawia trochę podkoloryzować. – Skopałam jej solidnie dupsko.

Frankie milknie.

Cholera! Idiotka. Nie koloryzuj! Do Harriet to nie pasuje.

– Wszystko w porządku? – pyta podejrzliwie.

– Tak, dobrze się czuję.

– Masz zmieniony głos.

– Powiedziałam, że wszystko jest w porządku.

Kolejna pauza.

– Brzmisz, jakbyś chciała coś zrobić tej biednej dziewczynie. Nie wiem, co, ale pewnie chciałabyś ją pociąć.

– Nie podpuszczaj.

– Dobra! Dobra! Chryste, dziewczyno, tylko nie przesadzaj.

Miriam potakuje i uznaje, że teraz to jej jedyna szansa. Jeśli teraz spali, drugiej szansy nie dostanie.

– Gdzie jesteście? – pyta.

– Mamy kierowcę. Zapomniałem, że to był wielgaśny gość. Potrzebował podwójnej dawki leków, które im wszystkim podaję. Dopiero wtedy zadziałały. Ingersoll kazał wpakować go do escalade, a ja jadę ciężarówką. Jak znajdziemy miejsce, to spalę wóz.

– Dokąd go bierzecie?

– Ingersoll ma napięprzone we łbie i szuka spokojnego miejsca, ale żeby nie było zbyt wysokie. Mówi, że zbliża się sztorm i będzie się starał ujarzmić jego energię... Uuuu... jak on to powiedział? „Odczytać znaki”. Wiem, że jest tu jedna latarnia w budowie. To znaczy w naprawie. Zdaje się, że zmieniają tam... wielką, jasną... żarówkę czy jak się nazywa to gównno, które montuje się w latarniach.

– Gdzie jest ta latarnia?

– A po co ci to?

Nie mam, kurwa, pojęcia!

Zaciska oczy i próbuje, a nuż się uda:

– Nie jesteś moim szefem.

– Sorry – jąka się Frankie. – Zaraz... chyba Barnegat. Long Beach Island. Gdziekolwiek to jest, śmierdzi starą rybą, śmieciami i resztkami ze szpitala.

– Dobra, muszę już lecieć. Dziewczyna mi się budzi.

– Ucałuj ją ode mnie – mówi jeszcze Frankie.

– Nie czaruj.

Miriam rozłącza się.

Telefon cały czas trzyma w dłoni. Ból wciąż męczy jej ciało. Jest jak tam-tam nieustająco wybijający rytm. Ale to jej już nie obchodzi. Miriam czuje, że żyje. Jest. Istnieje, tu i teraz. Gdzieś daleko słychać grzmot, jakby niebo beknęło.

Dziewczyna nabiera głęboko powietrza i idzie w kierunku ulicy.

Po kilku metrach zatrzymuje się i odwraca na pięcie.

Przez trzydzieści sekund zostaje jeszcze na farmie.

Kiedy wychodzi z powrotem na dwór, w jednej dłoni trzyma pistolet, a w drugiej swój pamiętnik. Telefon komórkowy schowała do kieszeni.

Rusza przed siebie.

PIERWSZA GODZINA

Miriam czuje się, jakby szła od kilku godzin. Co pewien czas sprawdza telefon i za każdym razem widzi, że minęło ledwie pięć minut, czasem nawet mniej.

Szutrowa droga – choć „droga” było chyba nadmiernie optymistycznym słowem na określenie tego paska dziur i odłamków wapienia – to długa wstążka, która zdaje się ciągnąć w nieskończoność. Miriam cały czas maszeruje, ale ma wrażenie, że wciąż stoi w tym samym miejscu. W żyłach nie ma już adrenaliny: czuje obolałe, sztywniejące z każdym ruchem mięśnie. I słyszy ten cienki głosik w głowie, który powtarza: Czy umarłam? Może nie żyję? Może to nie ból mięśni tylko stężenie pośmiertne?

Drzewa porastają pobocza drogi: wyciągnięte w górę kościste ręce. Wróble i szpaki skaczą z gałęzi na gałąź. Gdzieś daleko przetacza się grzmot za grzmotem.

– Dzielna dziewczyna! – mówi Louis, pojawiając się obok niej. – Wiedziałem, że masz w sobie ikrę. Ducha walki. Tym razem zmierzysz się z przeznaczeniem. Wiesz, że zjawisz się w chwili, w której Louis będzie umierał. Więc naprzód. Lubię tę nową siebie. Bądź fontanną, a nie odpływem ścieków. Bądź liściem na powierzchni wody, który płynie, a nie tamą, która ją blokuje. Mam rację?

Miriam nie ma do tego cierpliwości. Swoim halucynacjom poświęcić może jedynie zmęczone kiwnięcie głową i gardłowe warknięcie.

– Żadnych błyskotliwych komentarzy? – pyta Louis. Spod czarnej taśmy na oku wydostaje się żółta maź, wiruje wokół jego głowy, a potem unosi się i znika pośród drzew.

– Muszę zapalić.

– To akurat nie jest błyskotliwe. Rozczarowałam mnie.

– Muszę się napić.

– Dalej nic. A przecież miałaś być nową osobą.

– Udław się gównem.

– O rany! – Louis kręci głową. – Może jednak się pomyliłem.

DRUGA GODZINA

Drogę słyszy, jeszcze zanim ją zobaczy.

Rozciągnięty szum przejeżdżających samochodów. Gnający ryk motocykli.

Miriam dociera do kresu pozornie nieskończonej szutrowej wstęgi. Jest sama. Przyszły duch Louisa zostawił ją dużo wcześniej. Popędził naprzód, a Miriam tylko co pewien czas widziała go z daleka.

Droga, którą ma przed sobą, jest dwupasmowa. Szary asfalt. Popękana, wytarta linia dzieląca ją na dwie części jest jak rozpląszczony strumień żółtawych szczyń.

Dziewczyna mruga i przesuwając broń za pasek na plecach.

Już kiedyś tutaj była. Niezliczoną ilość razy. Stała na poboczu drogi, z uniesionym kciukiem, liczyła, że ktoś się zatrzyma i weźmie ją do samochodu, tak jak ryby remory czepiające się szybko płynących rekinów. Rekiny zawsze zmiernają w stronę jedzenia, a ryby remory są jak podwodne sępy, które z kolei są jak kruki, a tym właśnie jest ona... padlinożercą. Nekrofagiem. I paskudnym leniem.

Po raz kolejny łapie okazję, by zdążyć na czyjąś śmierć.

Uniesiony kciuk autostopowiczki tym razem nie zda egzaminu, bo ruch jest niewielki. Większość ludzi wie doskonale, kto wystaje na poboczach w

oczekiwaniu na okazję: narkomani, szaleńcy, seryjni gwałciciele i jeszcze od cholery różnych wykolejeńców, o których lepiej nawet nie myśleć.

Miriam nie ma na to czasu.

Widzi zbliżający się samochód. Subaru outback, rodzinne kombi, którego lata świetności minęły już jakiś czas temu.

Wychodzi na ulicę, przed maskę rozpędzonego cuda japońskiego przemysłu motoryzacyjnego. Za późno. Szary blaszany kształt szybko się zbliża. Miriam widzi, że prowadzi kobieta z telefonem przy uchu, najwyraźniej zbyt zajęta rozmową, żeby zwracać uwagę na takie błahostki, jak, powiedzmy, piesi na drodze.

Miriam stoi i nawet nie drgnie.

Kobieta zdejmuje nogę z gazu. Nie staje.

Potem, w ostatniej chwili, piszczenie hamulców. Kombi zamiata tyłem, jak rozradowany buldog. Ale jest za późno. Tyci za późno.

Samochód uderza dziewczynę na drodze.

Na szczęście jedzie już tylko kilka mil na godzinę.

Mimo wszystko zadaje ból. W tej chwili nawet powiew wiatru boli jak diabli. Każdy milimetr kwadratowy ciała jest cierpieniem. Nawet włosy. Ale jest też zaskoczona.

Dzięki wypadkowi Miriam czuje kolejną falę adrenaliny wypełniającą jej żyły. Potrzebowała tego.

Kobieta za kierownicą jest przerażona. To starsza pani, pewnie przed sześćdziesiątką, z utlenionymi na prawie białe włosami i fryzurą sierżanta, co narzuca dwie możliwości: albo jest lesbijką, albo ma w dupie, jak wygląda, i nie chce jej się rano marnować czasu przed lustrem.

Telefon wysuwa jej się z dłoni, ale ręka pozostaje przy uchu. Gdyby Miriam miała jeszcze choć trochę poczucia humoru, uznałaby to za

zabawne.

Kobieta dochodzi do siebie i sięga do kierownicy. Ma spojrzenie przerażonego króliczka.

Miriam potrząsa głową, wyjmuje pistolet i celuje w przednią szybę.

Kobieta unosi ręce.

– Dobra, lesba – mruczy dziewczyna, podchodzi do drzwi pasażera i zmusza obolałe ciało do zajęcia miejsca w fotelu obok.

Kobieta ciężko oddycha. Broń kołysze się w dłoni Miriam.

– Barnegat Light – mówi po prostu.

Usta nieznanym zaczynają się poruszać, ale nie słyszą słów.

– Przepraszam. – Miriam chce się uśmiechnąć. – To miało być pytanie. Jeszcze raz. Barnegat Light?

– O co chooodzi? – duka głucho blondynka zachrypniętym głosem. Musi palić, myśli dziewczyna i zastanawia się, czy też tak będzie wyglądać za dwadzieścia lat.

– Gdzie to jest?

– To... na Long Beach Island. Na północnym końcu.

– Jak tam się dostać? To daleko?

– Trzeba iść w tę stronę – kobieta wskazuje w przeciwnym kierunku, niż jechała. – Aż do ekspresówki Garden State. Wtedy trzeba skrócić na południe... nie! Nie na południe. Na północ i jechać do siedemdziesiątki dwójki. Zjechać na siedemdziesiątkę dwójkę, która prowadzi na samo wybrzeże i dalej, na Long Beach Island. Tam jest tylko jedna główna droga, więc wystarczy kierować się na północ, aż będzie widać latarnię. Całość zajmie ze trzy kwadransy, najwyżej godzinę.

– Ostatnie pytanie. Palisz?

Kobieta potakuje. Nerwowo.

– Oddaj mi papierosy.

Nieznajoma sięga po paczkę Virginia Slims, którą trzyma w uchwycie na napoje w drzwiach.

– Palisz to świństwo? – Miriam krzywi się, ale na bezrybiu i rak ryba.

Odbiera paczkę z jej dłoni. Muska ją palcem...

Dwadzieścia trzy lata później. Kobieta schodzi z werandy. Jest chudziutka i krucha. Trzęsie się cała, kiedy idzie dróżką, a dookoła wirują płatki śniegu, które wiatr formuje w fale, wiry i chmury. Kobieta zbliża się do skrzynki na listy, wyjmuje pocztę i rusza z powrotem. Staje na kawałku lodu, przejrzystym jak szklanka. Ślizga się i upada, w locie uderzając głową o skrzynkę. Leży na ziemi. Mijają godziny. Mija cały wieczór. Śnieg zbiera się na jej twarzy, a ona wciąż żyje. W końcu udaje jej się wyjąć z kieszeni cieniutki papieros i zapalić go. Potem pada w objęcia długich, chłodnych ramion hipotermii.

...i cofa rękę.

Miriam mruga gwałtownie. Potrząsa głową, żeby pozbyć się wizji, uruchamia zapalniczkę samochodową i, czekając, aż się rozgrzeje, wsuwa między wargi niezapalonego papierosa.

– No dobra – mamrocze, uważając, żeby go nie zgubić. – Wyskakuj z wozu, zanim rozwalę ci gębę i połamię kości. I jeszcze jedno. Nie rzucaj palenia. Masz szczęście.

Nieznajoma otwiera gwałtownie drzwi i wyskakuje na zewnątrz, jakby ktoś strzelił jej solą w tyłek.

Miriam zapala papierosa, przesuwa się na miejsce kierowcy i rusza.

Jej płuca wypełnia nikotynowa magia. Wciska pedał gazu.

Ruch. Kocha ruch.

TRZECIA, OSTATNIA GODZINA

Brak ruchu.

Gówniany brak ruchu, jak śnięta ryba unosząca się brzuchem do góry w kałuży.

Miriam pędziła, aż dotarła do grobli przecinającej zatokę Barnegat Bay. Ruch zrobił się ogromny. Tłok jak kilka tamponów wciśniętych w dupę zakonnicy.

Zderzak w zderzak. Na przyczepkach kajaki i łódki, opaleni młodzi, bogaci i wykształceni z przodu, na tylnych kanapach dzieciaki oglądające Spongeboba na ekranach w zagłówkach rodziców. Mimo że jest już późno, ludzie są spragnieni widoku plaży, ciepła piasku i fal. Fale śmierdzą rozkładającymi się rybami, piasek jest pełen igieł starych strzykawek i brudnych, pełnych jakiejś mazi kondomów. Słońce dawno już osłabło. Widać jedynie jaśniejszą plamę przebijającą się przez ciemne chmury nad wyspą. Kolejka turystów czekających na swoją kolej, by wpaść w zachwyty.

Miriam trąbi.

Kończy ostatni papieros z paczki. Zaciska zęby i wyrzuca niedopałek przez okno. Odbija się od maski minivana obok i spada na asfalt.

Matka zajmująca siedzenie pasażera – wielki hipopotam zdążył się opalić do tego stopnia, że wygląda, jakby wędrowała przez pustynię przez

czterdzieści dni i nocy – rzuca jej kwaśne spojrzenie.

Miriam walczy z pokusą posłania jej kulki.

Znów naciska klakson. Czuje się osaczona. Nie może już wytrzymać. Zbyt długo tkwi w tym korku. Zbyt długo.

Potrzebuje znaku.

– Potrzebuję znaku – mówi w panice.

– Proszę bardzo, oto on – odpowiada Louis z tylnego siedzenia. Odrywa taśmę izolacyjną z oka. Pod nią nie ma, jak zazwyczaj, krwawej jamy, ale uszkodzone oko, które wygląda jak ściśnięta kulka winogrona. Żeby zwiększyć efekt, mruga do niej.

Potem znika.

Miriam rozpaczliwie rozgląda się wokół, żeby zobaczyć, co chciał jej pokazać.

Kwaśna, spalona słońcem kobieta? Nie.

Samochód pełen psów i dzieciaków, tuż przed nią? Raczej też nie.

Nad jej głową przelatuje mały samolot. Ale że nie ma, jak Batman, linki z kotwicą, raczej nie ucieknie nim z korka.

Wtedy nagle widzi.

Motocyklista. Nie! Rowerzysta.

Jest szczupły, umięśniony, cały ubrany w kolorową lycrę, jakby był supermanem albo należał do jakiegoś peletonu.

Kiedy mija kolejne samochody poboczem grobli, Miriam gwałtownie otwiera drzwi pasażera.

Jego przednie koło trafia na przeszkodę, która nie chce ustąpić.

Rowerzysta przelatuje nad drzwiami. Miriam słyszy, ale nie widzi, że uderza głową o ziemię. Na szczęście ma kask.

Dziewczyna jest już na zewnątrz samochodu i siedzi na rowerze. Przednie koło jest trochę skrzywione, ale mimo uszkodzenia, można na nim jechać.

Sprawdza godzinę na telefonie.

Zostało jej kilkadziesiąt minut.

– Mój rower! – krzyczy mężczyzna.

Miriam mija go chwiejnie.

FRANKIE

Przed sobą widzi latarnię morską Barnegat Lighthouse, zwaną Starym Barneyem.

Wietrzna, piaszczysta droga prowadzi do samego wejścia wzdłuż zniszczonego, krzywego płotu, który stoi jedynie dzięki trzymającym go czarnym krzakom i żółtym kwiatom.

Nad głową słyszy krzyki mew. Czarne chmury z daleka wyglądają jak ławice drozdów.

Słychać, jak fale uderzają o brzeg i cofają się. Ustawiczny szum.

Miriam mija żółtą taśmę policyjną, która ma powstrzymywać ludzi przed chodzeniem po czyjejs własności, potem tablicę głoszącą, że to plac budowy. Następna tablica obwieszcza, że latarnia zostanie wyposażona w najnowocześniejsze źródło światła i nowoczesne okna z poliwęglanu.

Dziewczyna czuje się trochę jak na przejażdżce kolejką górską. Wspina się na górę, choć nie ma przed nią wzgórze. Kotłuje jej się w żołądku, jakby miała w nim głodnego węgorza: zwija się i rozwija. Tonie i pływa.

Jej stopy zapadają się w piasku. Nabiera głęboko powietrza i zdejmuje buty. Wyprzedza ją poczucie nieuchronności; pędzi przed nią jak rozszalały pies. Mała dziewczynka, która musi podejść do matki trzymającej w dłoni skórzany pas do bicia.

Rusza.

Ma wrażenie, że to nie ona zbliża się do latarni, ale latarnia do niej.

Nic nie możesz zmienić, odzywa się w jej głowie głos – jej głos, a nie Louisa. Pamiętaj o tym. Nie jesteś tutaj, żeby cokolwiek zmieniać. Masz być świadkiem. Takie jest twoje zadanie. Jesteś krukiem na pobojowisku. Jesteś walkirią.

Miriam dociera do końca żywopłotu. Piaszczysta ścieżka prowadzi dalej, do samej latarni. Budynek jest biały u dołu, a góra jest z czerwonych cegieł.

Frankie chodzi tam i z powrotem. Jest wysoki, widać go z daleka jak plamę oleju na białym piasku plaży, jak jasny kształt na zdjęciu rentgenowskim, jak długi cień w słoneczny dzień. Kręci się. Drapie po nosie. Dotyka ucha.

Łysego, mężczyzny, którego Harriet nazywała Ingersoll, nie ma w zasięgu wzroku.

Już niemal czas. Miriam nie musi patrzeć na komórkę, żeby wiedzieć, że to tuż, tuż.

Mimo wszystko wyciąga telefon. Z pistoletem w jednej dłoni, słuchawką w drugiej i pamiętnikiem wsuniętym w spodnie naciska kciukiem przycisk oddzwania.

I rusza.

Dzwoni telefon Frankiego. I powinien. Bo to do niego dzwoni.

Mężczyzna odbiera, a ona słyszy go stereo – w słuchawce i na żywo.

– Harriet?

Miriam bierze zamach i ciska komórką w jego stronę, celując w głowę. Jak pieprzony bumerang! Aparat trafia go mocno w nasadę jego

niedyskretne nosa. Frankie zatacza się i mruga, bo oczy zachodzą mu łzami.

Dziewczyna początkowo chce go zastrzelić, ale... Nie. Ingersoll usłyszałby strzał. Nie rób tego.

Przyspiesza więc i wbija mu lufę w splot słoneczny.

– Splot słoneczny to miejsce, gdzie zbiegają się nerwy – syczy dobitnie.

Frankie usiłuje sięgnąć po broń, ale Miriam uderza go kolaniem w nadgarstek i mężczyzna puszcza pistolet.

Kiedy się zwija i, czerwony na twarzy, usiłuje nabrać powietrza, dziewczyna uderza go kolbą pistoletu w szyję.

– Uderzeniem w wyrostek sutkowaty powodujemy krztuszenie i odruch wymiotny.

Zgodnie z tą informacją, Frankie składa się wpół, wstrząsany torsjami. Nie tylko się krztusi – naprawdę wymiotuje. Na piasku ląduje częściowo przetrawiona kanapka.

Dziewczyna nie wie jeszcze, jak go zabić. Zgięty, zarzygany, usiłuje wycofać się rakiem.

Pieprzyć to, myśli Miriam. Uduszę go.

Zachodzi go od tyłu i wsuwa mu ramię pod brodę, a potem zaciska i ciągnie w swoją stronę. Wkłada w to dość siły, żeby ukręcić łeb kucykowi...

Czterdzieści dwa lata później Frankie jest starym człowiekiem. Siedzi w ciemnym kinie ze swoim wnukiem. Dzieciak wpatruje się zafascynowany w ekran, cokolwiek na nim wyświetlają. Mały jest zachwycony, a Frankie to widzi. Potem przechyla głowę w tył, zamyka oczy i pozwala atakowi serca, który od sześciu godzin kontynuuje swoją krecią robotę, by dokończył

dzieła. Otwiera usta, po raz ostatni nabiera powietrze do płuc, a chłopiec tego nie widzi; ogląda dalej film.

...i puszcza. Frankie sapie, krztusi się i ucieka na czworakach, prosto w wymiotowaną kanapkę.

Chce wstać, ale Miriam przyciska mu lufę do potylicy.

– Kiedyś zostaniesz dziadkiem – mówi.

– Okej – charczy, walcząc ze łzami.

– Nie lubisz tego wszystkiego, co?

– Nie. Chryste, ja tego nienawidzę!

– Masz kluczyki do wozu?

Kiwa głową.

– Wyjmij je. Idź do samochodu. Odjedź. Nie powinno cię tu być.

Kolejne potaknięcie.

– Jeśli jeszcze raz cię tu zobaczę – mówi – postaram się, żebyś jednak nie został dziadkiem.

Mija go i idzie w kierunku latarni. Po niebie przetacza się grzmot, niedaleko, bardzo blisko.

LATARNIA STARY BARNEY

Pomieszczenie latarni jest otoczone szklanymi szybami – przynajmniej częściowo, bo niektóre okna zostały już zastąpione panelami z poliwęglanu.

Za to nie wymieniono jeszcze starego źródła światła.

Louis jest przywiązany do drewnianego krzesła. Wielka i okrągła jak piłka żarówka przypomina ogromne oko robaka. Kierowca ciężarówki został skrupowany brązowym przedłużaczem. Jego głowę przymocowano do podstawy żarówki niemalże całą rolką czarnej taśmy izolacyjnej.

Ingersoll bawi się zardzewiałym nożem do filetowania. W nosie kręci zapach rybich podrobów.

Ukradł go rybakowi, który spokojnie spał na molo. Złamał mu kark, a potem zrzucił w fale – ale najpierw zabrał mu nóż.

Teraz rozsypuje kości, które nosi w mieszku. Białe drobinki rozbiegają się po podłodze latarni, pod jego nogami. Pochyla się i zaczyna je sortować, tak jak przebiera się ziarna fasoli, żeby nie zostawić wśród nich kamieni. Długimi palcami wybiera tylko niektóre. Jakby je czytał.

Ale nie czyta przecież. Nie potrafi ich zrozumieć. Nie posiadał umiejętności swojej babci, choć udaje, że też ma ten dar. Udaje i robi to tak dobrze, że z czasem nabrał nawet siebie samego.

Tym razem z całych sił próbuje zobaczyć, co się wydarzy.

Jedno z okien nad jego głową jest rozbite. Do pomieszczenia wpada wiatr.

– Nadciąga burza – mówi.

Jego cel, Louis, ma załzawione oczy, jest pobity i naszprycowany jakimiś prochami. Jego głowa drży, kiedy usiłuje się skupić.

Ingersoll wzdycha. Kości nic mu nie mówią. Po raz kolejny – jak zawsze! – musi wymyślić, jaka jest prawda, i ją urzeczywistnić.

– Dlaczego miałbym cię zabić? – pyta na głos. – Jesteś dla mnie bez znaczenia. Jednak widziałeś moją twarz. I znasz moją nową pracownicę. Miriam. Ona strasznie cię lubi, a na to nie mogę się zgodzić. Zawsze będziesz ją rozpraszał. Tymczasem ona jest moja, przyjacielu. Nie twoja.

Obraca nóż między długimi palcami.

– Poza tym podoba mi się zadawanie ci bólu, a jeszcze bardziej to, że Miriam już to widziała, klatka po klatce. Wiesz o tym?

Ingersoll bawi się nożem. Wącha zardzewiałe, brudne ostrze.

– Zostaw mnie w spokoju – szepce Louis. – Kim jesteś? Czego ode mnie chcecie? Nie mam tego, czego szukacie!

– To już bez znaczenia. – Ingersoll wzrusza ramionami.

Porusza się błyskawicznie – jak napięta sprężyna. Dźga Louisa w lewe oko. Nie dość głęboko, żeby uszkodzić mózg, ale oślepia go. Tak zadecydował. Louis krzyczy. Napastnik wyciąga nóż. Miriam słyszy mokre plaśnięcie.

Na twarzy Łysego pojawia się smutny uśmiech.

Latarnia morska Barnegat Lighthouse ma dwieście siedemnaście stopni. Każdy stopień jest przeszywającym bólem. Każdy krok rodzi się w

cierpieniu, intensywnym jak wydalanie kamieni nerkowych, jak ugryzienie czarnej wdowy.

Stopnie są z blachy, pomalowane na żółto. Farba odchodzi płatami, pod spodem widać rdzę. Wiatr unosi się kominem latarni, wirując wzdłuż czarnych cegieł.

Wnętrze przypomina gardło pradawnej bestii.

W głowie Miriam wciąż od początku rozgrywa się to, co zaraz ma się wydarzyć, jakby zapętlila sobie filmik na Youtube. Wybite okno. Wiatr przez pustą ramę. Zardzewiały nóż. Dźwięk wyłupywanego oka. Jej imię, które Louis wypowiada ze smutkiem i zaskoczeniem.

Od nowa i od nowa. Niekończące się koło wizji.

Kolejny grzmot. Na zewnątrz. Stłumiony masywnymi ścianami. Zastanawia się: Czy jestem na czas? Spóźniłam się? Czy to ten grzmot, który słyszę w wizji? Kiedy ogląda czyjąś śmierć, często zwraca uwagę na takie drobiazgi – wskazówki wizualne, dźwiękowe czy jak je tam nazwać. Trąbienie. Reklama w telewizji. Czyjeś słowa.

W końcu jest na samej górze. Kiedy dociera do pomieszczenia latarni, jest ponownie świadkiem śmierci. Nie spodziewa się tego.

Jest tak zaskoczona, że traci oddech, mimo że czuje, jakby całe jej życie pędziło, kierując się właśnie na ten jeden moment, jakby całe życie przygotowywała się, by akurat teraz nie stracić oddechu.

Ingersoll nie słyszał, jak idzie po schodach, ale kiedy wchodzi do pomieszczenia, spogląda na nią i uśmiecha się z wyraźnym zadowoleniem.

Miriam staje w progu akurat w chwili, kiedy ostrze noża zagłębia się w lewym oku Louisa. Nie po samą rączkę. Jeszcze nie. To by go zabiło. To będzie następne pchnięcie.

Dobrze, że przyszła, myśli. Będzie mogła to zobaczyć na żywo. Będzie miała dowód. Jest zaskoczony. Przecież od początku powinien był mieć ją tu ze sobą, żeby widziała jego okrucieństwo i jego glorię.

Louis dostrzega ją zdrowym okiem.

Doskonale.

– Miriam? – pyta, ale Ingersoll unosi już nóż i wyprowadza pchnięcie, które ma przebić jego mózg.

Wszystko dzieje się bardzo szybko. Ktoś mógłby pomyśleć, że takie rzeczy powinny się dziać w zwolnionym tempie, dokładnie.

Ale rzeczywistość wygląda inaczej.

Pistolet w dłoni dziewczyny jest ciepły.

W nosie czuje kwaśny, gorzkawy zapach. Dym szczypie ją w oczy.

Ingersoll zaciska palce na nożu. Jego dłoń zaczyna się trząść.

Odwraca się i sięga drugą ręką w kierunku dziury w głowie. Z rany wlotowej kapie strumyk krwi, jak woda brudna od rdzy spod starego żelastwa.

Louis mruga zdrowym okiem.

Nie umarł, myśli Miriam.

Tyle że to nie zgadza się z jej wizją. To nie tak miało wyglądać.

Serce jej przyspiesza. Czuje mdłości. Zawroty głowy. Dreszcze. Wzruszenie.

Wciąż w wyciągniętej przed siebie dłoni trzyma pistolet.

Upuszcza go. Broń stuka metalicznie o podłogę.

– Ja... – zaczyna, ale naprawdę brakuje jej słów.

Ingersoll zatacza się.

A potem skacze naprzód jak tygrys, nie puszczając noża.

Dopada jej, zaciska palce wolnej dłoni na jej gardle i oboje przewracają się w tył. Toczą się po metalowych schodach. Miriam czuje, jak raz on jest na niej, a potem ona na nim, a świat zaczyna wirować coraz szybciej. Czarne ściany i białe linie układające się w spiralę prowadzącą w otchłań, ku której pędzili, witając się twarzami z zimnym, żółtym metalem...

Jej mięśnie krzyczą z bólu, kości pulsują, jakby były połamane. Wyrzuca ręce i nogi najdalej jak może, żeby spowolnić upadek...

Zatrzymuje się jakieś dziesięć metrów niżej.

Świeża krew znaczy ścianę obok.

Pod sobą widzi wytrzeszczone oczy Ingersolla.

Jego głowa jest przechylona pod nienaturalnym kątem: broda przyciśnięta do ramienia, a kręgosłup tak mocno naciąga pozbawioną włosów skórę, że wygląda jak przejrzwały owoc, który zaraz pęknie. Martwe spojrzenie zdaje się skupiać na jej twarzy. Jak obraz, którego oczy zawsze obserwują widzów.

Miriam niemal wybucha śmiechem.

Ale śmiech – nawet prawie-śmiech – sprawia ból. Naprawdę mocny ból.

Szuka wzrokiem dalej i w końcu widzi: sterczy z niej zardzewiały nóż rybacki. Tkwi wbity w jej lewą pierś, po samą rączkę.

Miriam usiłuje nabrać powietrza. Ma wrażenie, że jej płuco wypełnia żywy ogień.

– Cholera – mówi.

Pochłania ją ciemność i w tej ciemności gna dalej w otchłań latarni.

SEN

– Teraz w końcu rozumiesz? – pyta Louis, idąc obok.

Razem spacerują po czarnym piasku plaży. Każde ziarenko odbija słońce, dzięki czemu wygląda, jakby ziemia lśniła. Miriam pod stopami czuje miękkie ciepło. Fale liżą linię brzegu. Powietrze ma słony posmak, ale nie czuć zapachu ryb ani wodorostów.

– Rozumiem, tyle że jestem martwa i, dzięki Bogu, wygląda na to, że nie trafiłam do piekła.

– Nie jesteś martwa – mówi Louis, drapiąc się po iksie z czarnej taśmy na oczach. – Ale prawie trafiłaś. Umierasz.

– Super. Czyli to jest sen, jaki się ma na stole operacyjnym. Pokaż mi światło, to pobiegnę w jego stronę.

– Cały czas nie rozumiesz.

– Doprawdy?

– Aha. Pomyśl. Co się wydarzyło?

Naprawdę musi pomyśleć, bo woli nie wracać do tego, co było. Woli zostać tutaj, w tej rzeczywistości, na plaży. W słońcu.

Po chwili zaczyna łączyć fakty i przypomina sobie, co się stało.

– Wygrałam.

– Wygrałaś – potwierdza Louis.

– Po raz pierwszy nie stało się tak, jak miało się stać. Niewiele brakowało. Ale zmieniłam rzeczywistość.

– No właśnie. Udało ci się. I to w jakim stylu! Świetna robota.

– Dzięki. – Miriam uśmiecha się. Szczerze. Nie półgębkiem, nie ironicznie, nie prześmiewczo, ale szczerze. Radośnie. Niepowstrzymanie. – Nie mam pojęcia, co zrobiłam inaczej, że tym razem się udało. Przecież wcześniej też się starałam. Może to dlatego, że cię kocham? Jego. Bo ty, to nie on?

Louis przestaje się uśmiechać.

– Nie, nie jestem nim. A ty wciąż nie rozumiesz całości. Wiesz, co się stało. Wiesz też, jak pokonałaś system. Zrobiłaś w nim wyłom.

– Nie, naprawdę tego nie rozumiem.

– Chcesz podpowiedź?

– Dawaj.

Mruga, a Louis zmienia się w jej matkę. Wymizerowana twarz, drobne, zmęczone ciało.

– Twe oko nie będzie miało litości. Życie za życie, oko za oko, ząb za ząb, ręka za rękę, noga za nogę.

I... tadam! Louis pojawia się z powrotem. Cały czas ma zaklejone taśmą oczy.

– Cały czas...

Nie, zaraz... ależ tak! Już wszystko jasne!

– Zabiłam kogoś.

Mężczyzna strzela palcami.

– Dziesięć punktów i kredki.

Miriam zatrzymuje się. Chmury zasłaniają słońce. Gdzieś daleko, na morzu, rodzi się burza i deszcz uderza o fale.

– Dotychczas zawsze byłam... posłańcem. Sępem zbierającym kości. Ale nie tym razem. Tym razem... zmieniałam bieg rzeczy. Zabiłam Ingersolla.

– Zapewniłaś równowagę. Bo równowaga jest obowiązkowa. Chcesz coś zmienić, coś naprawdę dużego, jak pokonać śmierć i skopać tyłek przeznaczeniu, musisz być gotowa, żeby odpowiednio za to zapłacić.

– Zapłaciłam krwią – mówi Miriam. Zaszło jej w ustach, a krew zmieniła się w lód. Błyskawica liże ocean, rozpościerając swój jezor na tle stalowoszarego nieba.

– Krwią, żółcią i treścią jelitową.

– Kim jesteś? – pyta cichym głosem.

– A nie powinnaś zadać pytania o to, czym jestem?

Nie odpowiada mu.

Louis powtórnie zmienia się w jej matkę. A potem w Bena Hodge'a ze zmasakrowaną potylicą, która wygląda jak krwawa orchidea. A potem w Ashleya skaczącego w miejscu, na jednej nodze.

I znów jest Louistem.

– Może jestem przeznaczeniem – mówi. – Ale może też jestem jego zaprzeczeniem, tak jak Bóg ma swoje zaprzeczenie w postaci diabła. Może jestem tobą. Głosem w twojej głowie.

Uśmiecha się szeroko. Każdy z jego zębów to mała czaszka.

– Jedno za to wiem. Mamy tyle do zrobienia...

– My? – pyta i serce jej staje...

WRÓG PRZEZNACZENIA

Budzi się, gwałtownie nabierając powietrza. Ma wrażenie, że jest zaplątana w wodorosty. Zaczyna się szarpać i zrywa duszące więzy – te, które wpełzły jej do gardła, które wydrążyły kanały w jej ramionach i piersi – i nagle wybucha kakofonia pisków i sygnałów alarmowych. Niektóre powolne, inne szybkie, a jeszcze inne ciągle. Powoli zaczyna widzieć świat, a w nos uderza ją sterylnie czysty zapach środków odkażających.

Louis stoi obok i przyciska ją do łóżka.

– Hola! – mówi. – Spokojnie, tylko spokojnie. Wszystko dobrze. Nic ci nie jest.

Na lewym oku ma biały opatrunek, przyciśnięty żółtym plastrem.

– Pieprz się – syczy dziewczyna. – Idź do diabła. Odpowiedz mi na pytanie! Kim jesteś? I czego ode mnie chcesz, mówiąc my? Wynoś się z mojej głowy. Chcę umrzeć albo się obudzić. Umrzeć albo się obudzić!

– Jesteś przytomna – mówi i głaszcze ją po głowie. – Ciii.

Miriam mruga.

Louis pachnie mydłem.

I ma jedno sprawne oko.

A ją boli pierś, jakby ktoś pchnął nożem. Co, o ile dobrze pamięta, miało miejsce.

– Naprawdę nie śpię? – pyta cichutko.

– Nie.

– Czyli to nie sen?

– Nie, nie sędzę. Chociaż czasem też mam takie wrażenie.

Miriam nie wie, co powiedzieć. Czerwieni się.

– Przepraszam.

– Przepraszasz? Za co?

– To... skomplikowane. I to moja wina.

Mężczyzna siada na krześle obok łóżka.

– Tak, to skomplikowane. Ale z tym, czy to twoja wina, mógłbym polemizować.

– Nie rozumiesz, a poza tym nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedziała...

– Przeczytałem twój pamiętnik – przerywa jej.

– Co?! – Świdruje go wzrokiem.

Wyjmuje brulion z za paska na plecach i kładzie na jej nogach.

– Przepraszam. Wiem, że to nie jest w porządku, czytać czyjś pamiętnik, ale musiałem poznać odpowiedzi na kilka pytań. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz. Myślałem, że chcesz mnie po prostu okraść. I może na początku rzeczywiście tak było. Ale zaraz potem budzę się w latarni, a jakiś łyśy wariat usiłuje wyłupić mi oczy. Nagle pojawiaasz się ty i chwilę potem leżycie na dole, ty pólżywa, on całkowicie nieżywy i... nie wiedziałem, o co chodzi, a chciałem wiedzieć. Byłaś nieprzytomna, więc nie mogłem cię o nic zapytać. Wziąłem więc twój pamiętnik. Zgubiłaś go, kiedy spadaliście ze schodów.

Miriam nabiera głęboko powietrza. Klatka piersiowa boli ją jak diabli.

– Czyli już wiesz. Wiesz, czym jestem. Wiesz, co widzę.

– Aha.

– Wierzysz mi?

– Chyba tak. Albo to prawda, albo przygotowałaś najdziwniejszy, najdłuższy i najbardziej skomplikowany scenariusz wyłudzenia w historii wyłudzeń.

– Czyżbym widziała uśmiech?

– Całkiem możliwe. Mimo wszystko, to całkiem prawdopodobne.

Miriam waha się, ale przecież nigdy nie była mistrzynią delikatności i wyczucia.

– Uratowali ci oko?

Louis przygryza paznokieć kciuka.

– Nie.

– Przykro mi.

Macha lekceważąco dłonią.

– Takie rzeczy się zdarzają. Czasem to dobrze, czasem nie tak dobrze. Cała zabawa polega na tym, żeby umieć godzić się z tymi złymi, szczególnie jeśli nic nie możesz z nimi zrobić.

– A jeśli możesz?

– Wtedy robisz co w twojej mocy, żeby je zmieniać.

Przez chwilę Miriam widzi przed oczyma twarz Ingersolla z dziurą w głowie po kuli.

– Chyba tak – potakuje.

– Niech to – mówi Louis i odchyła się na krześle. – Przynajmniej mogę nosić fajną zasłonkę na oko.

– Tak. Jeśli nie pozwolą ci prowadzić ciężarówek, będziesz mógł zostać piratem.

– Lubię pirackie życie.

Dziewczyna śmieje się.

– Zostaniesz na trochę? – pyta. – Wiem, że masz dokąd jechać, ale mnie tu pewnie jeszcze przetrzymają.

– Z tego co wiem, to przynajmniej tydzień. Masz kilka złamań i taki drobiazg jak nóż wbity w płuco.

– Pytam, bo nie chcę być sama.

Louis potakuje.

– Ja też nie.

– Czyli zostaniesz?

– Tylko jeśli ty się nigdzie nie wybierasz. Ocaliłaś mi życie. Mniej więcej. Jestem ci coś za to winien.

Miriam uśmiecha się.

– Zrobisz mi jeszcze jedną przysługę?

– Mów.

Każdy ruch ją boli, ale podnosi pamiątnik i rzuca go Louisowi jak frisbee. Niewiele brakowało, a by go nie złapał. Kilka razy odbija mu się od rąk, ale w końcu daje radę.

– Cały czas pracuję nad widzeniem przestrzennym.

– Przepraszam, nie pomyślałam.

– No dobra, to co to za przysługa?

– Wyrzucić go – mówi.

– Mogę go wrzucić do oceanu?

Miriam marszczy brwi i kręci głową.

– Nie zrobiłabym tego małym biednym rybkom. Poza tym nienawidzę tej sceny w filmach. Wrzucisz coś do oceanu, to na zawsze już tam

zostanie. A potem fale wyrzucają to na brzeg i ktoś to znajduje. Pozbądź się go. Wszystkie strony są zapisane. To historia, której nie chcę powtarzać. Znajdź jakiś kosz i po prostu go tam wrzucić. Jeszcze lepiej, jeśli znajdziesz wysypisko. A w ogóle najlepiej by było wrzucić go do rozpalonego pieca. Wiesz, takiego, jak mają w krematoriach.

Louis wstaje i całuje ją. Ma suche usta, ale to nie znaczy, że nie są miękkie. To najwspanialszy pocałunek, o jakim nie miała nawet odwagi marzyć.

– Pozbędę się go – mówi.

– Boli.

– Wiem.

– Muszę się przespać.

– To też wiem. Mogę zostawić cię na trochę samą? Masz smutną minę.

Miriam wzrusza ramionami, na tyle, na ile jest w stanie.

– Takie życie, Louis. Nie poradzisz, taki los.

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Konwersja do formatu EPUB: [MAGRAF s.c.](#) , Bydgoszcz